

BEST SELLERS

Ruth Langan
Jacqueline Navin
Lyn Stone

W wigilijną noc

Ruth Langan

Cudowne ocalenie

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Wyżyny Szkocji, 1560

- Za tobą! Bacz na tyły! - Morgan MacLaren zdołał ostrzec przyjaciela gromkim okrzykiem, choć sam z najwyższym trudem opędzał się od gromady napastników, którzy z dzikim wrzaskiem wypadli z gęstwiny lasu. Z każdym ciosem miecza zbliżał się do Ramseya, którego napastnicy strącili z konia. Wiedział, że życie jego najbliższego przyjaciela jest w niebezpieczeństwie.

- Już nigdy więcej nie zabijesz miłującego Boga Szkota! - krzyknął Morgan i wbił miecz prosto w serce jednego z wojowników. - Ani żaden z was! - Wysoko uniósł oręż, groźnie patrząc na nadbiegających mężczyzn. - Niech to będzie dla was nauczka. Mój ojciec, pan tych ziem, zaprzysiągł, że nie spocznie, póki nie uwolni swego ludu od takiej hołoty jak wy!

Gdy wraży miecz przeszył mu ramię, nawet nie poczuł bólu. Zaskoczyło go jednak łaskotanie, wywołane przez spływające wzdłuż boku, ciepłe strużki krwi. Jeszcze bardziej zdumiał się, gdy nagle stracił władzę, w prawej ręce, która bezwładnie opadła. Na szczęście i lewą fechtował na tyle dobrze, by dać sobie radę z przeciwnikami.

Ramsey uniósł głowę i ujrzał, że spomiędzy krzaków na krawędzi lasu biegnie ku nim kilku kolejnych wrogów.

- Jezu Chryste! - krzyknął, - Już po nas, Morgan!

Przyjaciół spojrział w kierunku lasu i błyskawicznie podjął decyzję.

- Bierz mojego konia, Ramsey! - rozkazał druhowi. - Pędź do zamku. Niech ogłoszą alarm. Trzeba zebrać siły i powstrzymać tych łotrów, nim nas zaleją jak potop.

- Nie zostawię cię! - Ramsey przeszył mieczem kolejnego napastnika.

Kiedy uniósł głowę, ujrzał przed sobą trzech nowych wrogów.

- Jeden z nas musi zanieść wiadomość do zamku. Inaczej ten najazd może zniszczyć nasze ziemie. Czy tego chcesz? We dwóch i tak nie poradzimy sobie z tymi wszystkimi łajdakami.

- Nie!

Tylko szybki refleks przyjaciela wybawił Ramseya od śmierci. Nim zdążył unieść miecz, Morgan w mgnieniu oka powalił dwóch napastników. Zanim dopadła ich kolejna fala wrogów, Morgan zdążył odwrócić głowę do Ramseya.

- Wybór nie należy do ciebie. Jestem silniejszy z nas obu i zdołam zatrzymać ich wystarczająco długo, byś zdążył uciec.

- Morganie MacLaren...

- Jako twój pan rozkazuję ci, jedź! Od tego zależy ocalenie naszego klanu. Weź złoto. Mnie ono nie będzie potrzebne. - Morgan sięgnął w zanadrze, wyciągnął suto wypchaną sakiewkę i bez chwili wahania rzucił przyjacielowi. - A teraz ruszaj! I nie trać czasu na oglądanie się za siebie.

Posłuszny nakazom kodeksu rycerskiego, młody wojownik wskoczył na konia swego przyjaciela i ruszył galopem. Widząc grad strzał nadlatujących od strony lasu, odruchowo przytulił się do

końskiego karku. Kiedy rzucił za siebie wzrokiem, ujrzał, że Morgan powala na ziemię jednego przeciwnika po drugim.

Z zaciśniętymi zębami popędził konia. Wiedział, że musi wypełnić rozkaz. Wiedział również, że jeśli ktokolwiek mógłby sobie poradzić w pojedynkę z nawałą wrogów, to właśnie Morgan MacLaren. W ciągu pięciu lat, które upłynęły, odkąd jako czternastoletni chłopak po raz pierwszy wziął udział w bitwie, zdążył zdobyć sławę nieustraszonego i doświadczonego rycerza. Jego imię budziło lęk wśród najeźdźców i dumę pośród ludzi, którym było dane walczyć u jego boku.

- Lindsay! - Dwoje maluchów, dziewczynka i chłopiec, wybiegło przed niską, ubogą chatę.

Przez chwilę dzieci w osłupieniu wpatrywały się w zbliżającą się do domu dziewczynę, po czym biegiem wróciły do domu.

- Dziadku! Dziadku! Chodź, zobacz, Lindsay wraca na koniu.

- Na koniu? - Wsparty na krzepkim kiju starszy mężczyzna pośpieszył przed chatę. - A gdzie ty znalazłaś taki skarb, dziewczyno?

- Pał się w lesie. - Dziewczyna zeskoczyła z końskiego grzbietu i rzuciła lejce chłopcu.

- A to co? - Starszy mężczyzna wskazał sękatym palcem na podłużny kokon, który przywłókł za sobą koń.

- To mężczyzna, ojciec. Rycerz. Znalazłam go nieopodal miejsca, gdzie natknęłam się na stertę martwych wojowników.

Starszy mężczyzna zmarszczył brwi, a uśmiech zniknął z jego ust.

- Rycerz? Po co go tu ściągnęłaś?

- Jest ciężko ranny, ojciec. Prawdę mówiąc, nie wiem nawet, czy dożyje do rana. Ale nie mogłam przecież zostawić go samego na pewną śmierć.

- Nie mamy pojęcia, co to za jeden. Może to jakiś z tych łotrów, którzy tak dają nam się we znaki?

- Hm. - Dziewczyna rozplatała węzeł na linie, na której przyciągnęła rannego wojownika, a potem przywołała gestem dzieci. - Gwen! Brock! Chodźcie, pomóżcie mi zaciągnąć go do domu.

We trójkę zawlekli do chaty owinięte w derki, bezwładne ciało. Starszy mężczyzna spoglądał na nich ponuro, grożąc im sękatym palcem.

- Uważaj, dziewczyno, żebyś nie ściągnęła nieszczęścia na własny dom.

Lindsay zatrzymała się, by zaczerpnąć tchu.

- Gdybyś mu się przyjrzał, sam byś zobaczył, że temu biedakowi brak sił nawet na to, by unieść powieki - odpowiedziała i pociągnęła nieprzytomnego w kierunku niskich drzwi.

- Na razie jeszcze nie - burczał ojciec, kuśtykając za nimi. - Biada nam, gdy odzyska siły. Będziemy się bali, że we śnie popodrzyna nam gardła.

Lindsay rozłożyła przed kominkiem, na którym dopalały się grube polana, świeży siennik.

- Będziemy się o to martwili, gdy odzyska siły. Jeśli w ogóle przeżyje - mruknęła, przetaczając bezwładne ciało na rozścieloną derkę.

- Gwen - zwróciła się do dziewczynki - daj mi czyste płótno i wrzątek. A ty, Brock, przynieś zioła i maści.

Dzieci rozbiegły się po izbie, by wykonać jej polecenia. Kiedy wróciły, Lindsay powiedziała:

- Brock, zajmiesz się koniem. Będziesz go karmił i poił. Pamiętaj, że musisz go trzymać z dala od ludzi, żeby nikt go nam nie ukradł.

- Tak jest!

Zachwycony, że powierzyła mu tak odpowiedzialne zadanie, chłopiec pędem wybiegł z chaty.

- Do konia przytroczona jest jeszcze niespodzianka, Gwen – powiedziała Lindsay, drąc płótno na wąskie pasy.

Dziewczynka z piskiem wybiegła za bratem. Kiedy wróciła, jej drobna sylwetka ugięła się pod ciężarem pęku mieczy i strojów, które zdjęła z końskiego grzbietu. Lindsay zbierała oręż porzucony na polach bitewnych, by zapewnić rodzinie przetrwanie.

Podczas gdy dziewczynka wraz z dziadkiem przeglądali zawartość tobołka, Lindsay rozcięła nożem pokrwawione ubranie nieznajomego. Ze zdumieniem naliczyła wiele ran na jego ciele, jak również liczne blizny - pamiątki po dawniejszych bojach.

Nie miała już żadnych wątpliwości, że ma do czynienia z wojownikiem. Dość napatrzyła się na rany ojca, którym musiała się opiekować, gdy wrócił do domu po przegranej bitwie.

Zanurzyła kawałek płótna w gorącej wodzie i zaczęła ścierać krew z ciała nieprzytomnego mężczyzny. Zauważyła przy tym jego twarde mięśnie, szerokie ramiona i potężną pierś. Kimkolwiek był, musiał być groźnym przeciwnikiem. Ojciec miał rację, nieznajomy budził lęk.

Z drugiej strony jej własnego ojca trzykrotnie ocalili przed śmiercią obcy ludzie i Lindsay czuła, że w jakimś sensie winna jest rannemu mężczyźnie tę próbę ratunku. Mimo to, opatrując rany nieznajomego, modliła się w duchu, by okazał się przyjacielem, a nie wrogiem.

Kawałkiem płótna osuszyła ranę na czole. Kiedy obmyła jego twarz z krwi, stwierdziła, że jest pięknym młodzieńcem, niewiele od niej starszym. Miał szerokie brwi, prosty nos i wyraziste usta. Przez głowę przemknęło jej pytanie, jakiego koloru może mieć oczy, i natychmiast sama zgaśniła się za niestosowność swoich myśli. Matka nie na darmo powtarzała jej, że nie jest ważne, jakiego koloru ma człowiek oczy, lecz to, jakie ma serce.

Kiedy oczyściła i osuszyła rany, wprawdzie roztarta suszone zioła w kamiennym moździerzu. Potem zmieszała je i opatrzyła poważniejsze rany, a na koniec owinęła rannego czystymi bandażami.

Przez cały ten czas nie odzyskał świadomości. Wszystko, co zauważyła Lindsay, to tyle, że raz czy dwa drgnęły mu powieki, jednak nawet nie jęknął, gdy przetaczała go z boku na bok, by opatrzeć rany, jakie miał na plecach i na ramionach.

Gdy wreszcie zrobiła wszystko, co mogła, by mu pomóc, okryła rannego wojownika skórą i wróciła do bratanicy i ojca, wciąż jeszcze przebierających w tobołku.

- A to co? - Ojciec Lindsay uniósł niewielki bukłak.

Kiedy odetknął zatyczkę i pociągnął nosem, jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech.

- Wino. - Starszy mężczyzna pociągnął łyk. - Dobrze. Nasz gość zna się na trunkach.

- Gość? Coś takiego! - zaśmiała się Lindsay. - Jeszcze przed chwilą mówiłeś, że podejrzenie nam w nocy gardła, a teraz nazywasz go gościem. A wszystko przez bukłak wina.

- O ile rzeczywiście do niego należy. - Ojciec uważnie przyjrzał się swej najmłodszej córce. - Nikogo więcej nie znalazłaś żywego?

Pokręciła głową.

- To musiała być zażarta bitwa. Naliczyłam dobrze ponad tuzin trupów.

- Ciekawe, czemu jego towarzysze go zostawili? - Starszy mężczyzna odwrócił się, by spojrzeć na nieprzytomnego rycerza.

Lindsay wzruszyła ramionami.

- On jest ledwo żywy. Może uznali go za niepotrzebny ciężar.

Pozwoliła ojcu pociągnąć jeszcze jeden długi łyk, a potem wyjęła mu bukłak z rąk.

- Będzie mi potrzebne do przemycia ran - powiedziała.

- To grzech tak marnować zacne wino - narzekał ojciec ze smutną miną.

- Och, nie martw się. Jeszcze dość dla ciebie zostanie.

Tymczasem dziewczynka zajrzała w skórzane sakwy, gdzie znalazła świeże mięso.

- Popatrz, dziadku!

Ojciec Lindsay powąchał kawałek mięsa.

- To jeleń. Świeżo ubity.

Gwen klasnęła w dłonie.

- Będziemy dziś jeść jak lordowie.

Starszy mężczyzna popatrzył na córkę.

- Może zaskoczyli twójego rannego podczas polowania?

Lindsay bezradnie wzruszyła ramionami.

- Być może. - Sięgnęła po mięso i zaniósła do ognia. - To prawda

- trafiła się nam dzisiaj królewska kolacja. Jeśli będziemy się dobrze gospodarować, starczy nam jeszcze na jutro i na pojutrze.

Kiedy Brock wrócił, oporządziwszy konia, w chacie unosił się zapach pieczeni i świeżego chleba. Rodzina zasiadła wokół stołu, dzieląc się dziczyzną. Nie co dzień trafiała im się taka uczta.

- Lepsze to od samego chleba! - zaśmiał się chłopak pełnymi ustami.

- I od korzonków i jagód, którymi musieliśmy się żywić w ubiegłym tygodniu, wtedy, gdy chybiłaś bażanta, Lindsay. - Ojciec wytarł skórka od chleba swój talerz.

- Zobaczysz, że następnym razem pójdzie mi lepiej. - Lindsay sięgnęła po łuk i strzały, które znalazła na poboju.

- Nie sprzedasz tego we wsi? - spytał ojciec. - Na pewno dostałabyś dobrą cenę.

Lindsay pokręciła głową.

- Wiem, że sporo bym za to mogła dostać. Może nawet wdowa Chisholm dałaby za to kwokę nioskę. Już od dawna potrzebna mi była jakaś broń poza tą. - Lindsay położyła dłoń na rękojeści zatkniętego za pasek sztyletu. - Teraz łatwiej mi będzie coś upolować. A to jest więcej warte od kury.

- Mogę sobie wziąć buty, Lindsay? - Brock z podziwem pogładził skórzane buty z cholewami.

- Jeżeli są na ciebie dobre. - Lindsay pozbierała ze stołu talerze. - Idzie zima, przydadzą ci się.

Nie musiała go drugi raz zachęcać do przymiarki. Chłopiec wstał i poruszył palcami w butach.

- Są za duże, ale jak zrobisz mi grube skarpety, to będą dobre.

Lindsay westchnęła.

- Jeszcze dziś się za to zabiorę. Dopóki nie skończę, napchaj sobie wełny w czubki butów.

Oczy chłopca promieniały radością. Pierwszy raz w życiu mógł założyć wysokie buty jak dorosły mężczyzna. Do tej pory nosił tylko miękkie, domowe łapcie, które szyła mu Lindsay.

Dziewczynka wyciągnęła rękę po grubą, wełnianą opończę.

- A co z tym zrobisz, Lindsay? Zatrzymasz to czy zamienisz na coś we wsi?

- Jeszcze nie wiem - odpowiedziała, nie przerywając zmywania naczyń. - Najpierw się dowiem, ile dałby za nią Heywood Drummond.

Na wspomnienie Heywooda Drummonda dzieci wymieniły znaczące spojrzenia i jak na komendę zmarszczyły nosy.

- Może da nam za nią dzban mleka?

- Ciekawe, za ile sam ją potem sprzeda? - mruknął niechętnie jej ojciec.

- Ano, ciekawe - przytaknęła Lindsay. - Ale nie obchodzi mnie, ile zarabia Heywood Drummond, dopóki daje nam to, czego potrzebujemy.

Skończyła zmywanie i odwróciła się do stołu. Dzieci ziewały i podierały głowy rękami.

- Coś mi się zdaje, że już pora spać - powiedziała Lindsay.

Gwen i Brock bez protestu wspięli się po drabinie na stryszek, gdzie spali mieszkańcy chaty. Idąc w ślad za nimi, Lindsay dostrzegła jeszcze, że ojciec sięgnął po bukłak. Przygryzła wargi. Nie powinien słyszeć, że się śmieje. Powinna go zbesztać.

Jednak cieszyło ją wszystko, co mogło sprawić radość ojcu. Tak niewiele miłych rzeczy spotykało go na stare lata. Dobrze, że choć dziś uśnie zadowolony z życia, bo rozgrzany trunkiem.

Lindsay poczekała, aż dzieci skończą modlitwy. Potem pocałowała każde z nich w czoło, okryła futrami i zeszła po drabinie, by zasiąść przy kominku z drutami i kłębkami wełny.

Chwilę później, błogo ukołysany winem, do snu ułożył się ojciec. Najchętniej zrobiłaby to samo, ale nie mogła. Zanim ogień wygaśnie, zdąży jeszcze zrobić kawał skarpety dla Brocka.

ROZDZIAŁ DRUGI

Morgan leżał bez ruchu, z trudem składając w całość strzępy wspomnień. Przypomnił sobie najeźdźców wysypujących się z lasu. Szczęk mieczy. Krzyki. Przekleństwa. I krew. Tyle krwi. Potem przypomnił sobie mężczyzn walących się u jego stóp i kolejnych napastników, deptających ciała martwych kompanów, by go dosięgnąć.

Nie ustąpił im pola. Na Boga, nie ustąpił napastnikom pola, choć jego prawica zwisała bezużytecznie u boku, a pokryte ranami ciało zdawał się z wolna ogarniać piekielny ogień.

Wreszcie przypomnił sobie ostatniego wroga, który miotając przekleństwa, biegł ku niemu z uniesionym nad głową mieczem. W tej samej chwili Morgan poczuł, że traci siły. Samo już tylko utrzymanie się na nogach wymagało nadludzkiego wysiłku. Czy zdołał pokonać ostatniego napastnika?

MacLaren wszędzie czuł okropny ból, co wskazywało, że przeżył bitwę. Był bardzo osłabiony i trawiła go wysoka gorączka. Po prostu cały gorzał. Słyszał trzask płonących polan. Był tak ciasno owinięty w jakieś derki, że nie mógł oswobodzić ręki. Czy był więźniem? A może był zbyt osłabiony od ran? Z trudem uniósł powieki i ujrzał najbardziej zdumiewający widok na świecie.

Kobieta. Siedziała z pochyloną głową i fala rudych włosów zasłaniała jej twarz, opadając kaskadą drobnych loków. Prosta suknia ze zgrzebnej wełny zsunęła się jej z ramienia. W ciepłym blasku ognia biała jak alabaster skóra zdawała się w nędznej izbie istnym cudem. Morgan nie mógł dostrzec twarzy nieznajomej.

Wszystko, co widział, to druty tańczące w jej drobnych rękach.

Oderwał wzrok od kobiety, by rozejrzeć się wokół. Znajdował się w biednej, wieśniaczej chacie o ścianach zawieszonych skórami. Czuł zapach dymu i smakowitą woń mięsa. Przeniósł spojrzenie na drzwi i spostrzegł, że są zamknięte od wewnątrz na skobel.

W głębi chaty stała drabina prowadząca na strych. Morgan domyślał się, że na górze są jacyś ludzie, ale nie miał pojęcia, ilu ich jest. Nie zważając na ból, zebrał wszystkie siły, by zerwać krępujące go więzy, i odkrył, że nie potrafi tego dokonać. Był zbyt słaby. Nie chciało go słuchać nawet własne ciało.

Ostatnim wysiłkiem woli zdołał usiąść na sienniku. Okrywające Morgana skóry zsunęły się, odsłaniając bandaże na piersiach i ramionach, a zaraz potem on sam z ciężkim westchnieniem opadł bezwładnie na wznak.

Słyszac hałas, kobieta podniosła wzrok. Przez chwilę Morganowi zdawało się, że widzi anioła. Dziewczyna była jeszcze bardzo młoda. Jej szczupła twarz z lekko rozchylonymi ustami była olśniewająco piękna. A oczy... W ich zielonej toni lśniły złote refleksy płonącego na kominku ognia.

Odłożyła druty i wełnę, by do niego podejść.

- Więc jednak żyjesz, biedaku.

Poczuł jej dłoń na czole. Dotknięcie było delikatne jak pieszczota.

- Doprawdy?

Z trudem wykrztusił to jedno słowo. Miał tak wyschnięte usta, że już samo oddychanie sprawiało mu niewyobrażalną mękę.

- Masz silną gorączkę. Jesteś ciężko poraniony. Czujesz ból?

- Tak.

Wpatrywał się w nią takim wzrokiem, że Lindsay poczuła się niezręcznie. Mimo to była zadowolona, bo w końcu dowiedziała się, jakiego koloru są oczy tajemniczego wojownika. Były błękitne. Błękitne jak niebo nad wyżynami Szkocji.

Wzrok Lindsay przesunął się po ciele rannego mężczyzny. Gdy opatrywała go, był nieprzytomny i jego nagość nie miała znaczenia. Teraz jednak patrzyła na niego inaczej. Silne, muskularne ciało budziło w niej nie znane dotąd emocje.

Musiała coś zrobić, by ukryć zakłopotanie.

- Dam ci teraz wywar z maku - powiedziała. - Będziesz po tym spał.

Śledził ją wzrokiem, gdy szła przez izbę, a potem wracała do niego z kubkiem w dłoni. Uklękła i podłożyła mu rękę pod głowę, pomagając ją unieść, tak by mógł się napić ciepłego napoju. Mimo bólu i słabości całego ciała, Morgan pomyślał tęsknie, że gdyby poruszył głową, jego usta napotkałyby kołyszące się pod suknią, prężne piersi dziewczyny.

Gdy przechyliła kubek, pociągnął nosem i skrzywił się.

- Paskudnie śmierdzi.

- Wiem i nic na to nie poradzę. Jeśli to wypijesz, rychło poczujesz się lepiej.

Zrobił, co mu poleciła. Całą uwagę skupił na piersiach swej opiekunki, kołyszących się pod grubą, wełnianą suknią. Nie jest z nim jeszcze tak źle, pomyślał, skoro w ten sposób reaguje na obecność kobiety. Kiedy przy nim klęczała, poczuł, że pachnie świeżym sosnowym lasem. W pewnej chwili jej włosy połaskotały pierś Morgana, budząc w nim uczucia silniejsze od bólu.

Nawet się nie zorientował, kiedy opróżnił kubek, odkrył tylko z przykrością, że jego głowa znów opada na posłanie.

- Kim jesteś? - wyszeptał z najwyższym trudem. - Skąd się tu wzięłem?

- Jestem Lindsay Douglas, a ten dom należy do mego ojca, Gordona Douglasa.

- Douglas... - powtórzył, walcząc z nagłą sennością.

To na skutek działania opium, pomyślał, a może nadchodzi śmierć? Głos dziewczyny był tak słodki jak anioła przyzywającego do nieba, a jego ciało płonęło, jakby już zaznawało udręk czyścowego ognia.

- Nie jesteście wrogami?

W odpowiedzi cicho się zaśmiała. Zabrzmiało to, jakby wiatr przyniósł z daleka dźwięk srebrnych dzwonków.

- Nie, jesteśmy Szkotami. Baliśmy się, że ty nim jesteś.

Z wysiłkiem pokręcił głową.

- Nie jestem wrogiem. Walczyłem z najeźdźcami.

- Sam? - Lindsay nie potrafiła ukryć zaskoczenia. - Przecież tam był z tuzin trupów.

- Tak. - Morgan nie miał siły zмагаć się dłużej z powiekami, które stały się ciężkie jak z ołowiu. - Zostań ze mną jeszcze.

Jego palce zacisnęły się na przegubie Lindsay. Mimo ran, MacLaren zachował zdumiewająco dużo siły. Nawet teraz, prawie śpiąc, gdyby tylko zechciał, mógłby zmiażdżyć jej rękę w żelaznym uścisku.

- Posiedzę przy tobie. Teraz zamknij oczy. Potrzebujesz snu, żeby wrócić do zdrowia.

- Będziesz tu, kiedy się obudzę?

- Tak.

Lindsay przez długą chwilę wpatrywała się w pięknego rycerza. Już spał. Nawet nie miała pewności, czy usłyszał jej odpowiedź.

Obudził go hałas. Zdziwiająco różnorodny. Usłyszał piskliwy śmiech dzieci i niski głos jakiegoś mężczyzny.

Morgan uniósł powieki i natychmiast oślepił go słoneczny blask wpadający do wnętrza chaty. Chwilę później w drzwiach pojawiła się drobna figurka siedmio- lub może ośmioletniej dziewczynki. Rude loki sięgały jej poniżej pasa.

- Lindsay! - Mała omal nie upuściła wiadra z wodą. - Obcy się obudził!

Dziewczynka postawiła wiadro i wybiegła z domu.

Chwilę później młoda kobieta uklękła przy posłaniu Morgana. Zza jej ramion wyglądało dwoje dzieci, chłopiec i dziewczynka, oraz przygarbiony starszy mężczyzna. Wszyscy wpatrywali się w niego z takimi minami, jakby lada chwila zamierzali się rzucić do ucieczki.

- Już się wyspałeś? - Lindsay leciutko dotknęła dłonią czoła rannego.

Z trudem stłumił westchnienie. Jej drobne palce były takie delikatne i chłodne. Tak dobrze było poczuć je na rozpalonej skórze.

- Wciąż jeszcze masz gorączkę, ale chyba mniejszą niż wczoraj. Przyszykuję ci nową porcję opium na uśmierzenie bólu. Najpierw musisz coś zjeść, żebyś nabrał sił. - Lindsay odwróciła się do dziewczynki. - Przynieś kubek rosołu, Gwen.

Dziewczynka zniknęła, aby powrócić z naczyniem, nad którym unosił się kłęb aromatycznej pary. Jak poprzedniego wieczoru, Lindsay uniosła głowę Morgana i przytknęła kubek do jego ust. Wypił zaledwie parę łyków.

Wstała, by przygotować wywar z maku, ale pozostała trójka nadal stała nad Morganem, nie odrywając od niego wzroku. Pierwszy odezwał się chłopiec, który wyglądał na starszego o rok lub dwa od swej siostry, bo to, że byli rodzeństwem, nie ulegało wątpliwości.

- Lindsay mówi, że nie jesteś wrogiem.

- To prawda.

- Z jakiego jesteś klanu? - To spytał starszy mężczyzna.

- Jestem Morgan z klanu MacLarenów.

- Aha. - Mężczyzna spojrzał na niego cieplej. - To uczciwy, godny ród.

Wróciła Lindsay i przysunęła do ust Morgana kubek z wywarem z maku.

- Ohydne - mruknął, marszcząc nos.

- Zgoda, ale sam przyznasz, że lepiej po tym śpisz.

Wypił wszystko do dna i opadł na siennik, ciężko dysząc.

- Co robiłeś w lesie? - spytał Brock.

Lindsay uciszyła chłopca:

- Cicho bądź, jeszcze nie pora na rozmowy. Widzisz przecież, że on jest ledwie żywy.

Odstawiła wyplukany kubek i sięgnęła po wełnianą opończę z kapturem.

- Pojadę teraz do wsi, zobaczę, co dostaniemy za moje wczorajsze znaleziska - powiedziała do starszego mężczyzny. - Zostaniesz z naszym gościem?

Ojciec skinął głową.

- Będę potrzebowała więcej ziół, by go opatrzyć - zwróciła się z kolei do chłopca. - I mchu - tego, który rośnie na brzegu strumienia.

Wybierzecie się tam z Gwen?

- No pewnie, Lindsay.

- Uważaj na siostrę.

- Przecież wiesz, że zawsze jej pilnuję.

- Wiem. - Lindsay przytuliła chłopca i pogłaskała po zmierzwionej czuprynie, a potem wyszła z domu.

Morgan chciał spytać starszego mężczyznę, dlaczego dzieci zwracają się do matki po imieniu, nie okazując jej należytego uszanowania, ale zabrakło mu sił. Sam nie wiedział, kiedy zamknął oczy. Dobiegł go jeszcze stukot kopyt przed domem, a potem zapadł w sen.

Gdy obudził się po raz kolejny, przez chwilę leżał cicho, wsłuchując się w dobiegające do niego podniecone głosy. Uniósł powieki. Cała rodzina skupiła się wokół stołu, na który Lindsay wykladała skarby, jakie przywiozła ze wsi.

- Kiedyś potrzebowałam całego dnia, by dotrzeć tam i z powrotem. Teraz, odkąd mam konia, starczy mi częśćka tego czasu. Spójrzcie, jak wiele zdołałam przywieźć. Pół tuzina jaj od wdowy Chisholm - oznajmiła Lindsay, kładąc jaja na stole z szacunkiem, jaki ludzie zwykle żywią dla złota.

- A to co? - Brock uniósł skórzany bukłak.

- Mleko. Starczy go dla ciebie i Gwen na kilka dni.

- Sprzedałaś miecz?

- Uhm. - Uśmiech zniknął z twarzy Lindsay. - Heywood Drummond dał mi za niego trzy złote monety.

- Trzy monety! - wybuchnął Gordon Douglas, uderzając pięścią w stół. - Był wart dziesięć razy więcej. Taki miecz z rękojeścią zdobioną szlachetnymi kamieniami wart jest o wiele więcej.

Morgan zacisnął zęby. Nie miał wątpliwości, że rozmawiają o mieczu, który otrzymał od ojca. O tym samym mieczu, który napawał

go zawsze taką dumą. A teraz jakiś prostak wyłudził go za nędzne trzy sztuki złota.

- Nie miałam wyjścia, ojcze. Nikt inny we wsi w ogóle by go ode mnie nie kupił.

- Wiem o tym i Heywood także o tym wie. Łajdak, nie lepszy od złodzieja.

Lindsay położyła dłoń na zaciśniętej pięści ojca.

- Ale starczyło na worek mąki, a nawet na ten drobiazg dla ciebie
- dodała, kładąc na stole małe zawiniątko.

Po chwili starszy mężczyzna z radością stwierdził, że w szmatkę zawinięta była odrobina tytoniu.

- Niech ci Bóg wynagrodzi, dziewczyno.

Lindsay nachyliła się ku ojcu i pocałowała go w czoło. Potem rzuciła okiem na Morgana i odkryła, że jest przytomny. Podeszła do niego.

- Wywar przestał działać? Potrzeba ci czegoś?

Z trudem kiwnął głową.

- Pić.

- Przynieśliście wodę, kiedy mnie nie było? - spytała Lindsay dziewczynkę.

- Tak.

Dzieci spojrzały po sobie. Potem Gwen z ociąganiem zaczerpnęła płynu do kubka i ostrożnie podeszła do siennika. Morgan widział, że dziewczynka spogląda na niego z jawnym strachem.

Skończył pić i oddał jej kubek.

- Czy Gwen to skrót od Gwynnith? - spytał z uśmiechem.

Dziewczynka potrząsnęła głową tak energicznie, że rude loki zatańczyły wokół jej twarzy.

- Nie, to od Guinevere.

- Guinevere? To tak, jak miała na imię żona króla Artura. Prawdziwie królewskie imię.

Gwen odwzajemniła Morganowi uśmiech.

- Mój tata też tak mówił.

Potem pobiegła z kubkiem do Lindsay, która wzięła się za szykowanie kolacji. Leżąc w milczeniu, Morgan zastanawiał się, gdzie właściwie może być ojciec dziewczynki. Na polowaniu? A może na wojnie? Cóż to za człowiek, który zostawia żonę z dziećmi i starym ojcem na łasce losu?

A ojciec Lindsay? Choć utykał i na starość wyraźnie niedomagał, znać po nim było wrodzoną godność. Starszy mężczyzna przemawiał głosem nawykłym do wydawania rozkazów, a jego dumna postawa zdradzała, że wiódł kiedyś daleko wspanialsze życie niż obecnie.

Najbardziej ze wszystkich intrygowała go jednak sama Lindsay. Mimo prostego stroju poruszała się z wdziękiem i szlachetnością kobiety godnej pałacu i służby, nie zaś ubogiej wieśniaczej chaty.

A jednak tu właśnie żyła, zbierając po okolicznych polach bitew broń i inne dobra, by zamienić je we wsi na pokarm dla rodziny. Tak jakby zupełnie lekceważyła los, jaki może jej przypaść w udziale, gdyby trafiła w ręce najeźdźców.

Lecz to nie jego zmartwienie, pomyślał, zapadając w sen. Gdy tylko odzyska siły, będzie musiał wrócić do zamku, by uspokoić ojca. A potem poprowadzi wojowników przeciw wrogom i na zawsze uwolni ojczystą Szkocję od najeźdźców.

To były miłe marzenia, ale jeszcze miłsze nawiedzały go, gdy wracał myślami do Lindsay Douglas. Gdy wreszcie zamknął oczy, dziewczyna niepodzielnie zapanowała nad jego sennymi marzeniami.

Widział jej twarz i słyszał cichy głos, dzięki czemu mógł wreszcie zapomnieć o szczęku oręża i krzykach ludzi, które tak często dręczyły go w nocnych koszmarach. Jej dotknięcie łagodziło ból płonącego w gorączce ciała i przynosiło błogie ukojenie udręczonym zmysłom.

ROZDZIAŁ TRZECI

Usiadł na sienniku i odrzucił derki, a jego biodra okrywał teraz tylko stary pled Gordona. Przez kilka dni i nocy Morgan pogrążony był w majakach wywołanych przez opium. Ilekroć się budził, tylekroć Lindsay właśnie wybierała się lub wracała z wyprawy do odległych wsi albo na place nieustannie toczących się w okolicy bojów.

Morgan z podziwem patrzył, jak od świtu do późnej nocy dziewczyna uwija się, by choćby jeszcze o dzień dłużej utrzymać rodzinę przy życiu. Przy tym, mimo dolegliwego ubóstwa, zachowywała zdumiewającą pogodę ducha. Nigdy nie zabrakło jej czasu, by przytulić Brocka lub pocałować małą Gwen.

Zawsze też pamiętała o tym, by przynieść ojcu jakiś drobiazg, który poprawiłby mu nastrój i pozwolił choć na chwilę zapomnieć o niesprawnych nogach i kłuciu w płucach.

Podczas przymusowej bezczynności Morgan przemyślał całą sprawę i, by nie zawstydząć pełnych godności biedaków, którzy ocalili mu życie, postanowił nie przyznawać się, że jego ojciec jest panem tych ziem. Na razie więc przyjął ich gościnę, aby potem wynagrodzić im trudy i troskę najhojniej, jak będzie potrafił.

Żałował, że podczas bitwy tak lekko rozstał się z trzosem pełnym złota, które ulżyłoby doli tych biedaków.

- Oho, Morgan, widzę, że już starcza ci sił, żeby usiąść. - Gordon Douglas wszedł do chaty i rozciągnął usta w szerokim uśmiechu. - A stanąć dasz radę, mój chłopcze?

- Chyba tak.

MacLaren z widocznym wysiłkiem podniósł się na nogi, ale zaraz musiał się oprzeć o kominek, by odczekać, aż przestanie mu się kręcić w głowie.

- Dobrze - pochwalił go starszy mężczyzna - a teraz chodź, posiedzimy trochę na słońcu.

Morgan powoli wyszedł za Douglasem przed chatę. Potem obaj usiedli na trawie i oparli się plecami o zwalony pień drzewa.

Chwilę później na podwórko wróciły dzieci. Brock dźwigał w każdej ręce wiadro wody. Morgan pomyślał, że podołanie takiemu ciężarowi sprawiłoby trudność nawet dorosłemu mężczyźnie. Idąca obok chłopca Gwen z wielką ostrożnością niosła coś w fartuszku.

Dzieci zdawały się zaskoczone, widząc Morgana przed domem.

- Lindsay sądziła, że jeszcze przez tydzień nie będziesz mógł wstać z łóżka! - zawołał Brock.

Morgan uśmiechnął się.

- Nie wybieram się nigdzie daleko, ale przynajmniej nie będę sprawiał wam już tyle kłopotu.

- I jak ci poszło zbieranie ziół, dziewczyno? - Douglas zwrócił się do wnuczki.

- Znalazłam wszystko, o co prosiła Lindsay. Zioła na maści lecznicze. Na gojenie ran i na reumatyzm dla wdowy Chisholm.

- Nawet nie wiem, kiedy ta dziewczyna właściwie sypia - westchnął starszy mężczyzna. - Brock, jak zanieziesz wiadro, przynieś fajki i tytoń.

- Dobrze, dziadku. - Chłopiec zaniósł wodę i chwilę później wrócił przed dom, spełniając prośbę Gordona.

Starszy mężczyzna nabił fajki i jedną z nich podał Morganowi. Potem obaj przypalili tytoń od płonącej szczapki, którą przyniósł z kominka Brock. Gordon Douglas głęboko się zaciągnął, oparł o pień i z westchnieniem zadowolenia wypuścił dym z płuc. Morgan uczynił to samo, wzruszony hojnością swego gospodarza.

Brock przykucnął obok dziadka, chwilę później dołączyła do nich Gwen. Siedzieli w pogodnym milczeniu, wystawiając twarze do bladego jesiennego słońca. Potem Gordon zaczął uczyć dzieci liter, które pisał palcem na piasku.

- Nie wiedziałem, że potrafisz pisać - odezwał się Morgan.

- Pisanie to cenna sztuka. Kto umie pisać, może przesłać wiadomość. Dlatego nauczyłem Lindsay i dzieci abecadła.

MacLaren nie przeszkadzał im więcej w lekcji. Grzał się w promieniach słońca, podczas gdy Gordon uczył wnuki pisać. Kiedy lekcja dobiegła końca, starszy mężczyzna obrócił się do niego.

- Od jak dawna jesteś wojownikiem, Morganie MacLarenie?

- Od czternastego roku życia.

- Wcześniej zacząłeś - przyznał Gordon Douglas.

- Matka, Boże miej litość dla jej duszy, prosiła mnie, bym zaczekał jeszcze rok, ale coraz więcej najeźdźców wdzierало się w granice kraju. Nie mogłem się doczekać, kiedy zacznę walczyć przeciw nim, tym bardziej że ciężko poranili w bitwie mego ojca.

Siedzący obok mężczyzna ciężko westchnął.

- Wiem, jak to jest, chłopcze. Sam też rwałem się do walki z wrogami. Walczyłem u boku mego ojca, a nawet u boku naszego lorda.

- Walczyłeś u boku mego... naszego pana? - Morgan przyjrzał się uważnie siedzącemu obok mężczyźnie.

- Kiedyś stałem na czele całego naszego klanu. Należeliśmy do dumnego rodu i od dawna byliśmy sojusznikami MacLarenów. Dzięki temu, że nawzajem sobie pomagaliśmy, udało nam się obronić naszą ziemię przed obcymi. Podczas wielkiego najazdu było tak samo, tylko nie mieliśmy pojęcia, jak wielu tym razem będzie wrogów.

Gordon położył dłoń na udzie.

- To właśnie wtedy mi się to przydarzyło. Kiedy bitwa dobiegała końca, nie mogłem już ustać na nogach, tyle miałem ran, ale wciąż mogłem walczyć z siodła. I walczyłem u boku pana MacLarena, dopóki napastnicy nie ustąpili z placu boju. Nasz pan powiedział wtedy, że bez naszej pomocy nie wygrałby bitwy, i dał słowo, że będzie bronił nas po kres naszego życia.

- Czy dotrzymał słowa? - spytał Morgan.

- Tak. Niebu niech będzie chwała. - Gordon ściszył głos. - W tamtej bitwie zginęła ponad połowa wojowników z mego klanu. Inni mężczyźni byli równie okaleczeni jak ja i wiedzieliśmy, że nigdy więcej nie będziemy mogli walczyć.

Bez pomocy MacLarenów już dawno nic by z nas nie zostało. Kiedy wróciliśmy do domów, w górach słychać było jedynie płacz wdów i sierot. A my dopiero po jakimś czasie zrozumieliśmy, że ci, którzy zginęli w bitwie, mieli więcej szczęścia od tych, którzy przeżyli.

Mimo że wydarzenia, które wspominał, zdarzyły się przed laty, w ściszym głosie Gordona pobrzmiewał ból.

- Gdy wróciłem z pola bitwy, większość moich najbliższych nie żyła, zabili ich uciekający najeźdźcy. Zginęła moja żona, syn i synowa, zabiliby także Lindsay i tych dwoje, gdyby nie zdołali się w porę ukryć.

Dzieci przysunęły się bliżej do dziadka. Morgan uświadomił sobie, że sama wzmianka o tych strasznych wydarzeniach wystarczyła, by na ich buziach pojawiły się ból i strach.

- Jak udało się wam przeżyć? - spytał chłopca.

- Lindsay porwała nas z łóżek i schowała się z nami w lesie - odpowiedział rzeczowo Brock. - Było nam zimno, nie mieliśmy nic do jedzenia i okropnie się baliśmy. Lindsay owijała nas w derki, pledy, we wszystko, co znalazła, lecz my i tak budziliśmy się w nocy i płakaliśmy. Tuliła nas wtedy i uspokajała, bo gdyby ktoś nas znalazł, mogłoby się to źle skończyć. Błąkaliśmy się z Lindsay po lesie przez kilka miesięcy, zanim wrócił dziadek.

- Ile miała wtedy lat?

Gordon zastanawiał się przez chwilę.

- Nie mogła mieć więcej niż dwanaście. Wciąż nie mam pojęcia, jak jej się to udało, ale uratowała życie dzieciom swojego brata.

Morgan pomyślał, jak wyglądało jego własne życie, gdy miał dwanaście lat. Choć jak wszyscy chłopcy sposobił się do rycerskiego rzemiosła - fechtował mieczem i strzelał z łuku, prowadził gry wojenne i polował - jego dzieciństwo było szczęśliwe i pogodne. Na zamku jego ojca nigdy nie brakło żywności. Nawet zimą, gdy wracał do domu, wygrzewał się w ciepłe huczącego na kominku ognia i wciągał smakowity zapach pieczonego na rożnach mięsiwa.

- Jak się wam udało przeżyć tę zimę, Brock?

Chłopiec wzruszył ramionami.

- Kiedy robiło się ciemno, Lindsay zostawiała nas w kryjówce i wracała nad ranem, przynosząc jedzenie. Nigdy jej nie pytałem, skąd je brała, ale myślę, że tak jak teraz wędrowała po okolicznych polach

bitew i wszystko, co udało jej się znaleźć, zamieniała we wsiach na żywność.

Dobiegł ich tętent kopyt. Na drodze pojawił się samotny jeździec.

- To Lindsay! - Gwen zerwała się z miejsca i wybiegła naprzeciw ukochanej ciotce.

Dziewczyna pochwyciła małą, posadziła przed sobą na siodle i podjechała bliżej domu.

- Co nam dziś przywozisz? - spytał ojciec.

- Niestety, niezbyt wiele.

Zsunęła się z siodła i zaczęła rozplątywać rzemienie, którymi obwiązane były tłumoki przytroczone do końskiego grzbietu.

- Znalazłaś jakąś broń? - dopytywał się gorączkowo chłopiec. - Jakieś skarby?

- Nie, Brock. Może jutro pójdzie mi lepiej. Zajmij się koniem - poprosiła miękko chłopca. - Nakarm go i napój. A ty chodź ze mną, Gwen, pomożesz mi zrobić coś do jedzenia. Najwyższa pora wziąć się do pracy.

Morgan bez słowa przyglądał się Lindsay. Choć uśmiechała się do wszystkich i cierpliwie odpowiadała na każde pytanie, blada cera i podkrążone oczy zdradzały, że goni resztkami sił.

Właściwie nie było się czemu dziwić. Ta samotna, szczupła dziewczyna utrzymywała przy życiu dwoje dzieci i niedołęznego ojca. A teraz dodatkowym brzemieniem stał się jeszcze on.

MacLaren zastanawiał się, skąd dziewczyna czerpie energię, i postanowił, że w miarę możliwości postara się jej ulżyć.

Słońce schowało się za chmurami. Pochłodziło. Morganem wstrząsnął dreszcz. Powoli podniósł się, a potem pomógł stanąć na nogi Gordonowi Douglasowi. Kiedy dotarli do chaty, powitał ich smakowity aromat pieczonego na ogniu mięsa i piekącego się na rozżarzonych węglach chleba. MacLaren poczuł, że wraca mu apetyt.

Starszy mężczyzna opadł na krzesło.

- Czy zechcesz nam towarzyszyć przy stole, Morganie MacLarenie? - spytał.

- Tak, chętnie.

Zajął wskazane miejsce, a potem spojrzał na Lindsay, która postawiła pośrodku stołu płaską misę z dziczyzną i deskę z kawałem chleba, a na koniec przyniosła imbryk z herbatą.

Kiedy Lindsay chciała poczęstować go mięsem, ku jej zaskoczeniu wyjął z jej rąk misę.

- Poradzę sobie, pani. Usiądź i napełnij najpierw własny talerz.

Gwen patrzyła na niego wielkimi oczami.

- Przemawiasz do naszej Lindsay, jakby była prawdziwą królową.

- Lindsay znaczy dla mnie więcej od królowej - odpowiedział. - Gdyby nie ona, nie byłoby mnie wśród żywych.

Dziewczyna zarumieniła się po korzonki włosów. Usiadła obok Morgana. Na krótką chwilę ich uda zetknęły się ze sobą pod stołem i Lindsay zrobiło się przyjemnie ciepło.

Morgan podsunął jej misę z mięsem. Nie podnosząc oczu, nałożyła sobie kawałek i poczekała, aż wszyscy napełnią talerze i zmówią modlitwę.

Morgan skosztował kęs mięsa i westchnął zachwycony.

- Cudowne. Nie pamiętam już, kiedy jadłem ostatnio równie znakomitą pieczeń. Jest taka soczysta i delikatna. Jak tego dokonałaś, Lindsay?

- Nic szczególnego nie zrobiłam. Przyrządziłam mięso tak, jak nauczyła mnie matka.

- Wobec tego twoja matka musiała się nauczyć sztuki gotowania od aniołów niebieskich. Nigdy nie sądziłem, że na tym świecie trafi mi się jeszcze taka uczta.

Lindsay, widząc zdumione spojrzenia dzieci, spuściła wzrok.

- Tak ci się tylko zdaje, bo od dawna niczego nie jadłeś, Morganie MacLarenie.

- Nie - pokręcił głową. - Jadałem w najwspanialszych zamkach i w bogatych miastach. Byłem na uczenie nawet u samej królowej w Holyrood House. Nigdzie jednak nie podano mi lepszego jedzenia.

- Byłeś w Edynburgu? - Zdumiony Brock szeroko otworzył usta.

Morgan za późno ugryzł się w język.

- Byłem.

- Co tam robiłeś? - Chłopiec zapomniał o jedzeniu. Inni również wpatrywali się w niego, bardzo zaintrygowani.

- Nasz klan, jako pierwszy z całej Szkocji, złożył królowej przysięgę wierności. Za to, że jako pierwsi stanęliśmy przy niej, zaprosiła nas do Edynburga.

- I jak tam było? - Zwykle tak nieśmiała, Gwen tym razem nie ukrywała, że płonie z ciekawości.

- Miasto jest bardzo wielkie. - Morgan mrugnął do dziewczynki, co sprawiło, że mała oblała się rumieńcem. - A królowa... To naprawdę niezwykle zobaczyć na własne oczy monarchinię. Ale ulice w Edynburgu są brzydkie. Pełno na nich przekupniów, koni, wozów i powozów. Wszędzie jest mnóstwo ludzi i wielu z nich ubiera się jak Anglicy. Dużo bardziej podoba mi się u nas w górach.

- Jak wygląda twój dom? - Gwen była najwyraźniej oszołomiona odkryciem, że ich gość jest światowcem.

- Ani mój dom, ani jedzenie nie może się nawet równać z tym, czym poczęstowała mnie dziś twoja ciotka.

Dzieci zachichotały. Lindsay zarumieniła się po raz wtóry. Chcąc ukryć zmieszanie, wstała i zaczęła sprzątać ze stołu.

- Gwen, zanim pójdziesz spać, pomóż mi.

- Dobrze. - Mała zerwała się od stołu, zebrała puste talerze i zaniósła do Lindsay, która zmywała je w ciepłej wodzie, czerpanej ze stojącego na piecu sagana.

- Chodź, Morganie MacLaren. - Gordon Douglas wskazał gościowi stojącą przed kominkiem ławę.

Podczas gdy Morgan przenosił się na nowe miejsce, Gordon nalał do kubków wino i pokuśtykał do kominka. Jeden kubek podał Morganowi, a z drugiego sam pociągnął łyk wina. Usiadł na ławie, rozparł się wygodnie i wyprostował nogi, tak by ogrzać okaleczone, zeszywniałe od ran mięśnie.

- Niewiele powiedziałeś o swojej rodzinie.

MacLaren pociągnął łyk wina i zapatrzył się w ogień.

- Moja matka umarła, gdy byłem na wojnie. Nigdy nie przestanę żałować, że nie było mi dane jej zobaczyć przed śmiercią.

- Wiem, chłopcze, jak to boli. - Gordon zasepił się na myśl o własnej rodzinie. - A co z twym ojcem? Czy jest mężnym rycerzem?

- Tak, panie. I podobnie jak ty, ma całe ciało pokryte bliznami po ranach, które odniósł w walce z najeźdźcami. Nie jest już taki silny jak kiedyś, ale gdyby trzeba było, i dziś potrafiłby stanąć do boju - odpowiedział Morgan z wyraźnym szacunkiem w głosie. - Choć wielu mam przyjaciół, żaden nie znaczy dla mnie tyle co ojciec. Jest moim wzorem, nauczycielem i przyjacielem.

Starszy mężczyzna spojrział na niego życzliwie.

- Gdyby mój syn jeszcze żył, niczego nie pragnąłbym bardziej, niż usłyszeć taką pochwałę z jego ust.

Gordon opróżnił kubek i pokuśtykał do drabiny prowadzącej na strych. Po drodze podszedł do córki, pochylił się nad nią i pocałował w policzek. Zaskoczona uniosła głowę.

- Za cóż to, ojczy?

- Za wszystko, co dla nas robisz, Lindsay. Wstyd mi, bo byłem tak ślepy, że gdyby nie przypomniał mi o tym Morgan, pewnie nigdy bym nie pomyślał o tym, jak wiele ci zawdzięczamy. - Gordon Douglas spojrział na zdumione dzieci i w jego głosie znów pojawiła się bardziej szorstka nuta. - Pomóżcie mi wdrapać się na strych.

- Chodź, dziadku.

Dzieci życzyły Lindsay i Morganowi dobrej nocy i wspięły się za Gordonem po drabinie. Po drodze Gwen odwróciła się, by pomachać swojej opiekunce. Lindsay i Morgan zostali na dole sami.

Przez długą chwilę siedzieli bez słowa. Dziewczyna uniosła wzrok i spojrzała na młodego rycerza. Miał poważną, skupioną minę.

- Czy chcesz jeszcze wina?

Pokręcił głową i z trudem ułożył usta w uśmiech.

- Dziękuję, nie.

Lindsay na pozór nie zwracała uwagi na nic poza skarpetką, którą robiła dla bratanka, ale wyraźnie czuła na sobie spojrzenie mężczyzny.

- Nieustannie pracujesz, Lindsay.

- Taka to tam i praca - zbyła go nieporadnie, a gdy poczuła, że jego palce delikatnie gładzą jej loki, z wrażenia zgubiła oczko.

- Kiedy odpoczywasz?

- Gdy nie mam już sił do pracy.

Nie chciała się skarżyć, lecz nie potrafiła się powstrzymać. Uniosła wzrok i spojrzała Morganowi w oczy. Miał taką minę, że aż się przestraszyła. Wpatrywał się w nią jak zaczarowany.

- Muszę... - Zerwała się na równe nogi.

Wełna i druty upadły na podłogę. Zakłopotana przykucnęła, żeby wszystko pozbierać, ale w tej samej chwili Morgan opadł obok niej na kolana.

Lindsay zaśmiała się nerwowo.

- Zwykle nie jestem taka niezgrabna.

- Lindsay... - Morgan wziął dziewczynę w ramiona i poczuł, że natychmiast zeszywniała.

Spojrzała na niego wystraszona i zmieszana, a potem szybko odwróciła głowę.

- Nie bój się na mnie patrzeć. - Delikatnie ujął ją pod brodę, nakłaniając, by spojrzała mu w oczy.

- Nie możesz.

- Cśś - szepnął i przyciągnął ją do siebie tak blisko, że czuła jego ciepły oddech na skroni. - Pragnę tylko skosztować twoich ust. Pozwól mi, proszę cię, pani, bo odkąd cię pierwszy raz zobaczyłem, o niczym innym nie marzę.

- Ale ja...

- Czy naprawdę odmówisz umierającemu z pragnienia?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, zaskakująco miękkie i delikatne usta Morgana opadły na jej wargi - lekko jak podmuch wiatru. Poczuł, że dziewczyna gwałtownie odetchnęła, i powstrzymał pragnienie, by przytulić ją z całych sił i namiętnie całować, dopóki się nią nie nasyci. Za nic nie chciał jej jednak przestraszyć.

Lindsay czuła, że całe jej ciało ogarnia przyjemne ciepło. Krew żywiej krążyła w jej żyłach, w głowie cudownie zaszumiało. Jeszcze przed chwilą zerwałaby się i uciekła, gdyby tylko ciało nie odmówiło jej posłuszeństwa, lecz teraz było już za późno.

Choć dłonie Morgana były równie łagodne jak jego usta, Lindsay brakło sił, by uwolnić się z ich uścisku. Wszystko, co mogła zrobić, to klęczeć przed kominkiem w objęciach młodzieńca, któremu ocaliła

życie, i wsłuchiwać się w trudne do zrozumienia sygnały napływające z głębi jej własnego ciała.

Czuła dziwne drzenie, jakby nagle we wszystkich jej członkach rozfruwały się motyle, szukające drogi ku wolności. I rozkoszowała się pragnieniem, którego nawet nie umiała nazwać. Morgan uniósł głowę i zobaczył, że policzki i szyję Lindsay pokrył rumieniec.

W jej oczach ujrzał jednak coś daleko ciekawszego. Oto był świadkiem, jak w dziewczynie budziła się namiętność. Niezgrabnie podniosła się z podłogi. Modliła się, by nogi nie odmówiły jej posłuszeństwa, ale nic jej to nie pomogło i musiała przytrzymać się oparcia ławy.

- Dobrej nocy, Morganie MacLarenie - powiedziała z trudem.

- Życzę ci tego samego, Lindsay Douglas.

Gdy ruszyła w kierunku drabiny, podniósł sprzed kominka zapomniany kłębek wełny.

- Lindsay...

Zebrała spódnicę w garść i czym prędzej uciekła na strych.

Zanim zniknęła, Morgan z przyjemnością rzucił okiem na zgrabne kostki, które na chwilę wyłoniły się spod burej, szorstkiej wełny, oraz podziwiał cudowne ruchy krągłych bioder wspinającej się po drabinie dziewczyny.

Powoli wypuścił powietrze i odkrył, że drżą mu ręce. Odłożył wełnę i druty na ławę, a potem wrócił na swój siennik.

Wiedział, że sen nieprędko przyjdzie do niego tej nocy.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Gdy Lindsay zeszła po drabinie ze strychu, nad horyzontem rozjarzyły się właśnie pierwsze barwy świtu. Od dawna już nie spała. Nieustannie powracało do niej wspomnienie pocałunku, jakim obdarzył ją Morgan MacLaren. Jeszcze nigdy w ciągu jej osiemnastoletniego życia nie wydarzyło się nic podobnego.

Rzuciła okiem na pogrążoną w cieniu ławę, na której spał Morgan. Gdy nie dostrzegła żadnych oznak ruchu, szybko przeszła na palcach przez izbę do drzwi. Nacisnęła klamkę i znalazła się na zewnątrz.

Lindsay zbiegła bosą, w futrze narzuconym na koszulę nocną, nad porośnięty drzewami brzeg potoku. Kiedy znalazła się nad wodą, zrzuciła futro z ramion i przewiesiła przez gałąź, a potem ściągnęła przez głowę koszulę i rzuciła ją na futro obok płóciennego ręcznika.

Bez wahania weszła do zimnej wody i szybko namydliła ciało, a potem pochyliła się, by zmoczyć włosy. Mimo że drżała z zimna, zdecydowanie brnęła w cieniu drzew do miejsca, gdzie potok stawał się głębszy.

Zanurkowała, by spłukać mydło. Kilka sekund później wynurzyła się spod wody i potrząsnęła głową. Włosy zawirowały wokół jej głowy, rozsiewając dokoła tysiące drobnych kropelek, i jak jedwabisty welon opadły na ramiona. Skulona z zimna, szybkim krokiem ruszyła do brzegu.

Osuszyła się ręcznikiem, a potem schyliła się, zebrała włosy w ręcznik i owinęła nim głowę. Gdy wyprostowała się, by sięgnąć po

koszulę nocną, zamarła na widok stojącego w cieniu drzew mężczyzny.

- Morgan - Z trudem chwyciła oddech. - Co ty tu robisz?! Nie zauważyłam... - Urwała i jakby dopiero teraz uświadomiła sobie własną nagość, pośpiesznie sięgnęła po futro i ściśle się nim owinęła.

- Sam dopiero co wyszedłem z potoku i tak byłem zajęty sobą - bronił się - że nie widziałem, kiedy nadeszłaś.

Lindsay dostrzegła, że włosy i kędzierzawe piersi Morgana lśnią jeszcze od kropelek wody. Przerzucony przez ramię pled sięgał zaledwie do pasa, zasłaniając wprawdzie płaski brzuch, lecz pozostawiając odsłonięte biodra.

Dziewczyna znów poczuła niepokojący, nie znany jej dotąd żar w całym ciele. By ukryć zakłopotanie, zadarła wojowniczo podbródek.

- Ale też nic nie zrobiłeś, by uprzedzić mnie o swojej obecności. Co gorsza, zamiast odejść, jak uczyniłby człowiek szlachetny, zostałeś nad potokiem! - przemówiła zaskakująco szorstko.

- Tak, Lindsay. - Wyczuła w jego głosie z trudem skrywane rozbawienie. - Oczywiście, pani, masz całkowitą rację, ale nie możesz mnie winić, że zostałem. Żaden mężczyzna nie umiałby się wyrzec tak pięknego widoku.

Zgromiła go wzrokiem.

- Obrażasz mnie, Morganie MacLarenie, sądząc, iż dla twojej zabawy robiłam to wszystko. Czy masz mnie za bezwstydnicę, która obnaża się przed mężczyznami?

Morganowi odechciało się śmiechu. Nie znał jeszcze Lindsay od tej strony. A co dziwniejsze, jej szczere i nie skrywane oburzenie podobało mu się nie mniej od jej zwykłej słodyczy i łagodności. Płonął w niej ogień i Morgan czuł, że blask i żar tego płomienia przyciąga go coraz mocniej.

Chciała odejść, ale w ostatniej chwili złapał ją za rękę. Spojrzała na niego gniewnie.

- Przepraszam, że cię uraziłem, Lindsay. Nie żałuję jednak, że miałem okazję cię podziwiać. Ani tego, co teraz zrobię.

- Co?

Morgan uniósł jej dłoń do ust i pocałował. Mniej byłaby zaskoczona, gdyby ją uderzył. Dotknięcie jego warg sprawiło, że przebiegł ją cudowny dreszcz.

Wykorzystując zaskoczenie dziewczyny, Morgan obsypał pocałunkami wnętrze jej dłoni, nadgarstek i przedramię. Potem przyciągnął ją bliżej, a jego wargi przeniosły się na jej skroń.

- Wybacz, pani, ale nie mogłem się oprzeć pokusie skosztowania twoich ust. Twój wczorajszy pocałunek rozniecił we mnie ogromne pragnienie.

Wargi Morgana wędrowały po policzku Lindsay, zbliżając się do kącika jej ust. I choć mówiła sobie, że powinna go odepchnąć, prawda była taka, że nie mogła się ruszyć. Z bijącym sercem stała więc nieruchomo, podczas gdy język Morgana obwiodł wokół zarys jej ust.

Wstrzymała dech. Serce w niej zamarło. I w tej samej chwili wiedziała, że jeśli Morgan jej wreszcie nie pocałuje, to oszaleje.

Gdy to nastąpiło, westchnęła z rozkoszy. Przytulił ją mocno, a ich języki splotły się w nienasyconym pocałunku. Lindsay przestała o czymkolwiek myśleć i zatraciła się bez reszty w namiętności.

Morgan walczył ze sobą, ale nie potrafił się oprzeć wzbierającemu w nim pragnieniu. Nakrył usta Lindsay swoimi. Jej westchnienia były tak nieopisanie podniecające.

Dłonie Morgana zbłądziły pod futro dziewczyny. Kiedy wyczuł jędrną krągłość jej piersi, Lindsay poruszyła się raptownie.

Wielkie nieba, co się z nią dzieje? Jeszcze przed chwilą drżała z zimna, a teraz było jej tak gorąco, jakby wyszła z łaźni. Ale jeszcze silniejszy ogień płonął w jej wnętrzu. Całe jej ciało zrobiło się miękkie jak z wosku. W uszach słyszała ogłuszające dudnienie własnego pulsu.

Z trudem odzyskała oddech. Miała zbyt ściśnięte gardło, by móc oddychać. A na dodatek wzbierało w niej również inne uczucie, którego na razie jeszcze nie umiała nazwać. Dziwne pragnienie, by ułożyć się u boku całującego ją mężczyzny i pozwolić mu na wszystko, czego by tylko zapragnął.

Gdyby tylko mogła zrozumieć, co się z nią dzieje. Wystraszona krzyknęła i odepchnęła Morgana.

- Nie! Przestań! Nie mogę pozbierać myśli.

Uniósł głowę i westchnął głęboko, z trudem odzyskując panowanie nad wzbierającą w nim namiętnością. Jeszcze nigdy w życiu nie kosztował niczego, co mogłoby się równać ze słodyczą ust Lindsay.

- Za daleko się posuwasz, Morganie MacLarenie. Wykorzystałeś bez skrpułów chwilę mojej słabości.

- Doprawdy? - Upojony pocałunkami, nie zastanawiał się, co mówi. - Z tego, jak odpowiadałaś na moje pocałunki, wywnioskowałem, że również ich pragniesz.

Jego niebaczne słowa sprowadziły Lindsay na ziemię. Zadarła dumnie brodę i otuliła się futrem.

- No cóż, myliłeś się. Udało ci się skorzystać z chwili mojej nieuwagi, ale nie radzę ci próbować tego więcej.

- Zapamiętam twoje słowa, pani.

Patrzył na nią z podziwem. Była taka drobna, a zarazem niezwykle wojownicza i pociągająca. Przytulił ją mocno i kiedy jej twarz znalazła się zaledwie o parę milimetrów od jego twarzy, uśmiechnął się i spojrzał jej prosto oczy.

- Pani, zapewniam, że następnym razem, zanim cię pocałuję, nie zapomnę poprosić o pozwolenie. Czy to chciałaś usłyszeć?

- Czy to chciałam...

Nie miała pojęcia. Była zła i zmieszana. A przede wszystkim - podniecona. To właśnie budziło w niej najsilniejszy lęk.

- Pytasz, czego chciałam? Chcę, żebyś zapanował nad swą żądzą, Morganie MacLarenie.

Znienacka pchnęła go z całych sił. Zaskoczony, poślizgnął się na mokrej ziemi na brzegu strumienia i stracił równowagę. Jeszcze przez chwilę komicznie wymachiwał rękami, po czym wpadł z głośnym pluskiem do wody.

Podczas gdy Morgan mamrotał coś gniewnie pod nosem, Lindsay pośpiesznie ruszyła ścieżką prowadzącą do chaty. Kiedy już znalazła się przed drzwiami, obejrzała się za siebie. Morgan wygramolił się już ze strumienia i kuśtykał w kierunku domu. Poczula wyrzuty sumienia, ale odwróciła szybko głowę i weszła do domu.

Nie ma powodów, by użalać się nad Morganem MacLarenem. Mężczyzna, któremu starcza siły, by wzbudzić w niej grzeszną żądzę, z pewnością da sobie radę, pomyślała.

- Wcześniej dziś wstałaś, Lindsay - odezwał się ojciec znad miski z owsianką.

- Tak - odpowiedziała krótko, napełniając miskę Gwen.

Morgan siedział skulony przed kominkiem, owinięty w derkę. Na oparciu ławy suszył się pled. Do izby wszedł Brock z wiaderkiem w ręku.

- Znalazłem to nad potokiem. - Chłopiec wyciągnął dłoń, w której trzymał koszulę nocną Lindsay.

- Zapomniałam ją zabrać.

Niemal wyrwała mu koszulę. Kiedy się odwróciła, Morgan uniósł głowę i spojrzał jej w oczy.

Gordon Douglas popatrywał to na swoją córkę, to na ранnego wojownika. Jasno widział, że między nimi coś zaszło, ale nie miał pewności co.

- Czy nie siądziesz z nami do śniadania? - zwrócił się do Morgana.

Na widok rumieńców na policzkach Lindsay MacLaren poweselał. Jednak czuła się trochę winna. Może jeszcze uda mu się wyrównać rachunki za nieoczekiwaną kąpiel w potoku.

Wstał i pokuśtykał do stołu.

- Zasiądę i to z chęcią. Z dnia na dzień rośnie mi apetyt.

Nie chcąc wprawiać Lindsay w większe zakłopotanie, sam napełnił swoją miskę owsianką. Dziewczyna odwróciła się od niego i zaczęła nalewać wodę do kubków.

- Chcesz herbaty, ojczy?

Gdy kiwnął głową, postawiła przed nim kubek. Potem bez słowa postawiła drugi przed Morganem. Kiedy już wreszcie musiała przy nim usiąść, postanowiła nie zwracać na niego najmniejszej uwagi. Rozmyślnie odwróciła głowę do ojca.

- Heywood zaproponował mi za konia trzynaście sztuk złota.

- Za konia?! - zirytował się starszy mężczyzna. - Nie oddasz mu chyba konia, dziewczyno. Odkąd go mamy, nasze życie zmieniło się na lepsze.

- Sama nie wiem, ale na pewno nie oddam go za trzynaście sztuk złota. Heywood musiałby dorzucić co najmniej drugie tyle.

- Jakbyś dorzuciła całusa, na pewno chętnie by zapłacił każdą cenę! - zaśmiał się Brock.

- Trzymaj język za zębami! - ofuknęła chłopca Lindsay.

Brock zmieszał się, zaskoczony tym nagłym napadem złości.

Natychmiast pożałowała swoich słów, ale napotkała wzrok Morgana i czym prędzej odwróciła się do ojca.

- Pomyśl tylko, co moglibyśmy wtedy kupić, ojcze. Przede wszystkim cukier i miód. Mając cukier i miód moglibyśmy sobie upiec pierniki i pudding.

- A na co nam tyle przysmaków?

- Już niedługo Wigilia. Przypomniały mi się te wszystkie pyszności, które piekła na Boże Narodzenie mama. Kiedy byłam dzieckiem, Boże Narodzenie było zawsze takim radosnym świętem. - Lindsay rzuciła wzrokiem na siedzące naprzeciw niej dzieci. - Chciałabym, żeby Gwen i Brock także zapamiętali Wigilię jako dzień szczególnie pogodny i szczęśliwy.

- Nie mów bzdur, Lindsay. - Starszy mężczyzna odsunął nie dojedzoną owsiankę, jakby nagle stracił apetyt. - Wtedy byłem młody i stałem na czele silnego klanu. Te czasy minęły i już nigdy nie wrócą.

- Ale złoto...

- Niech diabli porwą złoto! - Gordon Douglas gwałtownie odsunął zydę. - Od lat wędrówki do wsi i z powrotem zajmowały ci większość dnia. Przypomnij sobie tę zimową noc, gdy omal nie zamarzłaś po drodze. Ile jest dla ciebie warte własne życie?

Pokręcił głową, nim jeszcze zdążyła otworzyć usta, by mu odpowiedzieć.

- Heywood dobrze wie, że koń jest wart dwa razy więcej, niż ci za niego proponuje. Poza tym Brock ma rację. Wszyscy wiemy, że Heywoodowi nie chodzi o konia - powiedział, podnosząc się od stołu.

Lindsay zaczerwieniła się, ale nic nie powiedziała. Bez słowa wstała, pozbierała naczynia i zaczęła zmywać. Kiedy skończyła, zarzuciła oponczkę i nakryła głowę kapturem.

- Dokąd się wybierasz? - spytał ojciec.

- Słyszałam, że koło Glen Lowe była bitwa. Może coś jeszcze znajdę. - Spojrzała wymownie na Morgana. - Na przykład jakieś odzienie dla naszego gościa, żeby widok jego ran nie urzął mojej czci.

Morgan odpowiedział Lindsay spojrzeniem, które jeszcze bardziej ją wzburzyło.

- A może trafi mi się jakiś oręż, za który zrobię zakupy we wsi. Kto wie? Jeśli znajdę drugiego konia, będziemy mieli jedno i drugie, środek transportu i prawdziwą Wigilię.

Zaskoczony zachowaniem córki, ojciec pokuśtykał za nią przed dom. W chwilę później rozległ się stukot kopyt i zapadła cisza.

Morgan spojrzał pytająco na chłopca.

- Kto to jest Heywood?

- Heywood Drummond.

Brock wypowiedział to imię z obrzydzeniem i niechęcią. Takim samym gestem jak dziadek odsunął miskę z nie dokończoną owsianką, co świadczyło, że jest poważnie zmartwiony.

- To bogaty człowiek?

- Tak. Najbogatszy we wsi. Jest wdowcem, ale niektórzy mówią, że zatłukł żonę na śmierć. I wszyscy wiedzą, że chce prosić o rękę Lindsay i że chciałby wziąć ją za żonę w Wigilię Bożego Narodzenia,

bo ksiądz przyjeżdża do wsi tylko raz do roku, na święta. Jeśli Lindsay dałaby mu kosza, Heywood musiałby czekać cały rok, zanim mógłby się z nią ożenić.

- A... - gardło Morgana ścisnął nagły niepokój. - Czy twoja ciotka skłonna jest przyjąć jego oświadczyzny?

Gwen zachichotała. Brock popatrzył na siostrę i po chwili sam także się roześmiał.

- Lindsay mówi, że Heywood Drummond wygląda jak ropucha.

Morgan odetchnął z ulgą. Pociągnął łyk herbaty.

- Lindsay nie dba o majątek Drummonda?

Dzieci śmiały się jeszcze, ale w oczach Brocka pojawił się cień. Głos chłopca również zdradzał niepokój.

- Zima jest dla dziadka najgorszą porą roku. Niedługo zaczną go męczyć napady kaszlu i nie będzie miał sił, by wspinać się po drabinie na strych. Z roku na rok jest z nim gorzej. Lindsay mówiła, że u Heywooda piece nigdy nie stygną.

Na widok niedowierzania i lęku w oczach siostry chłopiec zmienił ton.

- Może Lindsay przywiezie jeszcze jakieś skarby z pobożowiska. - Brock wstał od stołu. - Albo może znajdzie nas tu w lesie święty Mikołaj i wydarzy się jakiś cud.

- Naprawdę tak myślisz, Brock? - Oczy Gwen rozjaśniła radość.

Chłopiec wzruszył ramionami i odwrócił się, by ukryć przed siostrą własne wątpliwości.

- Pamiętasz sama, co nam zawsze mówi Lindsay. Kto modli się i pracuje, temu niczego nie brakuje.

Dziewczynka złożyła ręce i zamknęła oczy.

- Mamy jeszcze robotę, Gwen - przypomniał siostrze Brock.

- Tak, wiem, ale najpierw chcę się przez chwilę pomodlić.

- Zdążysz się pomodlić, gdy zrobi się ciemno.

Kiedy dzieci wyszły, Morgan pozostał przy stole. Długo siedział zamyślony nad kubkiem z herbatą. Nienawidził Heywooda Drummonda. Wiedział, że to zazdrość. Dopóki nie spotkał Lindsay, nigdy jeszcze nie zaznał tego uczucia. Teraz już wiedział, jak smakuje.

Ale nie tylko zazdrość o mężczyznę, zabiegającego o względy Lindsay, była powodem jego ponurych myśli. Bardziej oburzało go, że Heywood Drummond tak bezwzględnie wykorzystuje swą przewagę w stosunku do bezradnej dziewczyny. I to takiej, która zasługiwała na los o wiele lepszy niż ten, jaki przypadł jej w udziale.

Morgan był tak niespokojny, że nie mógł usiedzieć w miejscu. Musiał coś zrobić. Wstał od stołu i zaczął krążyć po izbie, dopóki ból nie zmusił go do odpoczynku. Przeklinał własną bezsilność. Musi przewyciężyć cierpienie. Przecież jest wojownikiem.

Znów stanął na nogi. Odczekał chwilę, a kiedy wewnątrz chaty przestało wirować mu przed oczami, podszedł do drzwi. Może jest jeszcze zbyt słaby, by zapolować na jelenia, ale z pewnością zdoła pochwycić jakąś drobniejszą zwierzynę lub nałowić ryb. Starczy mu także siły, by przynieść wodę i narąbać drewna.

Dopóki słabość przykuwa go do tego miejsca, powinien pomóc Lindsay w jej zmaganiach z rzeczywistością. Gotów był na wszystko, by ulżyć dziewczynie. Postanowił, że pomoże tej podziwu godnej istocie przetrwać najsurowszą porę roku, i zadba o to, by nie była zdana na łaskę i niełaskę Heywooda Drummonda.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Co tu się dzieje? - Lindsay weszła do domu i wciągnęła w nozdrza smakowity zapach świeżo upieczonego chleba.

Podeszła do pieca i uchyliła pokrywkę stojącego w żarze paleniska garnka. W gęstym sosie z aromatycznych ziół pływały kawałki mięsa. Z całej rodziny w domu była tylko Gwen, która nakrywała właśnie do stołu, i śpiący na ławie Gordon.

Lindsay spojrzała pytająco na dziewczynkę.

- Czy to ty ugotowałaś obiad, Gwen?

Mała pokiwała głową w geście zakłopotania.

- Tak i nie. To Morgan nauczył Brocka zastawiać sidła na króliki, a potem pokazał mi, jak udusić mięso w ziołach.

- A kto przygotował chleb?

- Morgan powiedział, że matka nauczyła go piec chleb, gdy był jeszcze dzieckiem. Teraz on nauczył nas tego samego.

Lindsay odetchnęła głęboko. Poczowała niewymowną ulgę. Wróciła do domu przybita i zmęczona. Niczego nie przywiozła i przez całą drogę powrotną zastanawiała się, skąd weźmie siły, by przygotować

coś do jedzenia. Czowała się tak, jakby Morgan zdjął z jej ramion ciężkie brzemie.

- A gdzie oni teraz są?

- Nad potokiem. Morgan uczy Brocka, jak przygotować skórę do garbowania. Pójść po nich, Lindsay?

- Sama to zrobię.

Przed wyjściem z domu spojrzała jeszcze raz na ojca. Gordon spał w ciepłe kominka z pogodną miną. Dziewczyna uśmiechnęła się i wyszła przed chatę. Białe zimowe słońce schowało się za horyzontem i na dworze szybko zapadał zmierzch.

Lindsay zeszła ścieżką nad potok. Mężczyzna i chłopiec klęczeli na brzegu, rozciągając mokrą skórę na płaskim kamieniu. Tak byli zajęci, że nawet nie zauważyli zbliżającej się Lindsay. Zanim do nich podeszła, przyglądała im się przez chwilę.

Morgan miał na sobie tylko pled. Jeden koniec owinał wokół bioder, a drugim okrył ramiona i plecy. Choć przesadą byłoby nazwać ten przydziewek nieskromnym, to jednak dał Lindsay okazję podziwiania muskularnego ciała, które budziło w niej tyle niepojętych uczuć i emocji.

- Wojownik niczego nie może marnować, Brock. Mięso, którego nie zjesz, możesz uwędzić albo ususzyć. Podczas długiego oblężenia ocaleniem dla załogi może się okazać nawet mały zapas jedzenia. Jeśli zwiążesz wylot żołądka, będziesz mógł go wykorzystać jako bukłak. A skórki nadadzą się na futro. Podczas wojny, gdy nieprzyjaciół jest

blisko i nie można rozpalić ognia, futro pozwala przetrwać zimne noce.

- Z królika można zrobić co najwyżej czapkę - powiedział z powątpiewaniem chłopiec.

- Tak myślisz? A jeśli zszyjesz je razem? Wystarczy tuzin królików, żeby odziać ciepło twoją siostrę lub ciotkę. Nawet ze skrawków można zrobić rękawiczki lub onuce.

Brock energicznie pokiwał głową. Z podziwem wpatrywał się w każdy gest Morgana. Gdy dostrzegł kątem oka ciotkę, uniósł wzrok.

- Lindsay! Popatrz, czego mnie Morgan uczy.

- Widzę.

Poczuła na sobie spojrzenie MacLarena i zrobiło jej się nieoczekiwanie gorąco.

- Jak myślisz, Lindsay, czy Gwen chciałaby futro z królików?

- Na pewno, nie marząby przez zimę. A gdyby to futro uszył jej brat, byłoby na pewno jeszcze cieplejsze.

Lindsay widziała, że chłopiec zamyślił się nad jej słowami.

- Chodźcie do domu. Nie wiem jak wy, ale ja jestem okropnie głodna.

- Widziałaś, co Morgan przygotował na kolację? - spytał chłopiec, gdy wspinali się ścieżką w kierunku domu.

- Tak.

- Zdziwiłaś się?

- To była cudowna niespodzianka. - Lindsay odwróciła się do kuśtykającego za nimi mężczyzny. - Dziękuję.

Odpowiedział jej ciepłym uśmiechem. Gdy weszli do domu, zastali Gordona przy stole wraz z wnuczką. Kroił chleb, który podała mu Gwen. Po chwili starszy mężczyzna uniósł wzrok.

- Uważaj, dziewczyno, bo jak tak dalej pójdzie, ten wojownik nie zostawi ci nic do roboty.

Morgan zaśmiał się, słysząc te słowa.

- Nie wierz w to, Lindsay. Niczego więcej nie potrafię przyrządzić. Umiem tylko udusić mięso i upiec chleb.

- To starczy, by przeżyć - zauważył trzeźwo starszy mężczyzna.

- To prawda - przyznał MacLaren. - Ale cóż by to było za życie, gdyby nie było w nim większych przyjemności niż ciepła strawa. Osobiście wolę potrawy twojej córki, panie, niż własne.

Gordon z aprobatą skinął głową.

- Tu chętnie przyznam ci rację, Morganie MacLarenie. Co do mnie, wolę kuchnię Lindsay od całego złota Holyrood House.

Morgan spojrzał pytająco na starszego mężczyznę. Gordon zarumienił się i nieco powściągnął zapał.

- Mając całe złoto Holyrood House, może bym i jakoś wytrzymał bez posiłków Lindsay, ale musisz przyznać, że królewska kuchnia nie może się równać z tym, co gotuje ta dziewczyna.

- Do tego nie musisz mnie przekonywać, Gordonie.

Mężczyźni spojrzeli po sobie porozumiewawczo. Napelnili talerze. Lindsay z przyjemnością patrzyła na najbliższych. Pomoc rannego rycerza była miłą niespodzianką. Dzięki niemu mieli co jeść

przez najbliższe kilka dni. A ona mogła wreszcie zobaczyć coś, co ceniła sobie ponad wszystko na świecie - uśmiech na twarzy ojca.

Po kolacji mężczyźni usiedli na ławie, by zapalić fajki i wypić po kubku piwa. Lindsay i Gwen pozmywały naczynia. Gdy zapadł wieczór, dzieci z dziadkiem wspięły się po drabinie na strych.

Lindsay usiadła przy ogniu z robótką na drutach. Kątem oka dostrzegła, że Morgan rozciera ramię,

- Boli cię ręka?

- Nie - zaprzeczył z uśmiechem, ale Lindsay wiedziała swoje.

- Zanadto się dziś wysilałeś. Upolowałeś i oparłeś króliki, ugotowałeś obiad i upiekłeś chleb, a tymczasem powinienes leżeć i wracać do sił. Jeszcze przed kilkoma dniami stałeś na krawędzi grobu. Za wcześnie się bierzesz do pracy, Morganie MacLarenie.

- Nie mogę znieść bezczynności. Poza tym rankiem z pewnością poczuję się lepiej.

- Jeżeli naprawdę tego chcesz, pozwól, że nałożę na twoje rany świeżą maść.

Lindsay odłożyła robótkę i wstała z ławy. W chwilę później wróciła ze słojem i rzuciła na podłogę futro.

- Będziesz musiał przyjść tu do mnie, bliżej ognia, i obnażyć ramię.

Nie miał najmniejszego zamiaru się z nią spierać. Odwinął pled, przewiązał go wokół bioder i posłusznie ułożył się na podłodze.

Lindsay nabrała maść czubkami palców i przesunęła opuszkami po skórze leżącego przed nią wojownika. Natychmiast zrobiło jej się

gorąco. Powtarzała sobie, że powinna patrzeć na Morgana jak na rannego rycerza, nie jak na mężczyznę.

Jednak z każdym ruchem coraz wyraźniej uświadamiała sobie, że to po prostu niemożliwe. Nie umiała zapomnieć pocałunków, dzięki którym zrozumiała, że jest kobietą, a z czego do tej pory nie zdawała sobie sprawy. Wiedziała, że te cudowne chwile będzie pamiętać do końca życia.

Morgan posłusznie leżał na podłodze i rozkoszował się dotykiem Lindsay.

- Och, masz ręce delikatne jak anioł.

- Niedługo pożałujesz tych słów, bo rana zaraz zacznie cię piec, jakbyś wpadł w ognistą czeluść piekła - roześmiała się dziewczyna.

- Co mi tam maść. Wiem z całą pewnością, że jeszcze nigdy nie gładziły mnie takie ręce.

Nie odpowiedziała. Zastanawiała się, czy to możliwe, by Morgan czytał w jej myślach, bo właśnie przebiegło jej przez głowę, że nigdy dotąd nie czuła się równie przyjemnie, dotykając mężczyzny. Jego twarde, muskularne ciało było zupełnie niepodobne do ciała jej żałośnie okaleczonego ojca.

Lindsay miała chęć smarować Morgana maścią w coraz to nowych miejscach. Wszędzie. I prawdę mówiąc, pragnęła, by on także pogładził jej skórę.

- Co się stało, Lindsay? Czemu przerwałaś? - Morgan przewrócił się na plecy i dostrzegł, że dziewczyna ma zaróżowione policzki.

Zerwał się z podłogi i ujął oburącz dłonie Lindsay.

- Przepraszam cię, nie powinienem był się zgodzić. Nie powinienem był obrażać twojej czci widokiem blizn wyniesionych z bitew.

- Nie. - Spuściła głowę, by ukryć wstyd. - Widok twych ran nie jest dla mnie przykry. - Lindsay rozplakała się bezradnie.

- Nic się nie stało, nie płacz, pani. - Ośmielony jej przyzwoleniem, objął ją i przytulił.

- Gdy mówisz do mnie „pani”, czuję się, jakbym była kimś nadzwyczajnym i niezwykłym.

- Bo jesteś kimś nadzwyczajnym i niezwykłym, Lindsay. - Morgan wtulił usta we włosy dziewczyny. - Przynajmniej dla mnie.

Poczuła, że jego dłonie zsuwają się po jej ramionach i plecach. Zrobiło jej się gorąco, jakby każde dotknięcie Morgana podsycalo w niej wewnętrzny ogień. Płomień rósł z chwili na chwilę, jakby miał zaraz ogarnąć całe jej ciało.

Lindsay miała wielką ochotę odpowiedzieć na pieszczoty Morgana. Pragnęła przesunąć palcami po zmierzwionych, ciemnych włosach porastających szeroką pierś, dotykać jego ramion i szyi, ale była zbyt onieśmielona, by to zrobić. Klęczała jedynie, bojąc się, że jeśli się poruszy, straci równowagę i opadnie bezwładnie na podłogę.

- Boję się... - Morgan zawiesił głos i ujął twarz Lindsay w dłonie.
- Boję się, że znów zasłużę sobie na burę.

- Dlaczego?

Wpatrywał się w nią tak przenikliwym wzrokiem, że zadrżała. Uśmiechnął się.

- Bo zamierzam cię raz jeszcze pocałować.
- Och - westchnęła.
- Czy to znaczy, że się zgadzasz, pani?
- Tak, Morganie MacLarenie. Zgadzam się, żebyś mnie pocałował.

Uśmiechnął się szerzej.

- Miło mi to słyszeć.

Potem już nie dodał ani słowa, tylko po prostu pocałował Lindsay, tak łagodnie i delikatnie, że serce zatrzepotało w jej piersi jak ptak w klatce. Nie odrywając ust od jej warg, przytulił ją mocniej. Zarzuciła mu ramiona na szyję i zamknęła oczy. Czuła się tak lekko, jakby unosiła ją woda. Jakby pływała w powietrzu.

Gdzieś spoza domu dobiegł ją świergot nocnych ptaków. Trzask płonących polan i chrapanie ojca zdawało się dobiegać z wielkiej dali, jakby cały świat odpływał unoszony falami wezbranej rzeki. Została sama na samą z mężczyzną, którego ramiona potrafiły ją unieść do siódmego nieba. Lindsay zatraciła się w pocałunkach Morgana.

Oderwał wargi od jej ust i wziął głęboki oddech. Jego uścisk osłabł, a potem niemal zupełnie wypuścił ją z rąk.

Jeszcze przez chwilę czekała, aż wreszcie uniosła powieki.

- Co się stało? Czemu mnie nie całujesz?

Była taka otwarta. Tak cudownie naiwna. Morgan uświadomił sobie, że posuwa się za daleko i nadużywa jej zaufania.

- Pora spać, Lindsay. Już późno. A ja... - Wstał i pociągnął ją za rękę. - Ja muszę się przejść.

- Dokąd chcesz iść o tej porze? Jest ciemno i zimno,

- Tak. - Odpowiedział zaskakująco szorstkim tonem. - Tego mi teraz właśnie trzeba.

Zabiegła mu drogę.

- Ale pocałuj mnie jeszcze raz.

Miał ochotę zawyć ze złości. Chwycił ją w ramiona, obrócił się razem z nią i popchnął w kierunku drabiny.

- Marsz spać, Lindsay - rzucił krótko. - Muszę wyjść.

Zaskoczona i zmieszana jego postępowaniem, z ociąganiem spełniła to stanowcze polecenie. U stóp drabiny zatrzymała się i obejrzała za siebie. Morgan narzucił na ramiona futro i pokuśtykał do drzwi. Wychodząc z domu, nawet nie rzucił na nią okiem.

Zdumiona i rozczarowana opadła na najniższy szczebel drabiny i podparła twarz dłońmi. Co takiego zrobiła? Czy źle go całowała? A może jednak powinna go dotykać tak jak on jej? Żałowała, że niewiele wie o tych sprawach. Cóż mogła na to poradzić, przecież jej życie mijało na nieustannej pracy, a nie na zabawach i zalotach.

Lindsay zamyśliła się. Wiedziała, co następuje po zalotach. Po zalotach ludzie biorą ślub i śpią ze sobą. W surowym świecie, w jakim dorastała, małżeństwo nie było sprawą kaprysu, lecz kwestią przetrwania. Kobiety wychodziły za mąż po to, by mieć kogoś, kto się nimi zajmie. To mężczyźni polowali, zdobywali pożywienie i zapewniali bezpieczeństwo.

Przypomniawszy jej się Heywood Drummond, który nie ukrywał, że chciałby, by za niego wyszła. Z drugiej strony ludzie szeptali, iż

Heywood zatłukł swoją pierwszą żonę na śmierć, a jego zachowanie zdawało się niekiedy wskazywać, że okrucieństwo leży w jego naturze. To właśnie zadecydowało, że trzymała Heywooda Drummonda na dystans. Na razie wołała niczym nie zachęcać go do oświadczeń.

Morgan MacLaren był zupełnie inny. Nie był podobny do żadnego mężczyzny, jakiego dotąd znała. Był silny, bo taki powinien być wojownik, ale zarazem uważny i delikatny wobec niej i dzieci.

A kiedy jej dotykał, wpadały jej do głowy szalone pomysły. Gotowa była położyć się z nim na podłodze i pozwolić, żeby ją całował po całym ciele. Gotowa była nawet kochać się z nim, jak robią to mężatki. Choć bała się, że będzie to okropne.

A może nie?

Zamknęła oczy z jękiem rozpacz. Boże, ależ ona musi wydawać mu się głupia! Beznadziejnie, rozpaczliwie głupia.

Morgan doszedł nad potok, a potem ruszył wzdłuż brzegu, aż trafił na polanę, nad którą rozciągało się usiane gwiazdami niebo. Był zmęczony po dniu spędzonym na nieustannej pracy. Powinien już dawno spać jak dziecko, a tymczasem stał na chłodnej ziemi, z dala od domu i bił się z myślami. Nie wiedział, co będzie później, ale czuł, że dopóki Lindsay nie uśnie, nie wolno mu wracać do domu.

Pragnął jej i udręka tego skazanego na niespełnienie uczucia była gorsza od bólu, jakiego kiedykolwiek doświadczył, nawet od ran odniesionych w bitwie.

Nigdy dotąd nie poznał dziewczyny równie słodkiej i niewinnej. To właśnie jej niewinność stanowiła powód, dla którego włóczył się pośród zimnej nocy, zamiast przed kominkiem leżeć w ramionach Lindsay.

Poszanowanie czci panieńskiej wpajano mu od dzieciństwa, a z uwagi na swą pozycję szczególnie mocno musiał dbać o opinię. By zasłużyć na ludzki szacunek, powinien zawsze, niezależnie od okoliczności, postępować tak, żeby nie mieć sobie nic do wyrzucenia.

Morgan zawsze starał się być godnym następcą swego ojca i we wszystkim kierował się zasadami rycerskiego honoru. Jak dotąd nigdy od niego nie odstąpił, lecz teraz bał się, że Lindsay, w naiwności swego ducha, może go skusić do złego.

Wpatrywał się w gwiazdy, póki zimno i zmęczenie nie zmusiły go, by wrócił do chaty. Cicho otworzył drzwi i wszedł do izby. Ciemne wnętrze rozjaśniał jedynie żar na palenisku pieca.

Morgan ułożył się na sienniku. Nawet we śnie nie zaznał spokoju, przez całą noc bowiem rudowłosa kusicielka dręczyła go zachętami, z których nie mógł skorzystać. Obudził się nazajutrz tylko po to, by twarzą w twarz znów stanąć przed udręką pożądania.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Lindsay zeszła po drabinie. Na palenisku płonął ogień, ale siennik był pusty. Serce dziewczyny ścisnął nagły lęk. Odwróciła wzrok i zajęła się szykowaniem owsianki.

W chwilę później zeszły skulone dzieci, by ubrać się w ciepłe kominka.

- Gdzie jest Morgan? - spytał chłopiec.

Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem, może sobie poszedł.

Westchnęła. Wiedziała, że nie powinna mieć do niego o to pretensji. Nie było to przyjemne, lecz należało spojrzeć prawdzie w oczy.

- Teraz, gdy jego rany się wygoiły, na pewno przed zimą będzie chciał wrócić do domu, Brock. Do innych wojowników, z którymi będzie mógł pić w karczmie.

Wino i dziewczki. Na myśl o tym ścisnęło jej się serce. Była pewna, że odstraszyła Morgana swoim brakiem doświadczenia. Cóż mu po kobiecie, która nie umie się kochać? Po co miałby siedzieć z nimi i dzielić ich nędzę?

- Odszedł bez pożegnania? - Chłopiec żarliwie pokręcił głową. - Morgan nigdy by tak nie postąpił.

Lindsay spojrzała wyrozumiale na Brocka.

- Wierzysz, że Morgan MacLaren jest prawdziwym rycerzem?

- Tak, Lindsay. Wiem, że nie mógłby odejść tak bez słowa.

Postanowiła sprowadzić chłopca na ziemię.

- Nasza nędzna chata nie jest miejscem dla takiego pana jak Morgan MacLaren, dla rycerza, który był w Edynburgu i widział królową.

- O co tam chodzi? - rozległ się surowy głos Gordona Douglasa. -
Co masz do powiedzenia o rycerzach, Lindsay?

Zawstydziała się i umilkła.

W tej samej chwili drzwi do chaty otwały się szeroko i do izby wszedł Morgan z naręczem drew.

- No widzisz, Lindsay! - Głos Brocka dźwięczał triumfem. -
Mówiłem ci, że nie odszedłby bez słowa.

- Kto odszedł? - Morgan rzucił drwa na podłogę przed paleniskiem i otrzepał ręce.

- Lindsay mówiła, że odszedłeś bez pożegnania.

Odwróciła się do niego plecami, lecz zdążył dostrzec, że się zaczerwieniła.

- Nigdzie się nie wybieram, Brock. - Morgan zmierzwił przyjacielskim gestem włosy chłopca i podszedł do stołu. -
Przynajmniej dopóki nie pokosztuję jeszcze tych smakołyków, które przyrządza twoja ciotka.

Dziewczyna postawiła przed nim miskę owsianki.

- Nie powinienesz rąbać drew.

- Dlaczego? - uśmiechnął się do niej.

- Bo twoje rany jeszcze się nie wygoiły. Wczoraj byłeś cały obolały.

- Tak było - przyznał - ale dzięki twojej maści ból minął bez śladu.

- Naprawdę?

Kiwnął głową i zobaczył, że oczy Lindsay pojaśniały.

Do stołu zasiadł Gordon z dziećmi. Wszyscy sięgnęli po swoje miski. Po modlitwie zaczęli jeść.

- Co będziesz dziś robić, dziewczyno? - Gordon starannie wygarnął resztki owsianki skórką od chleba.

- Zawiozę do wsi maść dla wdowy Chisholm. Wrócę przez łąki, może po drodze coś upoluję.

- Obiecałem wczoraj Brockowi, że zabiorę go do lasu i nauczę podchodzić zwierzynę.

- Ale twoje ramię...

W odpowiedzi Morgan nakrył dłonią rękę Lindsay.

- Starczy mi sił, by naciągnąć łuk. Wiedz, że nie zwykłem chybiać celu.

Zarumieniła się i wtedy zdała sobie sprawę, że wszyscy na nich patrzą.

- Dobrze - odpowiedziała. - Wezmę sztylet. Idźcie z łukiem i coś upolujcie, ale nie forsuj ręki, bo rana może się otworzyć i dostaniesz krwotoku.

- Będę uważał - obiecał Morgan z uśmiechem.

Gordon Douglas obserwował wszystko ze swego miejsca.

Naraz zdał sobie sprawę, że jego córka zmienia się w oczach. Podobnie jak ten zuchwały rycerz, który u nich zagościł. Nie było wątpliwości, że młodzi mają się ku sobie.

Przypomniał mu się inny młody rycerz, który stracił serce dla słodkiej dziewczyny z promieniście rudymi włosami i śmiejącymi się, zielonymi oczami.

Ilekroć spojrzał na Lindsay, przypominała mu się jej matka. Dobrze rozumiał, że Morgan MacLaren jest urzeczony jego córką. On sam był kiedyś tak samo zauroczony jej matką i w głębi serca nigdy nie pogodził się z tym, że ją stracił.

- Szkoda, że tego nie widziałaś, Lindsay. - Oczy Brocka błyszczały, gdy opowiadał o wydarzeniach dnia. - Morgan nauczył mnie tropić i podchodzić zwierzynę. Pokazał mi, jak rozpoznawać ślady. On odróżnia tropy łani i rogacza. Potrafi policzyć, ile sztuk liczy stado. Potem Morgan czekał ukryty za pnem, aż samiec spuści łeb, i wtedy wycelował i położył go jedną strzałą.

- Szkoda, że tego nie widziałam - powiedziała z pełnymi ustami Gwen.

- Chciałabyś wybrać się na polowanie? - Morgan uśmiechnął się do dziewczynki. - Wobec tego następnym razem weźmiemy cię ze sobą.

- Naprawdę? - Gwen promieniała szczęściem.

- A jak tobie upłynął dzień, dziewczyno? - Douglas spojrzał spod oka na córkę, która od powrotu ze wsi była dziwnie cicha. - Zawiozłaś maść wdowie Chisholm?

- Tak. Dała mi w zamian przepiórcze jaja, cały tuzin. Znalazła gniazdo na łąkach.

Starszy mężczyzna uśmiechnął się zadowolony.

- Zawsze coś wymyślisz, dziewczyno. I zamieniłaś te jaja na coś innego?

- Nikt prócz Heywooda nie chciał ze mną handlować.

Na wzmiankę o kupcu wszyscy umilkli.

- No i co Heywood ci zaproponował?

Lindsay wpatrywała się bez słowa w talerz. Jedzenie nagle straciło cały smak.

- Heywood powiedział, że wdowa Chisholm znalazła te jajka dwa tygodnie temu i sama już próbowała na coś je wymienić. Powiedział jeszcze, że teraz jajka są już pewnie zepsute i że nie da za nie więcej niż jedno kurze jajko.

- Jedno kurze jajo za tuzin jajek przepiórczych? - Starszy mężczyzna zacisnął dłoń w pięść. - Ten Heywood Drummond to złodziej jakich mało. Dobrze wie, że mamy zimę na karku i wszystkiego nam brak. Czy niczego innego ci nie proponował?

Lindsay bez słowa wstała od stołu.

- Pozmywasz dziś sama po kolacji? - spytała łagodnie Gwen.

- Tak, Lindsay. A dokąd ty idziesz?

- Chcę się położyć. - Lindsay ruszyła w kierunku drabiny.

Zanim postawiła nogę na pierwszym szczeblu, ojciec uderzył pięścią w stół.

- Nie pójdziesz spać, dopóki nie odpowiesz na moje pytanie. Czy Heywood Drummond zaproponował ci coś jeszcze?

Lindsay opuściła głowę.

- Owce z jagniętami i stadko kurcząt - powiedziała ledwie słyszalnym głosem.

- Co takiego? Owce i kurczęta? Co ty pleciesz, dziewczyno? Co to za pomysł?

- To w zamian za moją zgodę na ogłoszenie zaręczyn. - Lindsay uniosła głowę i popatrzyła na ojca. - Heywood Drummond chciałby ogłosić nasze zaręczyny, żebyśmy mogli wziąć ślub w Wigilię Bożego Narodzenia. Chciałby też, żebym oddała Gwen i Brocka do dzierżawcy w sąsiedniej wsi, który sam ma tuzin dzieci, ale chętnie weźmie jeszcze dwoje, bo trzeba mu rąk do pracy w polu.

Nie dodając ani słowa więcej, wspięła się po drabinie na strych. Ojciec zerwał się od stołu i wyszedł z domu, zatraskując za sobą z hukiem drzwi. W izbie zapadła głucha cisza. Morgan zacisnął pięści.

Najchętniej wyszedłby jak Gordon z domu, by wyładować wściekłość z dala od dzieci. W tej chwili jednak nie zostało mu nic innego, jak zająć się tymi właśnie dziećmi, których twarze wyrażały lęk. Pragnąc wprowadzić spokojniejszy nastrój, wstał od stołu, pozbierał talerze, nalał wody do cebra i zaczął zmywać.

- Ja także rosłem poza domem - zaczął spokojnie.

- Naprawdę? - Brock popatrzył na niego zaskoczony, po czym oboje z Gwen podszli bliżej.

- Tak.

- Dlatego, że też byłeś biedny? - spytała dziewczynka.

Morgan pokręcił głową i dał im po kawałku płótna, by wycierali naczynia.

- Chciałem zostać rycerzem i musiałem się nauczyć tego rzemiosła. Ojciec powiedział mi, że najlepszym nauczycielem będzie dla mnie Allistair MacLaren z naszego klanu. Błagałem go więc, żeby

przyjął mnie na służbę i nauczył wszystkiego, co powinien umieć wojownik.

- Jak długo z nim mieszkałeś? - spytał cicho Brock.

- Trzy lata.

- Trzy lata - powtórzyła wystraszona Gwen.

Dzieci popatrzyły po sobie.

- Bardzo cię bił? - spytał Brock.

Morgan przerwał pracę, by spojrzeć na chłopca.

- Czy mnie bił? Nie. Skąd ci to przyszło do głowy?

- Lindsay poszła kiedyś do pracy w jednym bogatym domu. Miała zostać pokojówką. To było wkrótce po tym, jak dziadek wrócił z wojny i nie mieliśmy się gdzie podziać. Przepracowała tam tylko kilka dni.

- Nie spodobało jej się tam?

Chłopiec w milczeniu wycierał talerz, zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Lindsay zawsze jest chętna do pracy. Nigdy się nie leni. Kiedy podawała do stołu i wylała piwo na świeży obrus, jej pani rozzłościła się i ją zbiła.

- Co takiego? - Morgan znieruchomiał. - Zbiła Lindsay?

- Nieraz. W końcu Lindsay uciekła.

- Wróciła do domu?

- Nie.

- Dlaczego?

- Bo się wstydziła. Wstydziła się przed dziadkiem. Przed nami wszystkimi. Ukryła się w lesie. Kiedy przysłali po nią służącego, dziadek zorientował się, że coś się stało, i zaczął jej szukać.

Znalazł ją pokrwawioną, z pręgami od kija na grzbiecie i na nogach, w podartym ubraniu. Kiedy rany się wreszcie wygoiły, Lindsay padła dziadkowi do nóg i prosiła, żeby nie posyłał jej z powrotem do tego domu. Powiedziała wtedy, że woli żyć w lesie, żywiąc się jagodami i śpiąc w trawie, niż trafić do okrutnego pana.

Chłopiec odstawił talerz i starannie wytarł ręce. W jego oczach malowały się strach i smutek. Morganowi ścisnęło się serce.

- To był jedyny raz w życiu - dodał Brock ledwo słyszalnym szeptem - kiedy widziałem, jak dziadek płakał.

Potem wziął siostrę za rękę i poprowadził w kierunku drabiny.

Kilka godzin później, gdy Morgan wciąż siedział wpatrzony w ogień, do chaty wrócił Gordon. Mężczyźni nie zamienili ani słowa, ale z twarzy Douglasa łatwo można było wyczytać, co go gryzie.

Gdy Gordon wspiął się po drabinie na strych, Morgan na nowo popadł w zadumę. Po kolei rozważał wszystko, czego się dowiedział. Nic dziwnego, pomyślał, że ta zadziwiająca dziewczyna tak go urzekła.

Na myśl, że ktokolwiek mógłby ją skrzywdzić, MacLaren mimo woli zacisnął potężne pięści. Przysiągł sobie, że uczyni, co w jego mocy, by nic nie zatruwało życia kobiecie, którą pokochał.

Kobieta, którą pokochał.

To było zaskakujące odkrycie. Po chwili Morgan uśmiechnął się do siebie zadowolony. To takie proste. Jest dość potężny, by zrobić, co zechce. Sam poprosi o rękę Lindsay i weźmie ją za żonę. Wracając do domu, zabierze ze sobą żonę i jej rodzinę. Zadba, by już nigdy niczego im nie brakło.

Jego żona. Jego rodzina. Kiedy powtarzał te słowa w myślach, czuł w sercu słodycz szczęścia. Był tak przejęty, że nie mógł usnąć. Nie mógł się doczekać, kiedy barwy świtu rozjaśnią niebo, a on udowodni Lindsay, jak bardzo ją kocha.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Witaj, moja pani.

- Dzień dobry. - Lindsay zeszła po drabinie.

Na widok stojącego w otwartych drzwiach Morgana jej serce wypełniła radość. Rozejrzała się zdumiona po izbie. Na palenisku płonął ogień, na piecu stał garnek, z którego dolatywał zapach owsianki, a na stole stał poobijany cynowy dzban do piwa - teraz pełen kwiatów.

- Co to wszystko znaczy? - spytała z niespokojnie bijącym sercem.

- Wczoraj wieczorem byłaś taka smutna. - Morgan podszedł do niej i ujął ją za rękę. - Chciałem sprawić ci dziś z samego rana niespodziankę, która poprawiłaby ci humor. Czy to był zły pomysł?

- Och, cudowny... - Urwała. - Dopiero co podniosłeś się z łóżka. Odniosłeś ciężkie rany w bitwie. Nie powinienes wyłączać mnie w moich obowiązkach.

- A kto właściwie powiedział, że te obowiązki należą do ciebie, Lindsay? - Spojrzała na niego osłupiała. - Widzę, jak ciężko pracujesz, by zapewnić rodzinie schronienie, strawę i ubranie - powiedział łagodnie. - Obowiązki trzeba dzielić po równo, bo dla jednej osoby stanowią zbyt ciężkie brzemię.

- Mój ojciec jest stary i niewiele może zrobić, a dzieci są jeszcze za małe.

Uniosła głowę. Po drabinie schodził ze strychu Gordon z wnukami. Lindsay wyrwała rękę z dłoni MacLarena i pośpiesznie wróciła do pieca, by zamieszać owsiankę.

Morgan poprawił pled i powitał ojca i bratanków Lindsay. Dzieci obdarzyły go radosnymi uśmiechami i wybiegły z domu. Za chwilę jednak wróciły ze zdziwionymi minami.

- Ktoś już napełnił wiadra! - zawołał Brock. - I naszykował opał.

- Wcześniej dziś wstałeś, Morganie MacLarenie. - Gordon zasiadł za stołem i spojrzał pytająco na gościa.

- Nie mogłem spać, musiałem się nad czymś zastanowić. Odkryłem, że lepiej mi się myśli, kiedy coś robię. - Morgan zasiadł naprzeciwko ojca Lindsay. - Chciałbym cię o coś prosić, panie.

Gordon przyjrzał się uważnie rozgorączkowanemu młodzieńcowi.

- Czyżbyś chciał nas już opuścić?

- Opuścić?

- Twoje rany zaczynają się goić.

- Nie. - Morgan uśmiechnął się i pokręcił głową. - Daleko mi jeszcze do tego, bym mógł znieść drogę do domu.

- O co takiego chcesz mnie poprosić?

- O rękę twej córki.

Przez długą chwilę w izbie panowała kompletna cisza. Morgan odwrócił się do Lindsay i zobaczył, że dziewczyna stoi nieruchomo z chlebem w rękach. Dzieci także oniemiały ze zdumienia.

Starszy mężczyzna odkaszlnął.

- Czy jesteś świadom tego, że to bardzo poważna prośba?

- Wiem.

Gordon spojrzał na córkę.

- Nie mogę ci odpowiedzieć, dopóki nie usłyszę, czy ty też tego chcesz, dziewczyno. Co powiesz, Lindsay?

- Musisz zrozumieć, że nie zostawię rodziny. Bez ojca, Gwen i Brocka nigdzie nie pojedę.

Morgan kiwnął głową.

- Rozumiem to, pani. Nie zamierzałem cię wcale o nic takiego prosić.

- Pomyśl, Morganie, chcesz wziąć na swoje barki wielki ciężar. Jest nas czworo. Czy na pewno jesteś na to gotów? Jesteś jeszcze młody. Wkrótce możesz żałować swego kroku, gdy zaczniesz ci ciążyć brzemieniem odpowiedzialności za tyle osób.

- Co czyni się z miłości, pani, nie jest brzemieniem.

Powiedział to tak spokojnie i stanowczo, że omal się nie rozpląkała.

- Naprawdę gotów jesteś troszczyć się o całą moją rodzinę?

- Tak.

Morgan z podziwem patrzył na Lindsay. Imponowała mu stanowczość, z jaką broniła swoich bliskich.

- Jesteś rycerzem, Morganie MacLarenie. Jeździsz po kraju, tropiąc wrogów. Czy mamy podróżować z tobą?

- Wolałbym wiedzieć, pani, że jesteście bezpieczni z dala od zgiełku bitwy, wraz z moją rodziną.

- Czy jesteś pewny, że twoja rodzina nas przyjmie?

Uśmiechnął się do niej.

- Tak. Skoro ja ciebie pragnę, to czemu moi najbliżsi mieliby chcieć czegoś innego? - Widząc, że Lindsay gotowa jest wysunąć nowe zastrzeżenia, podszedł do niej z rozłożonymi rękami. - Błagam cię, zmiłuj się nade mną, Lindsay. Powiedz, że się zgadzasz.

Z trudem oderwała dłonie od piersi, by podać ręce Morganowi. Na podłogę upadł chleb, o którym zupełnie zapomniała. Oboje naraz opadli na kolana i sięgnęli po bochenek. Gdy zderzyli się głowami, zaśmiali się radośnie jak dzieci.

W końcu Lindsay odpowiedziała:

- Przyjmuję twoje oświadczenia, Morganie MacLarenie. Z największą radością.

Wzięła chleb w ręce, a Morgan objął jej dłonie swoimi. Oboje wstali i obrócili się do Gordona Douglasa.

- A ty, panie? Czy wyrazisz swą zgodę?

Widząc rozjaśniony radością wzrok córki, ojciec nie wahał się długo.

- Tak, zgadzam się. Jak wiesz, w naszej wsi wszystkie śluby odbywają się dopiero w Wigilię Bożego Narodzenia. Czy gotów jesteś w tym dniu poślubić moją córkę, Morganie MacLarenie?

- Z największą radością - powtórzył słowa Lindsay, wpatrzony w jej oczy.

Starszy mężczyzna odwrócił się, by otrzeć z policzka łzy, udając, że coś wpadło mu do oka. Dzieci piszczały podniecone radosną nowiną i uściskały najpierw swoją ciotkę, a potem mężczyznę, którego i tak zaczęły już traktować jak członka rodziny.

Morgan poprowadził Lindsay do stołu, a gdy siadała, pomógł jej przysunąć zydę. Potem usiadł obok niej i podał tacę z pieczoną dziczyzną.

- Gdybym wiedział, że wasza ciotka upuści chleb - powiedział, robiąc minę do Gwen i Brocka - poczekałbym z oświadczeniami, aż zjemy śniadanie.

Dzieci zachichotały na widok rumieńców na policzkach Lindsay. Żadne z nich nie umiałyby tego wyjaśnić, ale nagle poczuły się tak, jakby już była Wigilia.

- Hm. Pięknie pachną. - Morgan z przyjemnością wciągnął powietrze w płuca, rozkoszując się aromatem ziół, które zebrała nad potokiem Gwen.

Ten dzień spędził z dziećmi. Gwen i Brock byli uszczęśliwieni. Morgan nauczył ich robić wędki, a potem Gwen zbierała zioła.

- Zawsze wiemy naprzód, kiedy Lindsay zamierza przyrządzać swoje maści.

Gwen wiązała rozłożone na płótnie rośliny w pęczki do suszenia.

- Jak to się stało, że wasza ciotka została zielarką? - Morgan poderwał wędkę i kolejna ryba wylądowała na trawie.

- Babcia ją tego nauczyła, kiedy Lindsay była jeszcze mała.

- To rzadka i cenna wiedza. Lindsay powinna opływać w dostatki. Nikt nie poskąpi złota, gdy idzie o zdrowie.

Brock pokręcił głową.

- Lindsay powiada, że jej sztuka to dar Boży i że maści nie działałyby, gdyby brała za nie pieniądze. Przyjmuje to, co jej ludzie dają, ale sama o nic ich nie prosi.

Jeszcze jeden powód, uświadomił sobie Morgan, dla którego tak ją kocham. Miała tyle szlachetnych cech, że nie sposób byłoby je wszystkie wyliczyć. To, że spotkał taką kobietę, która na dodatek zgodziła się zostać jego żoną, było niezasłużoną łaską losu.

- Chodźmy - powiedział, zbierając ryby. - Zrobimy pyszną kolację dla Lindsay. Ja was nauczę gotować, a wy mi powiecie, jak się nazywają te wszystkie zioła.

Idąc za Morganem, Gwen pomyślała, że jeszcze nigdy codzienne zajęcia nie wydawały jej się równie zajmujące. Każda chwila spędzona z Morganem MacLarenem była przygodą. Teraz, gdy

poprosił jej ciotkę o rękę, mała uwierzyła, że ta przygoda nigdy się nie skończy.

- Coście zrobili? - Lindsay wpadła do chaty i zatrzymała się zdumiona w drzwiach.

Podłoga była czysto zamieciona, na kominku huczał ogień, w izbie unosił się słodki zapach ziół. Małe pęczki rozwieszono były po całym domu.

- Morgan powiedział, że zioła szybciej wyschną, jeśli je rozwiesimy. - Gwen wyglądała na niezwykle rozradowaną. - Pięknie pachną, co, Lindsay?

- Tak.

Na stole stały świeże kwiaty. W domu panował świąteczny nastrój. Pachniało ziołami i chlebem, na żarze piekły się ryby. Ojciec siedział przy nakrytym stole z kubkiem piwa w ręku.

- Witam w domu, pani. - Morgan podniósł się przed paleniska i podszedł do Lindsay. Ujął jej rękę, uniósł do ust i ucałował.

Zaczerwieniła się, gdy prowadził ją do stołu i pomagał usiąść. Potem wyjął z żaru ryby i częstował wszystkich po kolei.

Lindsay od lat nie czuła się równie szczęśliwa. Nie musiała już się obawiać Heywooda Drummonda, a dzięki pomocy Morgana miała w domu dużo mniej pracy. Po raz pierwszy w życiu mogła rozkoszować się chwilą, a czas płynął jak w błogim śnie.

Jedząc, słuchała dzieci, które opowiadały, jak spędziły dzień z Morganem. Nie dziwiła się, że tak go polubiły. Był dla nich jak ojciec lub starszy, kochający i troskliwy brat. Gordona ujął tym, że chętnie

słuchał jego opowieści. Nieraz słyszała, jak ojciec opowiadał mu o bitwach, w których brał udział u boku lorda.

Morgan odwrócił się do niej.

- Jesteś dziś taka cicha, Lindsay.

- Tak. Jestem trochę zmęczona, ale to przyjemne zmęczenie.

Gdy po kolacji wstała, by posprzątać, Morgan ujął ją za rękę.

- Nie zajmuj się tym teraz.

- Ale...

Pokręcił głową.

- Nie dziś, pani. Sami się tym zajmiemy. Ty się umyj w strumieniu.

- O tej porze? - Zaśmiała się. - Jest jeszcze tyle do zrobienia.

- Raz sobie odpocznij, dziewczyno - wtrącił się ojciec. - Dobrze ci to zrobi.

Lindsay wiedziała, że Gordon ma ochotę na następne wojenne opowieści, ale nie kazała sobie powtarzać dwa razy. Weszła po drabinie na strych, założyła nocną koszulę, otuliła się pledem i zeszła nad potok.

Wycierając się ręcznikiem, oglądała własne ciało i pytała samą siebie, co właściwie spodobało się w niej Morganowi. Włosy? Sylwetka? Czy kiedy się dotykają jego serce bije równie mocno jak jej? Czy tak jak ona, Morgan najbardziej w świecie pragnie się z nią kochać jak mąż z żoną? Na myśl o tym zadrżała.

Wciągnęła nocną koszulę i pobiegła po mokrej trawie w stronę domu. Douglas poszedł już z dziećmi na strych. Panującą w izbie

ciszę przerywały tylko tajemnicze trzaskanie i syczenie ognia. Powoli zamknęła za sobą drzwi.

- Chodź przed ogień, rozgrzejesz się. - MacLaren okrył ją futrem i poprowadził do kominka. - Trzęsiesz się. Długo cię nie było.

- Tak. Chociaż woda była zimna jak lód, nie mogłam sobie odmówić kąpieli. Nieczęsto mam podobną okazję, więc siedziałam w wodzie, dopóki nie zmarzłam na kość.

Kiedy objął ją ramionami, zauważył, że wcale nie jest taka przemarznięta. Powoli przesunął dłonie, obejmując Lindsay tuż poniżej piersi. Przybliżył usta do jej skroni i wtulił nos we włosy.

- Tak cudownie pachniesz - szepnął. - Sosnami.

Westchnęła. Oddech Morgana na jej skórze sprawiał, że przez ciało Lindsay przebiegał cudowny dreszcz.

- Zrobiło ci się cieplej przy ogniu? - Jego usta powoli przesuwały się po policzku i karku dziewczyny.

- Tak - odpowiedziała, choć wiedziała, że to nie od ognia było jej tak gorąco.

Pocałunki Morgana sprawiały, że topniała, jakby była z wosku. Jego silne dłonie były niepokojąco blisko jej piersi.

Pragnęła, by ich dotknął. Pragnęła tego nade wszystko w świecie. Kiedy Morgan nie objął jej piersi, odchyliła się w tył, przytulając się do niego i jednocześnie odsłaniając delikatną szyję.

To zaczyna się robić niebezpieczne, pomyślał. Obiecał ojcu Lindsay, że będzie jej bronił, a tymczasem sam był bliski tego, by oddać się rozkoszom, do jakich nie miał prawa.

Jednak nie umiał się oprzeć urokowi dziewczyny. Odślonił jej ramię i obsypał gorącymi, wilgotnymi pocałunkami. Jego ręce same znalazły drogę. Gdy poczuł, jak sutki Lindsay sztywnieją pod dotknięciem jego palców, jego podniecenie jeszcze się wzmoгло.

- Och, Morgan... - Odwróciła się i zarzuciła mu ramiona na szyję.
- Nie wiem... Nie wiem, co mam robić, ale wszystkiego się nauczę.

- Jak to „nauczysz”? Czego się chcesz uczyć?

- Jak sprawić ci przyjemność. Chcę, żebyś był szczęśliwy. Chcę, żebyś mnie kochał. - Lindsay nie wiedziała, jak wyrazić to, co czuje.

- Lindsay...

- Cśśś.

Gdy położyła mu palec na ustach, zaczerpnął raptownie powietrza. Przesunęła opuszką palca po jego ustach. Była zachwycona, widząc w jego oczach wzbierającą namiętność.

- Wiem, jak to jest z rycerzami. Słyszałam też o kobietach, które jeżdżą za wojskiem i umieją kochać się z żołnierzami. Ja też się wszystkiego nauczę, ale musisz mi w tym pomóc.

Morgan zastanawiał się, czy Lindsay w ogóle zdaje sobie sprawę z tego, co mu proponuje. Spojrzał na nią i serce mu się ścisnęło. Była taka słodka. Taka niewinna.

A jednak czuł, że lada chwila gotów jest ulec pokusie. Nie miał do tego prawa, ale jej niewinne pieszczoty sprawiły, że nie umiał się zdobyć na stanowczość. Prawda była taka, że jej pragnął. Boże wielki, tak bardzo jej pragnął! Ale jak mógł czynić zamach na jej cnotę, skoro jego obowiązkiem było bronić jej przed wszelką krzywdą?

Z uczuciem, że rzuca się w przepaść, opuścił ręce i cofnął się o krok.

Lindsay spojrzała na niego zaskoczona.

- Co się stało? Co zrobiłam?

- Nic nie zrobiłaś. To ja potrzebuję powietrza.

Nie dodając ani słowa więcej, ruszył do drzwi. Kiedy usłyszał cichy szloch Lindsay, omal nie zawrócił, ale przypomniał sobie w porę słowo dane jej ojcu. Trzęsącymi się dłońmi otworzył drzwi i wypadł w mrok, nie oglądając się za siebie.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Lindsay patrzyła bezradnie, jak Morgan odchodzi. Nawet gdy zamknął za sobą drzwi, wciąż stała jak skamieniała. Czowała się zupełnie zdruzgotana i bezradna.

Znów to zrobiła. Wystarczyło kilka jej słów, by wygnać Morgana z chaty. Na tę myśl pod Lindsay ugięły się kolana. Musiała przytrzymać się oparcia ławy, by nie upaść.

Przypominała sobie każde swoje słowo, każdy swój ruch.

A wszystko po to, by sprawić Morganowi przyjemność. Nie mogła pojąć, czym zawiniła, że tak obojętnie ją potraktował. Mało tego, znowu wyszedł z domu, jakby nie mógł z nią wytrzymać.

Co takiego wiedziały inne kobiety, o czym ona nie miała pojęcia? Co mogłaby jeszcze zrobić, by uświadomić Morganowi, że pragnęła jego miłości?

Miłość. Morgan już zdobył jej serce, ale to było za mało. Lindsay chciała, by się z nią kochał. Ilekroć jednak nadchodziła chwila, w której wszystko zdawało się układać, tylekroć Morgan odrzucał jej propozycję.

Nie przyjażniąc się z żadną kobietą, dziewczyna nie miała kogo się poradzić. Nie wiedziała, jak powinna się zachować ani co mówić w tym szczególnym momencie. Czuła się głupio i niezręcznie.

Niespokojnie krążyła po izbie. Niemądra jesteś, zganiała samą siebie. Kto to widział, żeby rzucać się na mężczyznę niczym jakaś rozpustna kusicielka. Stała w miejscu. Przyszło jej do głowy, że przecież Morgan zdawał się nie mniej podniecony od niej samej.

Dlaczego zatem odrzucił jej propozycję?

Znów zaczęła niespokojnie przemierzać izbę. Może Morgan nie chciał jej odrzucić. W przeciwnym razie, po co w ogóle prosiłby ją o rękę? Odwróciła się i spojrzała na drzwi.

Choć MacLaren był rycerzem i walcząc z wrogami wciąż wędrował z miejsca na miejsce, nie wyglądał na mężczyznę, który potrafiłby ruszyć w świat, nie oglądając się za siebie. Był szczerzy i szlachetny. Czyż nie poprosił ojca o jej rękę? Czyż nie przysiągł, że będzie opiekować się nią i jej najbliższymi?

Czy przypadkiem nie było tak, że Morgan bardziej troszczył się o jej honor niż o własną przyjemność?

Zamknęła oczy i zastanawiała się chwilę. Potem usiadła na ławie i odetchnęła. Nie miała już wątpliwości, że jej narzeczony powściąga swoje pożądanie, by dotrzymać obietnicy, jaką złożył Gordonowi.

Otworzyła oczy i zaśmiała się cicho. No dobrze, kocha go całą duszą. A dlaczegoż miałyby go nie kochać? Jakiemu jeszcze mężczyźnie starczyłoby sił, by odejść, zamiast skorzystać z pokusy?

Lindsay zaśmiała się jeszcze raz. Potem narzuciła na ramiona futro i szybkim krokiem wyszła z domu. Wiedziała, że musi znaleźć Morgana, choć nie miała pojęcia, co zrobi, kiedy go odszuka.

Stał nad potokiem. Oddychał głęboko, wciągając w płuca zimne nocne powietrze. Udało się. Zdobył się na to, żeby się od niej oderwać. Z ledwością. Jeszcze chwila i byłby gotów się z nią kochać, choćby nawet w chacie na podłodze.

Dla dobra ich obojga starał się zapanować nad sobą, ale w końcu jest tylko człowiekiem, a Lindsay ofiarowała mu wszystko, czego pragnął. Niejedna dziewczyna próbowała zdobyć jego serce i zostać panią zamku. Odkąd był rycerzem, wiele niewiast proponowało mu, by spędził z nimi noc, lecz on nie przestał marzyć o czymś więcej.

Jak wygląda prawdziwa miłość, nauczył się w domu, patrząc na własnych rodziców. Ich uczucie było jak promień słońca. Morgan zawsze wiedział, że nie zrezygnuje z wolności za niższą cenę.

W Lindsay znalazł wszystko, czego pragnął. Była dobra i szlachetna. Chciał ją przytulić, kochać się z nią, posiadać ją.

Zacisnął dłonie w pięści i spojrzał w usiane gwiazdami niebo. Tak. Prawda była taka, że pragnął Lindsay. Nawet w tej chwili, choć odkąd wyszedł z domu, minęła już długa chwila.

- Tu jesteś.

Słyszając jej głos, odwrócił się na pięcie. Na widok gorączki mączącej oczy Morgana, Lindsay poczuła lęk. Zakłopotana, uniosła dłoń do ust.

- Po co tu przyszedłaś, Lindsay?

- Ja... - Pokonała lęk. - Musiałam cię zobaczyć, żeby ci coś wyjaśnić.

- Niczego nie musisz mi wyjaśniać.

Spojrzał gdzieś w ciemność, byle tylko nie widzieć oczu dziewczyny. Przez chwilę milczała, patrząc na jego kamienną twarz, w końcu jednak przemogła niepewność i odezwała się jeszcze raz:

- Masz rację - powiedziała łagodnym tonem.- Chyba się myliłam. Może to ty powinieneś mi coś wyjaśnić.

Nie spojrzał na nią.

- Już późno, Lindsay. Wracaj do domu i kładź się spać.

- Nie.

Zrobiła krok w kierunku Morgana. Wyciągnęła ręce i położyła mu na ramionach.

- Co to za gra, Lindsay? - spytał szorstko.

- To nie jest żadna gra. Po prostu chcę być z tobą.

Przysunęła się do niego bliżej i pocałowała go lekko w policzek. Dotknięcie jej ust wyzwoliło w Morganie taką eksplozję namiętności, że ledwie stłumił jęk.

- Igrasz z ogniem, Lindsay.

- To prawda, płonie w nas ten sam ogień. - Przyciągnęła go bliżej i popatrzyła mu w oczy. - Czy nie widzisz go w moich oczach?

Kocham cię. Kocham cię jak nikogo na świecie i chcę, żebyś mnie posiadał.

Złapał ją za ramiona.

- Posłuchaj, Lindsay. Zrobiłem, co mogłem, żeby oszczędzić twoją cnotę, ale jestem tylko człowiekiem. Jeśli będziesz się upierać, nie będzie odwrotu.

- Nie zamierzam się cofać. Nie chcę zostać samotną dziewczyną, która tylko marzy o swoim rycerzu. - Oczy Lindsay wypełniły się łzami. Zaczęła mrugać powiekami, starając się odzyskać panowanie nad sobą. - Jesteśmy razem i chcę się z tobą kochać. Chcę, żebyś mnie kochał. Tu i teraz, nad potokiem.

Uścisk dłoni Morgana na jej ramionach zelżał. W oczach dziewczyny nie znalazł niczego prócz miłości i pragnienia.

- Och, Lindsay - powiedział miękko - nie mam już siły dłużej z tobą walczyć. Bóg mi świadkiem, że robiłem, co mogłem. - Przytulił ją mocno i przytknął czoło do jej czoła. - Nie mam siły.

Umilkł i obsypał jej skronie i policzki pocałunkami. Jego usta powoli zbliżały się do jej warg.

Morgan zatracił się w namiętym, gorącym pocałunku. Gdy w końcu uniósł głowę, uczynił to tylko po to, by przenieść wargi na jej czoło. Stamtąd jego usta powędrowały powoli w dół. Wszędzie, gdzie jej dotknął, przeszywały ją niesamowite, cudowne dreszcze.

Jego wargi pieściły jej oczy, potem przesunęły się po policzku do ucha. Lindsay niecierpliwie wysunęła usta, lecz on zaskoczył ją, gdy czubek języka wsunął się do jej ucha.

Zadrżała i usunęła głowę, a usta Morgana jak lawina pędziły po jej wysmukłej szyi. Lindsay nie tyle przytulała się do niego, ile raczej wisiała na nim, bo od jego pieścizot ugięły się pod nią nogi.

Morgan delikatnie pomógł jej osunąć się na futro, które spadło jej z ramion, i ukląkł.

- Możesz się jeszcze wycofać, Lindsay.

Położyła dłoń na piersi Morgana. Jego serce biło równie mocno jak jej własne.

- Nie chcę się wycofywać - odpowiedziała zdecydowanie.

Objęła go za szyję i przyciągnęła ku sobie. Pragnęła pocałunków, które działały na nią jak narkotyki.

- Chwała Bogu - odpowiedział - bo gdybyś chciała się cofnąć, błagałbym cię na kolanach, żebyś została.

Myśl, że ten dumny rycerz gotów był paść jej do kolan, była zdumiewająca, ale Lindsay nie miała czasu do namysłu, bo zasypały ją kolejne gorące pocałunki. Mimo nocnego chłodu, zrobiło jej się gorąco.

Z trudem panował nad pragnieniem, by połączyć się z Lindsay, ale pamiętał, że to jej pierwszy raz, więc przeciągał pieścizoty i pocałunki. Chciał być czuły i troskliwy. Tylko tyle mógł jej ofiarować.

Jego dłonie lekkimi ruchami pieściły kark i ramiona dziewczyny. Potem przesunął je wyżej, przeciągając opuszki palców po jej uszach i szyi, by po chwili dotrzeć do jędrnych piersi. Jego pocałunki stawały

się coraz bardziej namiętne i gwałtowne. Lindsay czuła, jak niezwykle pragnienie narasta w niej, coraz mocniej i mocniej.

Bez oporu poddawała się jego pieścizotom, on zaś zwalniał, gdy tylko wyczuwał jej wahanie. Pozwolił, żeby to ona narzuciła tempo ich pierwszej miłosnej nocy, a ona czuła, jak rośnie w niej zaufanie.

Wierzyła mu. Nie drgnęła, gdy zaczął rozpinać guziki jej nocnej koszuli. Morgan z trudem oparł się chęci, by rozedrzyć materiał jednym szarpnięciem i ujrzyć ciało Lindsay. Wiedział, że nie powinien tego robić. Dobrze rozumiał niepewność dziewczyny, wiedział, że ona potrzebuje jego czulej delikatności.

- Jesteś taka piękna.

Przypomnił mu się wieczór, gdy po raz pierwszy dostrzegł piękno jej ciała. Wtedy była wzburzona, teraz wahała się między nieśmiałością a dumą, jaką napawał ją jego podziw.

- Jesteś jeszcze cudowniejsza, niż mi się wydawało.

Drżącymi rękami sięgnęła do ramienia Morgana, by rozwiązać zawiązany na supeł pled. Gdy zawiodły ją własne palce, Morgan wyręczył ją i pled opadł obok nocnej koszuli dziewczyny.

Z jękiem MacLaren zawładnął ustami Lindsay. Niepokój, jaki odczuła, gdy zsuwał z niej koszulę, zniknął jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Lindsay objęła mocno Morgana i przytuliła się do niego, podczas gdy on wędrował dłońmi po jej ciele, poznając jego cudowne ciepło i słodycz. Zapamiętanie, z jakim to czynił, dodało dziewczynie odwagi.

Jej dłonie i usta podjęły podróż po ciele mężczyzny, który miał uczynić ją kobietą.

Wiedział, że mógłby ją osiąść już w tej chwili, lecz wciąż zwlekał. Pragnął Lindsay, lecz chciał jej dać coś więcej niż czysto zmysłową przyjemność. Chciał, żeby poznała całe piękno miłości.

Łagodnie ułożył dziewczynę na futrze i przesunął ustami po jej ciele, docierając aż do piersi. Leciutko chwycił zębami naprężoną brodawkę i zaraz zwolnił uścisk, by językiem podrażnić sam czubeczek piersi.

Lindsay jeszcze nigdy w życiu nie zaznała takiej rozkoszy. Wyprężyła się i przylgnęła całym ciałem do Morgana. Nie dał jej czasu na złapanie tchu. Coraz żarliwiej ją całował, zabierając w czarodziejską podróż. Spojrzała na niego szeroko rozwartymi oczami.

Choć nie wydawało jej się to możliwe, chciała czegoś więcej, jakkolwiek miałoby to wyglądać.

- Kochaj się ze mną! - szepnęła żarliwie.

Gdy w nią wszedł i zaczął się poruszać, przytuliła się do niego mocno i przymknęła powieki.

Morgan wciągnął głęboko zapach sosnowego lasu i wiedział, że do końca życia zapach drzew będzie przypominał mu i tę chwilę, i tę niezwykłą, cudowną kobietę, która ocaliła mu życie i wzbudziła w nim miłość.

- Lindsay... - Morgan uniósł głowę, by spojrzeć na ukochaną opierającą głowę na jego piersi.

Jej rzęsy zatrzepotały i znów ujrział zielone oczy, bezdenne jak górskie jeziora.

- Tak, kochanie?

Kochanie... Morgan uśmiechnął się do swoich myśli.

- Już późno. Nie śpij na ziemi. Chodź do domu.

Przesunął ustami po jej wargach i natychmiast poczuł świeży przypływ pożądania. Czy zawsze tak będzie? - spytał samego siebie. Czy zawsze, ilekroć jej dotknie, będzie go ogarniała fala gorąca?

Tę noc spędzili na przemian to kochając się, to zapadając w krótki sen. Zarówno w chwilach, gdy ogarniała ich gorączka miłości, jak i wtedy, gdy spali, zapominali o reszcie świata. A kochając się, za każdym razem robili to inaczej, wciąż odnajdując się w ostatecznym spełnieniu.

Lindsay przyłgnęła ustami do szyi Morgana i usłyszała, jak gwałtownie chwyta powietrze. Uradowana niezwykłą władzą, jaką nad nim miała, cofnęła nagle biodra i - jak się tego spodziewała - usłyszała jęk zawodu. Na myśl o tym, jak bała się kiedyś tego pierwszego razu, chciało jej się śmiać.

- Dlaczego niektóre kobiety - spytała go nieoczekiwanie - nie lubią się kochać?

- Musiały trafić na jakichś okrutników bez serca.

- Takich jak Heywood Drummond? - szepnęła.

Gdy wspomniała chciwego kupca, krew w Morganie zawrzała, ale szybko stłumił gniew. Teraz mieli ważniejsze sprawy na głowie.

- Posłuchaj, Lindsay. Muszę ci powiedzieć coś ważnego. Na początku nie chciałem o tym mówić, bo... - Z trudem znajdował słowa. - Bałem się, że zaczniecie traktować mnie inaczej. A potem jakoś nigdy nie było okazji. Teraz muszę ci to wyznać.

Lindsay położyła mu palec na ustach.

- Masz już żonę?

Splótł palce z jej palcami.

- Nie, głuptasie. Nie co dzień spotyka się takie kobiety jak ty.

- Jesteś z kimś zaręczony?

- Nie.

Lindsay westchnęła z ulgą.

- A tak się przestraszyłam. Miałeś taką poważną minę. Jeżeli nie chodzi o kobietę, to znaczy, że musiałeś zrobić coś strasznego. Czy ściga cię prawo, Morganie MacLarenie?

- A czy kochałabyś mnie wtedy? - uśmiechnął się Morgan.

- Tak. I dobrze o tym wiesz. Jak zatem? Czy popełniłeś jakaś zbrodnię?

- Nie. Nie o to chodzi, ale to, co powiem, sprawi, że będziesz na mnie patrzyła inaczej. - Morgan nieraz spotkał się z tym, że ludzie traktują go w szczególny sposób, wiedząc, kim jest.

Lindsay pokręciła głową i musnęła jego wargi ustami.

- Nic nie zmieni tego, co czuję. Czy będziemy się jeszcze kochać tej nocy?

- Jak tak dalej pójdzie, nie skończymy do południa.

- Hm. - Lindsay całowała go na oślep po twarzy. - Nie mogę się doczekać, co mi jeszcze pokażesz.

Przygarnął ją mocno i pocałował.

- Co robisz? - Spojrzała mu w oczy. - Jeśli nie skończymy do południa, to zastaną nas tu Gwen i Brock.

- Jeszcze mamy trochę czasu.

Ujął twarz Lindsay w dłonie i zamknął jej usta pocałunkiem. Ich śmiech zmienił się w westchnienia, a potem wyruszyli w kolejną wspólną podróż do krainy miłości.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Dokąd się wybierasz, ojcze? - Lindsay omal nie upuściła garnka z owsianką, gdy zobaczyła, że Gordon wciąga wysokie buty i wyjmuje ze skrzyni ciepły płaszcz.

- Brock widział w lesie wóz tego młodego handlarza, Sterlinga Fergusona. Pamiętasz go. Przejeżdżał tędy w zeszłym roku z żoną. Chcę się z nim zobaczyć.

- Aha - odpowiedziała Lindsay.

Gordon Douglas zwrócił się do Morgana.

- Ferguson jest sympatycznym mężczyzną w twoim wieku. Jeździ od miasta do miasta i od wsi do wsi, sprzedając, handlując i roznosząc nowiny. Może wybierzesz się ze mną? Pogawędzimy przy kubku grzanego piwa.

- A ja? A ja? - Gwen i Brock kręcili się podnieceni wokół dziadka.

Starszy mężczyzna uśmiechnął się tajemniczo.

- Chodźcie koniecznie. Idą święta Bożego Narodzenia, pora trochę pohandlować.

Od dłuższego czasu w skromnej chacie panowała pogodna i szczęśliwa atmosfera. Miłość Morgana i Lindsay zdawała się promieniować na resztę mieszkańców domu jak ciepło z kominka, do którego młody rycerz co i rusz dorzucał drewno.

Rany Morgana niemal się zagoiły. Jeszcze trochę i starczy mu siły, by wracać do domu. Mieli jechać razem. Lindsay i dzieci nie mogły się nacieszyć myślą, że pojedą pod opieką młodego, silnego rycerza do jego domu, gdzie będą odtąd żyć w spokoju i dostatku. Odkąd w to uwierzyli, Wigilia Bożego Narodzenia zdawała się im jeszcze bardziej niezwykłym dniem niż dotąd.

- Weź konia, ojciec - powiedziała, nakładając owsiankę do misek.
- Nigdzie się dzisiaj nie wybieram.

- Nie będę potrzebował konia.

Gordon jechał pośpiesznie, nie mogąc się doczekać chwili, gdy młody handlarz doradzi mu jakiś prezent ślubny dla Lindsay. Za swoje pieczołowicie gromadzone zapasy tytoniu Gordon spodziewał się co najmniej jedwabnego paska do jedynej sukni Lindsay albo wstążki do włosów. Wiedział, że dzieci gromadzą własne drobne skarby w postaci ziół i skórek.

- Brock mówi, że wóz Fergusona stoi tuż za potokiem.

Morgan spojrział na Lindsay. Na policzkach dziewczyny pojawiły się rumieńce. Wiedział, że oboje myślą o tym samym. Kiedy Gordon wyjdzie z dziećmi, będą mieli strych dla siebie.

Gordon, Gwen i Brock szybko zjedli śniadanie i natychmiast wyruszyli w drogę. Morgan i Lindsay patrzyli za nimi, dopóki cała trójka nie zniknęła im z oczu.

Gdy tylko to nastąpiło, pośpiesznie, jak para spiskowców, zamknęli drzwi i wspięli się po drabinie na górę. Czekala ich niezwykła uczta. Zamiast na trawie nad brzegiem potoku, mieli się kochać na sianie.

- Lindsay! Lindsay! - Oboje zerwali się na równe nogi. Drzwi do chaty były szeroko otwarte, a w progu stał zdyszany Brock.

- Co się stało, Brock?

- Handlarz... - Chłopiec urwał, by zaczerpnąć tchu. - Jego żona właśnie rodzi, ale stało się coś złego. Nie wiem co, ale dziadek powiedział, że musisz natychmiast przyjść!

Lindsay błyskawicznie wciągnęła przez głowę sukienkę i zbiegła po drabinie. Morgan okrył się pledem, udając, że nie dzieje się nic szczególnego.

- Od jak dawna jego żona ma bóle? - spytała Lindsay.

- Ferguson powiedział dziadkowi, że jego żona czuje bóle od kilku dni, ale ponieważ przez ostatni tydzień cały czas byli w drodze, sądzili, że to z powodu kołysania wozu. To ich pierwsze dziecko i żadne z nich nie wie, co robić. Są bardzo wystraszeni.

Lindsay owinęła stopy onucami i wsunęła nogi w buty. Wciągnęła przez głowę sweter. Chłopiec podrapał się w głowę.

- Ferguson przyniósł też złe wieści o naszym panu.

Morgan zamarł w bezruchu.

- Złe wieści o naszym panu? - Lindsay przebierała wśród stojących na półce słoików z maściami i suszonymi ziołami.

- Tak. Ferguson powiedział, że nasz lord ciężko zaniemógł, odkąd utracił jedyne syna.

- Co? - krzyknął z góry Morgan. - Nasz pan jest chory? Co się stało?

- Jego syna napadnięto, gdy jechał z jednym tylko towarzyszem. Syn naszego pana polecił swemu przyjacielowi gnać do zamku po posiłki, a sam został, by walczyć z wrogiem.

Kiedy ludzie z zamku dotarli na miejsce, nie znaleźli tam syna naszego lorda. Ani chybi musieli go porwać napastnicy. Nie wiadomo, czy nasz pan wróci do zdrowia po tym ciosie, jaki na niego spadł. Lord powiedział, że jego miejsce ma zająć siostrzeniec.

Lindsay ruszyła rażno do drzwi.

- Szykuje się ciężka zima. Wieść o śmierci naszego pana nie wróży nam niczego dobrego.

- Lindsay! - Morgan omal nie spadł z drabiny. - Lindsay! Poczekaj! Muszę ci coś powiedzieć.

- Teraz nie mam czasu. Dziewczyna jest bliska śmierci, kochanie. Powiesz mi o wszystkim, kiedy wrócę.

- Niczego nie rozumiesz...

Nawet nie stanęła, żeby go wysłuchać. Wyszła z domu, a Brock wybiegł za nią. Morgan został w chacie sam. Zamyślił się głęboko. W końcu podjął decyzję, położył na stole kawałek papieru i szybko napisał parę słów.

„Niczym się nie martw, Lindsay. Poczekaaj na mnie. Niedługo wrócę. To ja jestem jedynym synem lorda. Wszystko Ci wyjaśnię. Wybacz mi, że zabrałem konia. Nie mam ani chwili do stracenia. Pamiętaj, że nigdy nie będę kochał żadnej innej kobiety. Jesteś tylko Ty. Morgan”.

Modląc się, by zdążył na czas, porwał łuk i wypadł z domu. Osiodłał stojącego w niskiej stajni konia i popędził galopem.

- Jestem z ciebie dumny, dziewczyno. - Gordon Douglas maszerował rażno, by dotrzymać kroku córce, ale w pewnej chwili chwycił go taki atak kaszlu, że wszyscy musieli na niego poczekać. - Gdyby nie ty, już byłoby po żonie i dziecku Fergusona.

Lindsay kiwnęła głową. Była zbyt zmęczona, by wdawać się w rozmowę. Przez ostatnie kilka godzin nieustannie masowała, dodawała otuchy, przemawiała i pocieszała targaną bólami porodowymi kobietę. Wytężyła wszystkie siły, by nie dopuścić do katastrofy i odebrać skomplikowany poród. W tej chwili nie marzyła o niczym poza tym, by odpocząć w ramionach Morgana.

Gdy Gordon dostał kolejnego ataku kaszlu, Lindsay mimo całego swego znużenia i zmęczenia poczuła nieoczekiwany strach. Zima będzie długa, oby nie okazała się zbyt długa dla jej schorowanego ojca. Całą nadzieję pokładała w opiece narzeczonego.

Dzieci pobiegły przodem i otwały drzwi do chaty. Izba była pusta. Po zwęglonych kłodach na palenisku pełgały wątle ogniki. Podmuchał wiatru porwał kawałek papieru, który wpadł w żar. Płomień natychmiast podskoczył i zatańczył.

- A to co? - Starszy mężczyzna sięgnął do paleniska, wyciągnął płonąca kartkę i zdusił płomień.

Lindsay, Gwen i Brock otoczyli go ciasnym wianuszkim. W izbie było ciemno i zimno. Nikt nie zapalił świec, by odpędzić mrok. Nie pachniało mięsem ani chlebem.

- Gdzie może być Morgan, jak myślisz, Lindsay? - spytał chłopiec.

- Może w stajni. Pójdź po niego, Brock, proszę. Powiedz, że już jesteśmy w domu.

- Zaczekaj chwilę - odezwał się Gordon Douglas, który przez cały czas wpatrywał się w osmalony papier.

Bez słowa wręczył niedopalone resztki listu córce, a gdy czytała, patrzył na nią zaniepokojony. Lindsay przeczytała to, co zostało z listu, raz, a potem drugi, jakby nie mogła uwierzyć własnym oczom.

- Biegnij, zobacz, czy koń jest w stajni, Brock! - krzyknęła nieswoim głosem.

Chłopiec wypadł bez słowa i zaraz wrócił.

- Nie ma, Lindsay - powiedział cicho.

- Nie ma też łuku ani strzał. Wielki Boże, tego się właśnie bałam.

- Lindsay opadła na krzesło i zasłoniła twarz rękami.

Kartka wypadła jej z rąk. Gordon podniósł papier i odczytał dzieciom wszystko, co zostało z listu. Choć większa część była spalona, kilka ocalałych słów jasno wyrażało myśl autora.

„nie... czekaj na mnie. Nie... wrócę. Wybacz... zabrałem konia i oręż... nie kocha...”

Każde słowo było dla Lindsay jak śmiertelny cios. Nie zważając na nic płakała, dopóki nie zabrakło jej łez.

W nocy, gdy Gordon i dzieci poszli spać, długo siedziała przed kominkiem, przypominając sobie wszystkie chwile, jakie spędziła z Morganem MacLarenem. Jak śmiał oszukać ją w tak okrutny sposób?! I dlaczego była tak głupia, by myśleć, że Morgan naprawdę ją kocha. Jak mogła być taka ślepa?!

Teraz przyszła pora, by stawić czoło bolesnej prawdzie. Oddała serce złodziejowi i łajdakowi. A co gorsza, jeśli okaże się, że jest z nim w ciąży, co wydawało się całkiem możliwe, za jej szaleństwo przyjdzie zapłacić tym, których najbardziej kochała. Kiedy rozniesie się wieść o jej grzechu, cała wieś odwróci się od nich z pogardą.

W pewnej chwili Lindsay wstała i poruszając się jak lunatyczka, naszykowała ciepły płaszcz i futrzane onuce. Musiała ratować najbliższych. Nie zostało jej nic innego, jak przyjąć oświadczyzny Heywooda Drummonda.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Tego roku Boże Narodzenie było dla szkockich górali świętem zarazem smutnym i szczęśliwym. Było smutne, bo rozeszła się wieść o śmierci powszechnie szanowanego starego lorda, który słynął z tego, że zawsze dotrzymywał danego słowa, nigdy nie opuszczał towarzyszy walki i nieustrudzenie walczył przeciw najeźdźcom.

Było jednak także szczęśliwe, bo stary pan zmarł w ramionach jedyne go syna, który, jak się okazało, nie zginął w walce, lecz tylko odniósł ciężkie rany i po wielu tygodniach, gdy nikt się już go nie spodziewał, wrócił do zamku. Na pytanie, jaki jest młody lord, ludzie odpowiadali, że jest godny swego ojca - mężny i słowny.

Góry pokrył śnieg. Wokół zrobiło się dziwnie cicho. Ludzie we wsi cieszyli się, bo przyjechał ksiądz, by ochrzcić dzieci i udzielić ślubu młodym. W tym roku jednak do ołtarza miała przystąpić tylko jedna para - Lindsay Douglas i Heywood Drummond. Drummond był znanym bogaczem, więc cała wieś tłoczyła się w małym wiejskim kościele, by napatrzeć się na niecodzienne widowisko.

Lindsay siedziała przygarbiona w zakrystii. Gordon Douglas chodził po niewielkim pomieszczeniu w tę i z powrotem.

- Gdzie jest Brock, ojczy?

- Nie chce tego widzieć. I wcale mu się nie dziwię. Nie możesz tego zrobić, dziewczyno!

- Muszę.

- Czemu nigdy nie chcesz mnie posłuchać? - Starszy mężczyzna zaniósł się kaszlem. W oczach Gwen pojawił się niepokój.

Ze względu na ciebie, pomyślała Lindsay. Ze względu na ciebie, Gwen i Brocka. Ale nie powiedziała tego głośno.

- Wszystko jest już przygotowane, ojciec. Nie mogę się teraz wycofać.

- Ty go nie kochasz, Lindsay! - Gordon uderzył pięścią w stół.

- Czy miłość jest lekiem na wszystko? - Lindsay zadarła wojowniczo brodę. - Jeśli tak, to już powinnam być szczęśliwa, bo kochałam Morgana MacLarena. A on... - zaśmiała się gorzko - ...on w zamian ukradł wszystko, co mieliśmy cennego. Teraz wiem, ile warta jest miłość.

Ojciec spojrzał córce w oczy i dostrzegł w nich bezdenną pustkę, jakby cały świat przestał dla niej cokolwiek znaczyć.

- A jeśli Heywood spełni swoje groźby i rzeczywiście odda dzieci na wychowanie temu dzierżawcy?

Lindsay przyjęła ten cios bez mrugnięcia okiem.

- Przynajmniej będą miały co jeść i gdzie spać.

- To samo mają w domu.

- Nie. Kiedyś to mieli, ale teraz...

Gordon dostrzegł w oczach córki strach. Czy ukrywała coś przed nim? Dlaczego nagle odechciało jej się wszystkiego, jakby zabrakło jej sił czy jakby była chora? Gordon popatrzył na córkę i nieoczekiwanie przyszło mu coś do głowy.

Z głośnym westchnieniem ukląkł przed Lindsay.

- Czy ty spodziewasz się przychówku, dziewczyno? - spytał łagodnie.

Lindsay nie spojrzała mu w oczy. Widział, że robi, co może, by ukryć wzbierające pod powiekami łzy. Pokręciła głową.

- Nie wiem. Gdyby tak było, to za rok będzie już za późno, by cokolwiek naprawić. Stalibyśmy się pośmiewiskiem całej wsi, a ja musiałabym patrzeć, jak umiera z głodu jeszcze jedna ukochana istota.

- Och, dziewczyno. - Gordon objął córkę i przygarnął do piersi.

Przypomniało mu się, jak tulił ją i kołysał, gdy była mała. Zacisnął zęby, żeby powstrzymać szloch. Potem znów zaniósł się kaszlem.

W kościele rozbrzmiała muzyka. Gordon smutno potrząsnął głową. Kiedy był silnym i dumnym rycerzem, coś takiego byłoby nie do pomyślenia, ale teraz... Teraz przyszła pora, by przyznać się przed samym sobą do klęski. Starość, choroba i los sprzysięgły się przeciw niemu.

Wziął wnuczkę za rękę i wyszedł do nawy. Oboje zajęli swoje miejsca wśród ludzi czekających na chwilę, gdy Lindsay stanie się żoną Heywooda Drummonda.

Drogą wśród gór pędziła kawalkada jeźdźców.

Na czele galopował Morgan MacLaren. Za nim jechali jego rycerze i wymoszczone puszystymi futrami sanie, zaprzęzione w czwórkę siwych koni. Choć jechali tak od rana, wszędzie witani

radosnymi okrzykami, Morgan nie czuł zmęczenia. Na myśl o tym, kto go oczekuje, przebiegł mu po plecach dreszcz.

Pomyślał o minie, jaką będzie miała Lindsay, gdy stanie w drzwiach chaty z tymi wszystkimi prezentami, jakie dla niej przygotował. W skrzyni na saniach wioził białą, koronkową suknię i płaszcz z białej satyny, podbity gronostajami, skórzane buciki i welon z muślinu, delikatny jak pajęcza nić.

Sięgnął ręką i dotknął zawieszanej na szyi sakiewki. Znajdował się w niej prosty złoty łańcuch, który nosiła kiedyś jego matka, a przed nią babka. Łańcuch był symbolem nie kończącej się miłości. Jeszcze dzisiejszego wieczoru miała go zawiesić na szyi jego żona.

Zbliżyli się do kolejnej wsi. I tu także wyszli im naprzeciwko ludzie oczekujący błogosławieństwa swego pana. Morgan stłumił odruch zniecierpliwienia. Wiedział, że musi się zachowywać jak godny następca ojca, a poza tym jeszcze tylko godzina i Lindsay zostanie jego żoną.

Po krótkiej rozmowie z witającymi go ludźmi, MacLaren zwrócił się do swojej załogi:

- Pojadę przodem, by powitać narzeczoną. Jedźcie za mną. Chata stoi za wsią, niedaleko od płynącego przez las potoku.

Popędził konia i wysforował się przed orszak. Nie mógł doczekać się chwili, gdy spojrzy w oczy Lindsay. Kiedy jednak wpadł na podwórze, ku swemu zdumieniu odkrył, że w domu jest zupełnie ciemno. Zeskoczył z konia i wszedł do środka. Na kominku dopalały się grube polana.

- Lindsay!

Odpowiedziała mu cisza.

W kącie coś się poruszyło. Morgan wsunął świecę do ognia, a gdy zapłonęła, uniósł do góry, by rozejrzeć się po izbie. Dostrzegł wciśniętego w kąt Brocka. Gdy podszedł bliżej, odkrył, że chłopiec ma oczy zapuchnięte od płaczu.

- Brock! Co się tutaj stało? - Morgan przykucnął obok malca. - Co się stało z twoją ciotką, siostrą i dziadkiem? Czemu jesteś sam?

- To wszystko przez ciebie! - rzucił chłopiec.

- Co to znaczy?

- Jakbyś nie wiedział. Przecież to twój list, prawda? Chyba nie zaprzeczysz!

Brock wyciągnął rękę i podał Morganowi zmiętoszony, nadpalony kawałek papieru. Morgan wygładził kartkę i zaczął studiować to, co zostało z jego listu.

- To nie mój list. - Popatrzył na chłopca. - To znaczy, list jest mój, ale większa część kartki spłonęła i moje słowa zupełnie zmieniły znaczenie. Jeśli Lindsay to przeczytała, musiała mnie znienawidzić. Ty pewnie też.

Brock pokręcił głową.

- Nie czuję do ciebie nienawiści. Lindsay też nie. Ale przez to, że odjechałeś, zabierając konia, musiała oddać rękę Heywoodowi Drummondowi.

- Nie! - Morgan zerwał się, jakby ogarnęły go płomienie.

Słyszając tętent koni, wybiegł przed chatę. Brock zerwał się i pobiegnął za nim.

- Czy narzeczona ucieszyła się z twego przyjazdu, panie? - zapytał któryś z towarzyszy Morgana.

Nie odpowiedział. Wskoczył na konia i posadził przed sobą Brocka. Rzucił krótką komendę i pogalopował. Kawalkada ruszyła w jego ślady. Wielki Boże! Jeśli chłopiec się nie mylił, Lindsay już jest w kościele i lada chwila na zawsze przekreśli wszystkie jego marzenia o szczęściu.

Popędził konia i modlił się, by zdążyć, zanim jego umiłowana poślubi innego i popełni największy błąd w swoim życiu.

Nim Lindsay zebrała siły, by wyjść do nawy, ktoś otworzył jednym pchnięciem drzwi do zakrystii. Do środka wszedł Heywood Drummond. Miał na sobie czarne jak węgiel szaty i zawieszony u pasa miecz, ten sam, który tak tanio od niej kupił. W szlachetnych kamieniach, którymi wyłożona była rękojęść, odbijał się migotliwy blask świateł.

- Nie powinieneś tu wchodzić, Heywood. Ludzie mówią, że widok panny młodej przed ślubem przynosi nieszczęście.

Heywood uśmiechnął się pogardliwie.

- Zawsze wierzyłem, że każdego spotyka w życiu to, na co sobie zasłużył.

Wyciągnął rękę i Lindsay odruchowo cofnęła się przed nim. Chwycił ją za ramię i przyciągnął.

- Spróbuj tylko zachowywać mi się tak po ślubie! - rzekł groźnie.

- Po ślubie nie będę ci niczego odmawiała. Po ślubie.

- To już lepiej.

Puścił ją i oparł się o drzwi. Lindsay nie mogła ruszyć się z miejsca.

- Pamiętaj - dodał Heywood - że zaraz po ślubie twój ojciec i ta mała mają wynieść się do domu.

- Myślałam, że zamieszkamy razem. Obiecałeś, że będziesz troszczył się o moją rodzinę.

- Obiecałem i dotrzymam słowa, ale od dawna już żyję sam i przywykłem do spokoju. Za kilka dni twój ojciec będzie mógł się do nas wprowadzić, o ile zapamięta, że ma siedzieć w kuchni i nie pyskować. A dzieciaki twego brata oddam do dzierżawcy w sąsiedniej wsi, o którym już mówiłem.

Na jej zdruzgotane serce spadł kolejny cios.

- Dałeś mi słowo, że się nimi zaopiekujesz.

- Już mój dzierżawca się nimi zajmie.

- Jaki to człowiek? Łagodny czy surowy?

- A co mnie to obchodzi? Jeśli dzieciaki będą wszystko robić, jak trzeba, dostaną jeść i będą miały gdzie spać. - Nie wspomniał o złotej monecie, jakiej zażądał w zamian za dwie dodatkowe pary rąk do pracy. - Nie wszyscy mieszkańcy tego biednego kraju mogą to o sobie powiedzieć.

- Ale oni są jeszcze tacy mali.

- Byłem mniejszy od nich, kiedy musiałem sam o siebie zadbać. Wyszło mi to tylko na zdrowie. No co, może nie? Popatrz tylko na mnie!

Lindsay przebiegł dreszcz.

Heywood uznał jej milczenie za zgodę i odwrócił się do drzwi.

- No chodź, niech wieśniacy się cieszą. Pamiętaj, że wszystko ma pójść szybko i sprawnie, bo mam chęć na pannę młodą - rzucił przez ramię.

Nie poszła za nim. Kiedy drzwi się zamknęły, padła na kolana i modliła się o siłę, by przebrnąć ten straszny wieczór. Najgorsze było to, że z ulgą gotowa była powitać śmierć jako zło mniejsze od małżeństwa z Heywoodem Drummondem.

Morgan galopował przez wieś. Domy stały ciemne i głucho.

- Gdzie są ludzie?

- Są w kościele, chcą zobaczyć uroczystość.

Morgan popędził konia. Przed drzwiami kościoła zeskoczył z końskiego grzbietu, zdjął Brocka i obaj puścili się biegiem do wejścia.

Wewnątrz byli wszyscy mieszkańcy wsi. Patrzyli na piękną dziewczynę, która ociągając się szła w kierunku ołtarza, gdzie czekał na nią Heywood Drummond w czarnych szatach. Kiedy MacLaren zrozumiał, że zdążyli na czas, odetchnął z ulgą.

Ksiądz uniósł głowę. Na widok gromady uzbrojonych mężczyzn w jego oczach pojawił się niepokój.

- Nie macie prawa przeszkadzać w służbie bożej - napomniął niespodziewanych gości.

- Owszem, mamy po temu dobre prawo - zaprotestował energicznie Morgan.

Na jego głos wszyscy odwrócili głowy. Nie zważał na to. Widział tylko drobną sylwetkę Lindsay. Wpatrywała się w niego, jakby ujrzała zjawę. Ruszył wzdłuż nawy, wśród zaskoczonych ludzi. Zatrzymał się dopiero przed Lindsay.

Gdy go ujrzała, we wzorzystym kilcie MacLarenów, zaniemówiła. Wyciągnął do niej dłoń z osmalonym skrawkiem papieru.

- Brock powiedział, że tyle zostało z mojego listu.

Miała tak ściśnięte gardło, że nie mogła wykrztusić słowa. Skinęła głową.

- Ale to nie wszystko, co napisałem. Większą część listu strawił ogień.

- To... - Lindsay z trudem zbierała myśli. - To nie ma znaczenia. Nie musiałeś do mnie wracać, Morganie MacLarenie. Nic nas nie wiąże.

W oczach Morgana zapłonęła złość.

- Owszem, pani, wiele nas wiąże. Dobrze o tym wiesz. Nie połączyły nas wypowiedziane przy ludziach słowa, ale uczucie, jakie mamy w sercu.

Na te słowa poruszył się niespokojnie Heywood Drummond.

- Nie masz prawa mówić tak do kobiety, która zaraz zostanie moją żoną.

Morgan popatrzył na niego z pogardą.

- Widzę, że nosisz miecz, który dostałem od ojca. Oddaj mi go.

Dłoń Heywooda zacisnęła się na wysadzanej klejnotami rękojeści.

- Zapłaciłem za ten miecz szczerym złotem.

- Tak, wiem nawet, ile dałeś tego złota. Trzy sztuki złota za miecz wart dziesięć razy tyle. Ale to nic. - Morgan ujął mieszek i wyciągnął z niego trzy złote monety. - Jeszcze masz wybór. Albo walcz z mieczem w ręku jak mężczyzna, albo zabieraj swoje trzy sztuki złota i odejdz. Osobiście radziłbym ci zdecydować się na złoto.

Prawda była taka, że z przyjemnością zatopiłby miecz w piersi tego łajdaka, ale Heywood Drummond, choć nikczemny, nie był głupi. Z oczu stojącego przed nim mężczyzny wyzierała mordercza furia. Heywood miał ochotę popisać się przed wieśniakami zręcznością we władaniu mieczem, ale bał się, że nie przeżyłby tego starcia.

Odpiął miecz i podał go Morganowi.

- Mądry wybór, Drummond.

Odebrał broń z rąk Heywooda. Odpiął pas i odczepił miecz, który nosił do tej pory, i podał jednemu ze stojących obok wojowników.

- Oddaj go Gordonowi Douglasowi wraz z wyrazami szacunku - polecił.

Mężczyzna skłonił się przed nim.

- Jak każesz, panie.

- Panie? - Heywood Drummond pobladł i cofnął się o krok.

Lindsay otworzyła oczy jeszcze szerzej.

- Co to znaczy? - spytała. - Jesteś naszym lordem?

- Tak, pani. - Uśmiechnął się do niej promiennie. - Dlatego musiałem opuścić was tego dnia, gdy usłyszałem, że mój ojciec umiera. Bałem się zwlekać choćby chwilę.

- Twój ojciec? - Lindsay oblizwała wyschnięte nagle usta. - Koń? Łuk i strzały?

- Kiedyś służyły memu ojcu, a teraz leżą w zamkowej zbrojowni. A ja wróciłem tu po kobietę, którą kocham.

Chwycił Lindsay za rękę i spojrzał jej głęboko w oczy.

- Czy kochasz mnie, pani? Czy powiesz to wobec wszystkich zebranych tu ludzi i uczynisz mnie szczęśliwym człowiekiem?

- Ja myślałam... Tak się bałam... - Lindsay wpatrywała się w niego błyszczącymi oczami. - Ale ty jesteś naszym lordem. Jak mogłabym...

Chciała złożyć mu pełen uszanowania ukłon, ale Morgan jej na to nie pozwolił. Odwrócił się i rozejrzał wokół, aż zobaczył w jednym z dalszych rzędów Gordona i Gwen.

- Czy pomożecie mi przekonać tę upartą kobietę, że wróciłem tu specjalnie po to, żeby ją poślubić?

Roześmiana od ucha do ucha, promieniejąca szczęściem Gwen chwyciła dziadka za rękę i pociągnęła do ołtarza.

- Naprawdę jesteś naszym lordem? - spytała dziewczynka.

Morgan uklęknął przed Gwen i popatrzył jej w oczy.

- Tak. A teraz przyjechałem, żeby zabrać cię razem z bratem, dziadkiem i ciocią do mego zamku.

- Będziemy żyć jak panowie? - spytał zdumiony Brock.

- Będziecie żyć jak wolni Szkoci, chłopcze. Nauczysz się wszystkiego, co trzeba umieć, by zostać prawdziwym rycerzem jak twój dziadek.

Gordon zrobił uszczęśliwioną minę.

- A ty, Gwen, zostaniesz damą jak Lindsay.

Wokół tłoczyli się mieszkańcy wsi, którzy chcieli zobaczyć swego lorda na własne oczy. Lindsay patrzyła na to wszystko zdumiona i oszołomiona. Nawet stary ksiądz uległ niezwyklej atmosferze, jaka zapanowała w kościele. Z Biblią w ręku zwrócił się do Lindsay:

- Czy chcesz tego małżeństwa, dziewczyno?

Przełknęła łzy i kiwnęła głową.

- Tak. Niczego bardziej nie pragnę.

Chwilę później, gdy radosny dźwięk dzwonów oznajmił wszystkim nadejście Bożego Narodzenia, mieszkańcy wsi mieli okazję zobaczyć ślub, jakiego nikt się nie spodziewał, ślub, który połączył wielkiego lorda Morgana MacLarena i dziewczynę z ich własnej wioski - Lindsay Douglas.

Podczas gdy zgromadzeni wznosili radosne okrzyki, Morgan wsunął Lindsay na palec pierścionek matki. Potem ujął ją pod rękę i poprowadził przez nawę do wyjścia. Kiedy już wszyscy złożyli nowożeńcom gratulacje, przed kościół zajechały sanie zaprzężone w czwórkę koni. Dzieci dostały karmelki i ciastka.

Lindsay popatrzyła z podziwem na Morgana.

- Wygląda na to, że o wszystkim pamiętałeś, mój panie.

- Mam nadzieję, bo niczego nie pragnę bardziej niżli tego, byś była, moja słodka pani, zadowolona i szczęśliwa.

- Jestem szczęśliwa. - Westchnęła. - Nie mogę uwierzyć, że będziemy jechali tymi wspaniałymi saniami.

- Sanie, pani, zabiorą twego ojca i dzieci do zamku.

- A my?

- Tego się zaraz dowiesz, pani.

Lindsay przytuliła i pocałowała na pożegnanie ojca, a potem uścisnęła Gwen i Brocka. Sanie ruszyły. Lindsay podeszła do męża.

- Co teraz zrobimy?

Ujął ją delikatnie pod pachy i wsadził na koński grzbiet, a potem wskoczył na siodło.

- Dokąd jedziemy? - dopytywała się Lindsay.

Pocałował ją w skroń. Tak dawno już nie czuł jej ciepła ani tego zapachu sosen, który pokochał wraz z nią. Na myśl o tym, że mają całą noc dla siebie, zrobiło mu się gorąco.

- Znam małą chatkę w lesie nad potokiem. W miejscu, gdzie dumna góralka skradła mi serce.

- W chacie będzie zimno. To nędzny dom, niegodny ciebie, panie.

- Z tobą, najdroższa, wszędzie czuję się jak w pałacu. Tak długo czekałem na tę chwilę. A poza tym razem nie będzie nam zimno. Dopóki będę mógł trzymać cię w ramionach, nigdy nie zmarzniemy, Lindsay.

Objęła go mocno za szyję i zamknęła oczy. Próbowwała pozbierać myśli. Wciąż jeszcze nie była pewna, czy to wszystko dzieje się naprawdę, czy tylko sobie to uroiła, by uciec od strasznej rzeczywistości.

- W dzieciństwie nasłuchiwałam się opowieści o cudach świętego Mikołaja. Czy nie sądzisz, że to, co się nam dziś wydarzyło, może być właśnie jednym nich?

- Masz rację, Lindsay. - Opuścił głowę i pocałował żonę w usta. – Taka miłość jak nasza zawsze jest cudem. A ta noc będzie największym cudem, jaki się kiedykolwiek zdarzył na świecie.

NAVIN JACQUELINE

Żona dla sprawiedliwego

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Zamek Thalsbury

22 grudnia 1193 roku

Z lasu, na łąki rozciągające się na południe od zamku, wyległ radosny tłum, na całe gardło wyśpiewujący kolędy. Ludzie szli, jechali na wozach załadowanych sosnowymi gałęziami lub pędzili na koniach. Odkąd pod pomyślnymi rządami Williama, pana Thalsbury, zapanował w okolicy spokój, pozbawione zajęcia ogiery potrzebowały ruchu.

Lord William, przez okoliczną ludność zwany zdrobniale Willem, jechał na czele pochodu i śpiewał najgłośniej ze wszystkich, choć prawdę mówiąc, niezbyt melodyjnie. Jasne, złociste włosy rycerza lśniły w słońcu, a w jego szarych oczach migotały wesołe iskierki.

Choć był już dojrzałym mężczyzną, to wciąż, jak określiła to jedna z dam, przypominał niegrzecznego chłopca. Bardzo pociągającego niegrzecznego chłopca, można by dodać. Rozsiewał bowiem wokół siebie niepokojący erotyczny urok, a jego usta - jak szeptało - potrafiły z powodzeniem sprostać obietnicom, składanym kobietom.

Will poplątał słowa kolędy i urwał. Roześmiał się i wzruszywszy ramionami, podjął pieśń na nowo. Pozostali dołączyli do niego. Jadąc powoli, z popuszczonymi cugłami, uśmiechał się z zadowoleniem. Uwielbiał Boże Narodzenie. Zbieranie gałęzi sosnowych oznaczało początek sezonu świątecznego, który kończył się na Trzech Króli.

Załadowane sośniną wozy powoli zbliżały się do Thalsbury. Will z przyjemnością nadzorował ścinanie pachnących żywicą gałęzi. Zadbał również o to, by nie zabrakło jemioły. Osobiście wspiał się na najwyższy konar starego, krzepkiego dębu, by zerwać piękną krzewinkę o grubych, oliwkowo-zielonych listkach; triumfalnie uniósł ją w górę, wywołując radosne okrzyki i gromkie wiwaty wśród obecnych.

- Hołdu! Hołdu żądam, prostacy! - Głos Willa był ledwie słyszalny w panującym u stóp drzewa zgiełku. - Mnie bowiem zawdzięczacie to, że przez najbliższe dwa tygodnie będziecie mogli się całować dla... mmmm, podniesienia ducha!

To był cudowny dzień, pomyślał, gdy zbliżali się do bram zamku, i wtedy właśnie ujrzał czekającego nań na zwodzonym moście jeźdźca. Agravar? Uśmiech zniknął z twarzy Willa, jego wysmukłe ciało zaś ogarnęło napięcie, tym silniejsze, że pilnie ukrywane, nie chciał bowiem publicznie okazywać swych emocji, których doznawał na widok starego przyjaciela.

Tak, to musiał być on: wysoki mężczyzna z rozwianymi przez wiatr, płowymi włosami i nordyckimi rysami, których szlachetna prostota budziła lęk i szacunek. W innych okolicznościach Will rad byłby swemu gościowi, ale wiedział, że o tej porze roku Agravar mógł przybywać do Thalsbury wyłącznie w jednym celu. Na samą myśl o misji, z jaką odwiedził go wiking, dobry nastrój Willa prysł jak bańka mydlana.

- Witaj! - W geście powitania Agravar uniósł potężną prawicę.

- Agravar, ty diable, co cię sprowadza do mych drzwi? - powitał gościa z wymuszonym uśmiechem.

- To samo co przed rokiem i dwa lata temu. Lord Lucien pragnie, byś przybył do niego na święta Bożego Narodzenia.

Obręcz, która ścisnęła pierś Willa, zacisnęła się mocniej, ale mimo to przywołał na twarz uśmiech.

- To wielki zaszczyt, ale nie mogę do was przybyć. Powiedz Lucienowi i mej pani, że z najgłębszym żalem muszę prosić ich o wybaczenie. Moje miejsce jest w Thalsbury, przy moich ludziach.

Agravar przyjął słowa przyjaciela bez protestu, jakby cała rozmowa miała tylko czysto formalny charakter. Niekiedy Will zastanawiał się, czy wiking zna prawdę. Jako dowódca straży przybocznej Luciena, Agravar pilnie strzegł swego pana i jego interesów, Alayna zaś bez wątpienia od początku budziła ogromne zainteresowanie Luciena. Jakim głupcem był Will, wmawiając sobie, że sprawy mają się inaczej.

- Trudno - powiedział Agravar. - Lucien pragnął tylko, byś wiedział, że zawsze jesteś w Gastonbury mile widzianym gościem.

Will dobrze wiedział, że jest mile widziany na zamku swego pana, choć czasem wolałby, by było inaczej. Przyjaźń Luciena sprawiała mu tym więcej bólu, że nie mógł o niej myśleć, nie wspominając zdrady, jakiej się wobec niego dopuścił.

Odepchnął od siebie wyrzuty sumienia i smutek. Popatrzył na ludzi rozładowujących na zamkowym dziedzińcu wozy pełne zielonych, pachnących gałęzi.

- Mam nadzieję, że pomożesz mi kierować pracami przy dekorowaniu wielkiej sali. Wiesz, to takie męczące zajęcie, pić grzany miód z korzeniami i komenderować służbą.

Agravar wzruszył ramionami.

- Chętnie spędzę z tobą dzień. Napijemy się i powspominamy dni dawnej chwały.

- O jakiej chwale ty mówisz, na miłość Boga? Przecież częściej musiałem ratować twoją skórę, niż to zdołałem spamiętać.

Agravar roześmiał się z ich starego żartu.

- Will, ty pusta głowo, naprawdę się cieszę, że cię znowu widzę.

Zsiedli z koni, oddali cugle parobkom stajennym i udali się razem do głównej sali zamku Thalsbury. Wiking z przyjemnością obserwował zmiany na lepsze, jakie nieustannie dostrzegał w powierzonym opiece Willa zamku.

- Lord Lucien będzie zadowolony, kiedy mu opowiem, jak dbasz o jego dawną siedzibę.

Gdy jego senior w feudalnej hierarchii powierzył mu Thalsbury, Will nie miał pewności, czy takie życie przypadnie mu do gustu. Ku własnemu zaskoczeniu, okazał się równie znakomitym zarządcą, jak wcześniej żołnierzem. Zbiory były obfite, skrzynie i spiżarnie pełne, ludzie zadowoleni i lojalni.

Jako pan Thalsbury, Will miał wszelkie powody do zadowolenia i cieszył się z życia. Tylko niekiedy - w taki dzień, jak ten - wspomnienie niegodziwości, jakiej się dopuścił, psuło mu humor.

Agravar rozejrzał się po wielkiej sali i zaśmiał się pod nosem. Na belkach stropu zieleniały już sosnowe gałęzie, ozdobione szkarłatnymi wstążkami, a w oknach wisiały gałązki ostrokrzewu.

- Twój lud jest zabawny z tym całym swoim świętowaniem.

Zasiedli przy stole.

- To Boże Narodzenie, Agravarze, najradośniejsza pora roku.

- Kuropatwę, panie?

Służąca nałożyła pieczonego ptaka na talerz gościa. Pogrążony w myślach Will obserwował ją mimochodem. Zależało mu na tym, by zachować dobry nastrój, przynajmniej do chwili, gdy wiking opuści zamek.

- Panie? - spytała dziewczyna Willa.

Nie odpowiedział. Zamiast na zawartość unoszącej się przed nim tacy, patrzył na jej dłonie. Coś tu było nie tak, chociaż nie umiałby powiedzieć co. Wpatrywał się w ręce dziewczyny, która nie słysząc odpowiedzi, nałożyła mu na talerz kuropatwę.

Will uniósł wzrok.

Odwróciła głowę. Nie widział jej twarzy. Włosy miała schowane pod wełnianym zawojem, który opadał jej aż na plecy.

- Ej, sługo! - zawołał.

Dziewczyna znieruchomiała, jakby na chwilę skamieniała.

- Tak, panie? - spytała, nie odwracając głowy.

- Nie chcę tej kuropatwy. Zabierz ją.

Dziewczyna podeszła z opuszczoną głową i zabrała ptaka.

Will jeszcze raz uważnie przyjrzał się jej dłoniom.

- Dziękuję - powiedział z uśmiechem.

- Tak, panie - wymamrotała i pośpiesznie odeszła od stołu.

Napotkał zdziwione spojrzenie przyjaciela.

- Mam świąteczną zagadkę do rozwikłania, Agravarze.

- Nie rozumem.

- Czy przyjrzałeś się jej dłoniom?

Wiking zmarszczył brwi i popatrzył w ślad za odchodzącą dziewczyną.

- Ona nie porusza się jak dziewczka służebna, jest w niej coś...

- Więc jak myślisz, kim ona jest? - przerwał wiking.

- Tego właśnie, drogi przyjacielu - wycedził bez pośpiechu Will - zamierzam się dowiedzieć.

Olivia z Hycliffu walczyła z pragnieniem, by rzucić się do ucieczki. Odmierzonym krokiem zeszła do piwnic, w których mieściła się kuchnia, i odłożyła tacę na długi stół.

- Nasz pan chyba nie jest głodny - powiedziała do Betheldy.

Pulchna kucharka popatrzyła na nią zdumiona.

- Nasz pan nie chce jeść po całym dniu spędzonym w lesie? Co mu się mogło stać? Zimowe powietrze tak dobrze robi na apetyt... - Kucharka urwała. - Czemu się tak trzęsiesz, dziecko?

Olivia schowała ręce pod fartuch, by ukryć ich drżenie.

Tak okropnie się przelęknęła, kiedy lord William kazał jej, by zabrała kuropatkę z jego talerza. Dlaczego tak się jej przyglądał, jakby jakimś cudem przeniknął straszliwe sekrety, które skrywała w sercu?

To obłęd, pomyślała. Pan pewnie po prostu nie lubi kuropatw. W końcu nałożyła mu pieczyste na talerz, nie czekając na zgodę.

Bethelda przyjrzała się dziewczynie z uwagą.

- Jadłaś coś?

- Tak, rano - skłamała Olivia.

Akurat przechodził gruby kucharz, Fodor.

- Nic się nie martw o tę małą, już ja ci mówię, że ona potrafi jeść.

- Fodor z upodobaniem popatrzył na dziewczynę. - Wiem, że lubi moje pasztety w cieście.

- Jeśli lubi, to powinna jeść ich więcej - sapnęła Bethelda. - Popatrz tylko na siebie, Olivio, tak mało jesz, że ledwo cię widać.

- Jedz, jedz, dziewczuszko - zaśmiał się dobrodusznie Fodor. - Mężczyźni lubią, jak mają za co złapać i po czym poklepać.

Fodor z rozmachem klepnął Betheldę w pulchne pośladki, co kucharka skwitowała piskliwym chichotem. Olivia wiedziała, że jako służąca powinna takie zachowanie traktować jak rzecz najzwyklejszą w świecie, więc zaśmiała się z przymusem.

W drzwiach kuchni stanął piętnastolatek imieniem Elbert, paż Willa.

- Tu jesteś, Olivio! Lord William chce z tobą rozmawiać. Powiedział, że mam cię przyprowadzić do jego komnaty.

- Co? Co takiego?

- Chodź, idziemy. Pan powiedział, że mam cię zaraz przyprowadzić.

Spojrzała przerażona na Betheldę. Kucharka objęła ją pulchnym ramieniem.

- Czemu tak się martwisz? - zagadnęła Oliwię. - Och, kochanie, nie myślisz chyba... Lord Will nie jest taki. Mówię ci, uspokój się, dziewczyno. Idź i zobacz, czego pan chce.

Olivia zrozumiała, o co chodzi kucharce, ale w tej chwili obawa przed lubieżnymi zachciankami pana Willa nie była jej największym zmartwieniem.

Odetchnęła głęboko.

- Nigdy jeszcze nie byłam w pańskiej komnacie. Prowadź, Elbercie, pójdę za tobą.

ROZDZIAŁ DRUGI

Elbert zostawił Oliwię w komnacie Willa, w narożnej wieży zamku Thalsbury. W trzech ścianach komnaty znajdowały się okna, dzięki czemu przez cały dzień zaglądało do niej słońce. Na kamiennych ścianach wisiały kilimy. Meble były rzeźbione i wyściełane barwnymi tkaninami. Na kominku palił się ogień.

Otwarły się drzwi i do komnaty wszedł lord William. Długimi krokami podszedł prosto do kominka i odwrócony plecami do dziewczyny, przysunął do ognia zmarznięte ręce.

Olivia popatrzyła na niego z zazdrością. Żaden ogień nie mógłby w tej chwili rozgrzać jej ciała, zmrożonego śmiertelnym strachem.

- Powiedziano mi, że nazywasz się Olivia - powiedział, nie spoglądając na nią. Miał niski, przyjemny głos.

- Tak, panie. Olivia.

Miała tak ściśnięte gardło, że z trudem wydobyła z siebie te słowa.

- Jesteś z Thalsbury, Olivio?

- Nie, panie.

- Nie jesteś służącą, prawda?

Milczała. Zastanawiała się, czy powinna opowiedzieć mu historię, którą zmyśliła właśnie na wypadek, gdyby ktokolwiek się nią zainteresował. Odwrócił się do niej. Powoli zmierzył ją wzrokiem, poczynając od zniszczonych butów i kończąc na wełnianym zawoju, pod którym schowała włosy.

- Domyślam się, że masz coś do ukrycia. Dziewczyna szlacheckiego rodu nie udałaby się do obcego zamku, by dla zabawy udawać służącą.

- Mylisz się, panie - odpowiedziała. - To prawda, że nie jestem służącą, lecz nie jestem również damą. - Och, jak piekielnie łatwo przychodzi jej te wszystkie łgarstwa, pomyślała, ale nie miała czasu, by opłakiwać swój zepsuty charakter. - Mój ojciec był kupcem. Umarł wiosną, a matka nie była w stanie mnie utrzymać. Nie było wyjścia, musiałam opuścić dom i szukać sobie pracy.

- Jesteś kupiecką córką?

Wyraz triumfu zniknął z twarzy Willa. Raz jeszcze zmierzył ją spojrzeniem, zatrzymując po drodze wzrok na wszystkich jej kobiecych krągłościach. Na twarzy Olivii pojawił się rumieniec.

- Skąd, u licha, wzięłaś te straszne szmaty. Jesteś ubrana nędzniej od moich najbiedniejszych chłopów.

Ku swemu zaskoczeniu poczuła się urażona. Will podszedł do niej bliżej.

- Rozwiń ten zawój - polecił. - Okropnie w tym wyglądasz.

Olivia niechętnie uniosła rękę. Nie miała wygórowanego mniemania o swoim wyglądzie, ale zdawała sobie sprawę, że nie jest brzydka. Właśnie dlatego przez dwa miesiące spędzone na zamku Thalsbury tak bardzo starała się ukryć swoją urodę i modliła się, by nikt nie zwrócił na nią uwagi.

Drżącymi palcami zaczęła rozplątywać węzeł na głowie.

- Gdyby cię ktoś tak zobaczył, uznałby mnie za okrutnika. Twój strój jest dla mnie hańbą.

Olivia uświadomiła sobie, że Will kpi z niej, i popatrzyła na niego z wojowniczym błyskiem w oku. Odpowiedział jej uważnym spojrzeniem, jakby pytał, czy dziewczyna wykona jego polecenie.

Oczywiście, żadna służąca nie ośmieliłaby się sprzeciwić swemu panu, więc i ona, choć niechętnie, musiała go posłuchać. Gdy wreszcie odwinęła wełniany zawój, kasztanowe włosy wysypały się gęstymi puklami i opadły kaskadą, sięgając Olivii aż za biodra.

Will westchnął zaskoczony i stłumił przekleństwo, które cisnęło mu się na usta. Z rozpuszczonymi włosami dziewczyna czuła się równie naga, jakby opadła z niej jej nędzna suknia. Znów się zarumieniła. Spojrzała na Willa. Jego szare oczy pociemniały jak niebo przed burzą.

- Wyglądasz... wyglądasz tak jak ona - szepnął.

Cofnął się o parę kroków, jakby musiał ochłonać po niespodziewanym ciosie. Gdy spojrzął na nią ponownie, w jego oczach znów dostrzegła nieufność.

- Powiedz mi, Olivio - zaczął, wyciągając rękę, by dotknąć jej loków - dlaczego właściwie uparłaś się, by schować taki skarb pod tym ohydny zawojem? Żadna kobieta nie oparłaby się pokusie popisywania się takimi pięknymi włosami. Można by pomyśleć, że się przed kimś ukrywasz.

Kiedy to usłyszała, ugięły się pod nią nogi.

- Nie ukrywam się, panie. Po prostu nie chciałam się rzucać w oczy. Matka zawsze mnie uczyła, że dziewczynie przystoi skromność.

- Źle to sobie wymyśliłaś, Olivio. Zwróciłem na ciebie uwagę właśnie z powodu tego absurdalnego przebrania. Nie pasuje do ciebie. Twoja uroda i zachowanie zdradzają, że nie jesteś prostą służącą. Przesadziłaś z tą skromnością - zaśmiał się Will.

- Och, jestem taka głupia - powiedziała z udawaną skruchą w głosie.

- W każdym razie nie jesteś szczególnie sprytną oszustką.

- Obrażasz mnie, panie! - zaprotestowała gwałtownie.

- Jestem twoim panem, mam prawo znać prawdę.

- Przepraszam, mój panie.

- Zamiast przepraszać, przestań kłamać.

Serce zabiło jej mocniej. Na pięknie wykrojonych ustach Willa pojawił się dziwny uśmiezek, który budził w niej lęk.

-Dobrze, panie. Wybacz mi, ale gdym udawała się na służbę, matka ostrzegła mnie przed mężczyznami i niebezpieczeństwami, na jakie mogę się narazić, ściągając na siebie ich uwagę. Skoro zatem przyszło mi podawać do stołu w sali pełnej mężczyzn, pomyślałam, że lepiej będzie, jeśli sama zgrzeszę, kłamiąc strojem, niż gdybym pyszniąc się urodą, miała skusić kogoś do grzechu.

-Twoja skromność zasługuje na pochwałę, choć zapewniam cię, że nie byłoby to grzechem, gdybyś się ubrała bez tej przesadnej skromności. A teraz powiedz mi, jak tu trafiłaś.

-Spotkałam we wsi Betheldę, która spytała Keenana, twego burgrabiego, czy mogę zająć w kuchni miejsce dziewczyny, która wyszła za mąż i opuściła służbę.

-Ach, Bethelda. - Głos Willa zdawał się wskazywać, że jej odpowiedź przypadła mu do gustu. - Jesteś zadowolona ze swego miejsca?

-Tak, panie.

-Trafiłaś do nas w szczególnym czasie. Święta Bożego Narodzenia to najweselszy okres w roku, ale też najcięższy dla służby. Jesteś pewna, że dasz sobie radę?

W serce Olivii wstąpiła otucha. Lord Will jej nie wypędzi i pozwoli zostać w Thalsbury.

-Potrafię pracować, panie.

-Wierzę - odpowiedział, ale nie przestał wpatrywać się w nią badawczym wzrokiem.

-Nie pożałujesz, panie, że pozwoliłeś mi zostać - powiedziała żarliwie.

Jej porywczą deklaracją najwyraźniej zaskoczyła Willa.

-Żałować? Nawet o tym nie pomyślałem. Możesz wracać do swoich zajęć, Olivio.

-Dziękuję, mój panie.

Dygnęła i dosłownie wyfrunęła przez drzwi. Zwolniła dopiero na dziedzińcu.

Koniec końców nie było to nawet takie straszne. Bała się, że lord William - teraz zresztą Olivia skłonna była nazywać go jak inni, po prostu Willem - potraktuje ją dużo gorzej. Odnosił się do niej nieufnie, ale na szczęście nie oskarżył jej o nic ani nie wyrzucił z zamku. Więcej nawet, był na swój sposób miły. Dręczący ją lęk, nieustanny strach, że ktoś w końcu wszystko odkryje, po rozmowie z panem Thalsbury nieco osłabł.

Przez chwilę zastanawiała się, co powiedziałby lord Will, gdyby wiedział, że jest ścigana przez prawo. Wykradła dziecko i ukryła je tuż pod jego bokiem. Nie miała wątpliwości, że znów musiałaby uciekać, o ile w ogóle byłoby to możliwe. Odepchnęła od siebie tę myśl i pomaszerowała do kuchni.

Boże Narodzenie było tuż-tuż. Czekало ją sporo pracy.

- Gdybym nie widział na własne oczy przygotowań, przysięgłbym, że w wielkiej sali wyrósł przez noc prawdziwy las - powiedział Agravar, biorąc cugle z rąk chłopca stajennego.

- Wczuj się w świąteczny nastrój, ty stary poganinie - odpowiedział Will.

- Dobrze wiesz, że moja matka była chrześcijanką i wychowała mnie w prawdziwej wierze. Wiem nie gorzej od innych, jak należy świętować. Oczywiście - dodał - przesada o zupełnie inna sprawa.

Will roześmiał się. Wzajemne docinki od lat stanowiły stały element ich przyjaźni. Równie ważne było nie dać się wyprowadzić z równowagi, jak i dowcipnie się odciąć.

- Powinieneś zostać, Agravarze. Bethelda przygotowuje na święta królewską ucztę.

- Jesteś ohydny pyszałkiem, Williamie. Nie wiem, dlaczego będzie nam ciebie brakować, choć to pewne. - Wiking dosiadł konia. - Przekażę Lucienowi twoje życzenia. Byłbym zapomniał podzielić się z tobą dobrą wiadomością. Pani Alayna urodzi swemu mężowi kolejne dziecko.

- To błogosławieństwo nieba, Agravarze - odpowiedział cicho Will. - Niech cię Bóg prowadzi. Wesołych Świąt.

Will uśmiechnął się, skrywając przed przyjacielem swoje prawdziwe uczucia.

- A przy okazji, czy znasz już rozwiązanie swojej świątecznej zagadki?

- Co takiego? - spytał zaskoczony Will.

- Pytam o tę dziewczynę z wypiełgnowanymi dłońmi. Odkryłeś już jej tajemnicę?

- Ach tak. To sierota, która po śmierci ojca musiała pójść na służbę. Taka to była i tajemnica. - Will roześmiał się lekceważąco.

- A zatem wszystko w porządku. Wesołych świąt i do zobaczenia na wiosnę.

- Do zobaczenia, przyjacielu.

Agravar odjechał. Will długo za nim patrzył. W jego głowie kłębiły się emocje. Pomyślał o Lucienie i Alaynie. Wiedział, że szczęście przyjaciół powinno go cieszyć. Nienawidził własnej małoduszności i bólu, który ścisnął mu serce.

- Wygląda na to, że będzie padał śnieg - zauważył przechodzący strażnik.

Will spojrzał na ołowiane niebo.

- Na to wygląda - przyznał.

- Będziemy mieli na święta prawdziwą zimę. Boże Narodzenie i śnieg do pary.

- Tak, to szczęśliwy zbieg okoliczności - zgodził się Will.

Wrócił do środka. Wielką salę wypełniał świeży, kojący zapach żywicy. Will zasiadł z jednym ze swoich rycerzy do szachów, ale nie mógł się skupić na grze i przegrał. Niewiele go to obeszło.

Olivia. Potarł brodę w zamyśleniu. W kącikach jego ust pojawił się leciutki uśmiezek. Wbrew temu, co powiedział wikingowi, dziewczyna wcale nie przestała go intrygować. Ani przez chwilę nie wierzył w jej słowa.

Myśl o Olivii była tym, czego było mu w tej chwili trzeba. Byłoby miło, gdyby dziewczyna dała się nakłonić do zawarcia bliższej

znajomości. Romans, zwłaszcza z tak fascynującą kobietą, być może uwolniłby go od bolesnych wspomnień i przywróciłby dobre samopoczucie.

W jego głowie zaczął kiełkować pomysł.

ROZDZIAŁ TRZECI

Oliwię po raz drugi tego dnia wezwano do pana. Tym razem do sypialni. Szła korytarzami za Elbertem, który oświetlał drogę pochodnią. Kiedy dotarli do drzwi, chłopak zatknął pochodnię w uchwycie i ziewnął.

-Dobrej nocy - powiedział i odszedł.

-Olivia wstrzymała oddech i zastukała do drzwi.

-Wejść - usłyszała głos Willa. Nacisnęła klamkę i pchnęła drzwi.

Lord Will czekał na nią. Sam. I był... nagi.

No, nie całkiem. A właściwie całkiem, tyle że dzięki Bogu, biodra miał okryte płóciennym prześcieradłem. Ze skrzyżowanymi nogami siedział na wyściełanym krześle. Cała jego uwaga skupiona była na ostrzu noża, które oglądał w blasku płonącego na kominku ognia.

Kiedy weszła, uniósł głowę.

- Jesteś - odłożył nóż i wstał.

Szybko się odwróciła, by nie widzieć jego nagości. Serce tłukło się w jej piersi jak spłoszony ptak.

- Chciałem, żebyś usługiwała mi w kąpieli.

Ku swemu zaskoczeniu, odkryła, że stoi tuż za nią. Nawet nie usłyszała, kiedy podszedł do niej bosy po kamiennej posadzce.

- W... w kąpieli?

-Tak. A ty kąpiesz się czasem, Olivio? Nigdy nie mogłem zrozumieć niechęci, jaką wielu ludzi żywi do czystości. Mam nadzieję, że do nich nie należysz?

-Nie - odpowiedziała niepewnie.

-Wobec tego z pewnością wiesz, na czym polega kąpiel? Woda, mydło i tak dalej...

-Tak, znam to wszystko, panie. Nie rozumiem tylko, do czego ja ci jestem potrzebna.

-Nie bój się, to nie będzie trudne zajęcie. - Jego głos był niski niemal jak pomruk i, co gorsza, dobiegał z bardzo, bardzo bliska.

Olivia poczuła na karku oddech Willa. Zrobiło jej się gorąco na myśl, że jest sam na sam z półnagim mężczyzną w jego sypialni. I w dodatku jest jej panem, a ona jego służącą.

-Woda już wlana - ciągnął - ale chciałbym, żebyś wyszorowała mi plecy.

-Och!

-To wszystko. Nie boisz się chyba, że cię zgwałcę?

-Och!

Dlaczego, u diabła, poczuła się... rozczarowana?

-Urodziłaś się w zamożnym domu, prawda, Olivio? Czy matka nigdy nie uczyła cię, że jest w zwyczaju pomaganie gościom w kąpieli?

-Mówiła mi, ale w naszej rodzinie robiły to tylko mężatki.

-Na zamku nie ma mężatek.

-A ty, panie, nie jesteś tu gościem.

-Nie, nie jestem. Jestem panem, a ty moją... służącą. I w związku z tym wyznaczam ci zadania. Czy masz coś przeciwko temu?

-Nie, panie.

-Stanełaś do mnie plecami. To bardzo nieuprzejmie z twojej strony. Zapamiętaj sobie, że gdy twój pan do ciebie mówi, powinnaś patrzeć mu w oczy i słuchać.

-Tak, panie.

Czekał. Dziewczyna chciała, naprawdę chciała się do niego odwrócić, lecz nie mogła.

-Olivio?

-Tak, panie?

-Odwróć się do mnie.

Z zamkniętymi oczami i zaciśniętymi pięściami obróciła najpierw jedną stopę, potem drugą, dopóki nie stanęła z nim twarzą w twarz. Wreszcie skupiła całą siłę woli i uniosła powieki, zdecydowana - tak, jak jej kazał - patrzeć mu w oczy. I tylko w oczy.

Oczywiście, kiedy podniosła powieki, zobaczyła przed sobą nie wzrok Willa, lecz jego szeroką pierś, na której wyraźnie rysowały się silne, twarde mięśnie.

Gwałtownie zamrugała. Ciało Willa było tak niepodobne do jej własnego. Podczas gdy jej było miękkie i delikatne, jego było twarde i silne. A jednak jakaś dziwna ciekawość sprawiała, że miała ochotę przekonać się, jak to będzie, kiedy go dotknie. Może dlatego, że w ciepłym blasku ognia jego skóra zdawała się ciepła i gładka.

Co gorsza, choć wcale nie chciała tego zrobić, jej wzrok powędrował w dół, tam, gdzie różnica między nimi była najbardziej widoczna. Ku swemu zaskoczeniu odkryła, że Will nadal miał biodra owinięte płóciennym prześcieradłem.

- No widzisz, nie jestem taki okropny, jak ci się wydaje.

Na te słowa natychmiast uniosła wzrok. Odrzuciła głowę i spojrzała mu w twarz. W oczach lorda dostrzegła wesołe iskierki. W kącikach jego ust igrał leciutki uśmiezek. Powinna się obrazić, ale uświadomiła sobie, że Will wcale z niej nie żartuje. W jego oczach była radość i pogoda, lecz nie było w nich nawet cienia złośliwości.

- Pięknie się rumienisz. - Wyciągnął rękę i długimi palcami pogłaskał jej włosy. Przez moment miała wrażenie, że jest smutny, ale zanim ustaliła, czy tak jest w istocie, Will się rozpogodził. - No, ale oczywiście nie wejdziesz w tym do wanny, więc odwróć się, a kiedy już bezpiecznie skryję się w wodzie, wezwę cię do twoich obowiązków.

Odwróciła się na pięcie, wdzięczna mu za to polecenie. Usłyszała plusk, a potem Will poprosił ją do siebie. Przygryzając wargę, obróciła się, gotowa na najgorsze. Will roześmiał się na widok jej miny.

- Nie bój się, nie idziesz na śmierć. Zrozum, nie mam zamiaru nakłaniać cię do grzechu, Olivio... W każdym razie jeszcze nie teraz.

Poczuła się urażona jego żartami. Podeszła do wanny ze złożonymi na piersiach rękami.

- Tylko plecy - zastrzegła, jakby dobijali targu.

- Zgoda, zacznijmy od pleców.

Nie mogła odżałować, że tak niewiele wie o mężczyznach. Nie potrafiła nawet się zorientować, czy lord Will znów sobie z niej żartuje, czy tym razem mówi poważnie. Ale przecież wszyscy chwalili jego dobroć, więc chyba nie zamierzał z niej drwić? O co w takim razie chodzi? Czyżby zamierzał ją uwieść?

Mieszkańcy Thalsbury chwalili i kochali swego pana, ale najbardziej kochały go kobiety. W ciągu dwóch miesięcy spędzonych na zamku Olivia zdążyła się już nasłuchać o jego wyczynach bitewnych, uprzejmości, łaskawości i... nieodpartym uroku.

Z tego, co słyszała, wynikało, że służące, które lord Will zaszczycił swoim zainteresowaniem, były zachwycone i inne im zazdrościły, ale słyszała i to, że jego uczucia nie były trwałe i niejedna dziewczyna na darmo usychała z miłości.

- Woda stygnie, Olivio. - Głos Willa wyrwał ją z zamyślenia.

- Idę, panie.

Uklęknęła obok wanny. Była tak przejęta, że niemal wstrzymała oddech. Lord siedział z głową odchyloną do tyłu, opartą o krawędź wanny. Miał zamknięte oczy. Wzięła w drżące ręce mydło i zmoczyła w wodzie kawałek płótna, którym miała mu umyć plecy.

- Pochyl się, panie.

- Hm?

- Jeśli chcesz, abym umyła ci plecy, musisz się pochylić do przodu.

Will oparł rękę na krawędzi wanny. Na suknię Olivii polały się krople wody.

- Zaczynij od ręki.

Z wysiłkiem przełknęła ślinę. Namydliła myjkę i zaczęła energicznie szorować Willa.

- Wielki Boże, dziewczyno, obedrzesz mnie ze skóry!

-Przepraszam, panie - odpowiedziała pokornie, ale chociaż sama nie wiedziała dlaczego, ledwo stłumiła chichot.

Zwolniła ruchy. Przesuwała dłonią po muskularnym przedramieniu Willa, od nadgarstka do łokcia. Potem przeniosła dłoń dalej, za łokieć, i zaczęła myć jego ramię. Czasem dziwiły ją opowieści o jego wyczynach wojennych, bo poruszał się zgrabnie i lekko jak chłopiec.

Dopiero widok jego mięśni uświadomił jej, jak silnym musi być mężczyzną. Pochłonięta studiowaniem jego ciała powędrowała na powrót od ramienia w dół. Odwróciła jego dłoń pokrytą twardą skórą i zaczęła ją masować opuszką kciuka.

Westchnął miękko i rozluźnił mięśnie. Zachęcona jego reakcją rozmasowała, miejsce po miejscu, całą dłoń. Szorowanie lorda Willa okazało się dużo bardziej zabawnym i pociągającym zajęciem, niż się spodziewała. Wstała, obeszła wannę za plecami Willa i zabrała się do drugiej ręki.

Kiedy na niego spojrzała, serce zabiło jej mocniej. Jego twarz z lekko rozchylonymi ustami, policzkami zaróżowionymi od gorącej wody, okolona opadającymi na ramiona włosami, które wilgoć skreśliła w drobne loczki, wyglądała jak twarz anioła.

Tak pomyślała w pierwszej chwili, bo zaraz potem przyszło jej do głowy, że trafniejsze byłoby porównanie do Lucyfera. Upadły archanioł również był świetlisty i piękny, choć za wspaniałą powierzchownością kryła się otchłań zła. Powierzchowność, jak z tego widać, może być zwodnicza.

Nie, nigdy nie słyszała, by ktoś się na niego skarżył. I zawsze był taki. miły. Musiała przed sobą przyznać, że ta cała sytuacja całkiem jej się podoba. Aż zanedo.

Kiedy dotarła do ramienia, poprosiła go, żeby usiadł. Will nachylił się, oparł brodę na kolanach i objął je rękami. Olivia z zapalem zabrała się za jego szerokie plecy.

- Skończyłam, panie - oznajmiła, wycierając dłonie.

- W twoich rękach, dziewczyno, robię się miękki jak воск - powiedział rozleniwionym głosem.

Oczywiście nie zdobyła się na to, by przyznać, ile przyjemności sprawiło jej zawarcie bliższej znajomości z jego ciałem, ani na to, by powiedzieć, że jeśli tylko zechciał, to nie miałyby nic przeciw temu, by cały zabieg powtórzyć. Nie starczyło jej na to odwagi, a poza tym chciała tego wieczoru wymknąć się jeszcze do Stephena.

- Czy mogę odejść? - spytała. - Czy mam, panie, jeszcze coś zrobić?

Choć powiedziała to bez żadnych ukrytych intencji, mina Willa natychmiast uświadomiła jej całą dwuznaczność propozycji, jaką mu zrobiła. Uśmiechnął się do niej szeroko.

- Rób, co zechcesz.

Potraktowała to jako zwolnienie z dalszych obowiązków i wstała.

- Dobranoc, panie - powiedziała, nim wyszła. - Śpij dobrze.

Nie odpowiedział. Podeszła do drzwi. Z ręką na klamce odwróciła się, żeby jeszcze raz na niego spojrzeć. Znow siedział z odchyloną głową i rękami zarzuconymi na brzegi wanny. Tyle że tym razem uważnie się w nią wpatrywał.

- Miłych snów - powiedziała.

Nie odpowiedział. Olivia zatrzymała się jeszcze raz w progu, by spojrzeć na niego ostatni raz.

Powietrze było zimne. Idąc przez dziedziniec zamku, Olivia czuła, jak ogarnia ją wieczorny ziąb. Szybkim krokiem pomaszerowała ku stojącym pod murem obronnym chatom, w których mieszkała zamkowa służba. Szła szybko, więc nim zdążyła zmarznąć, już stała przed drzwiami niewielkiej chaty.

Zastukała tylko raz i nacisnęła klamkę. Kiedy weszła, podniosły się na nią cztery pary oczu. Gean siedziała w kącie izby, trzymając w ramionach Stephena, który ze skrzywioną buzią starał się wyswobodzić z objęć swojej mamki.

John i Martha przywitali się, starając się ukryć niepokój, jakim napawał ich jej widok. Przed dwoma miesiącami, usłyszawszy historię jej niedoli, ci dobrzy ludzie udzielili w swym skromnym domu schronienia trójce zbiegów. Tylko oni znali tajemnicę Olivii i wcale nie było im z tym lekko. Uśmiechnęła się, żeby dać znać, że wszystko jest w porządku.

-Przyniosłam coś do jedzenia. - Wyciągnęła spod płaszcza niewielki tobołek.

-Nie musisz tego robić, pani - zaprotestował John. - Chwała Bogu, pan Will dba o to, żeby nikomu u niego niczego nie brakowało.

-Wierzę - odpowiedziała Olivia. - Teraz jednak masz więcej ludzi do wykarmienia, więc trochę jedzenia na pewno wam się przyda.

Mężczyzna zrobił sceptyczną minę.

- To resztki, uwierz mi.

John przyjął jedzenie i odłożył pakunek na stół.

Gean wstała z chłopcem opartym na ramieniu. Jej własne dziecko zmarło wkrótce po porodzie. Kiedy została mamką Stephena, pokochała malca, jakby był jej synkiem. Dla Olivii wielką ulgą była myśl, że gdy ona krząta się na zamku, jej kochany Stephen pozostaje pod opieką Gean.

-Głowę dam, że przynosisz własne porcje - powiedziała. - Jesteś chuda, jakbyś w ogóle nie jadła.

-To bzdura. W kuchni zawsze jest dość jedzenia. Daj mi Stephena.

Wzięła chłopca w ramiona i uśmiechnęła się do niego. W odpowiedzi malec pokazał jej bezzębne, różowe dziąsła w najśłodszy uśmiechu, jaki w życiu widziała.

- Muszę mu powiedzieć, jak bardzo za nim tęskniłam. Tak, proszę pana. Czy pan też za mną trochę tęsknił?

Ku uciesze wszystkich obecnych, chłopiec wydał w odpowiedzi gromki okrzyk i energicznie zamachał pulchnymi rączkami.

-No proszę, tęsknił za mną! - zawołała z triumfem Olivia i dała Stephenowi skórkę od chleba, którą natychmiast wpackował do buzi.

-Przez cały dzień był okropnie marudny.

Gean rozpakowała tobolek i przeglądała zawartość, dopóki nie natknęła się na piernik. Urwała kawałeczek, wsunęła do ust i wywracając oczami, jęknęła z rozkoszy.

-Czegoś takiego nie jadłam, odkąd przestałam być dzieckiem. Lord Clement nigdy nie karmił służby takimi łakociami. Nawet z okazji świąt. U niego była tylko praca i praca, i jeszcze raz praca. - Gean popatrzyła na chłopca i uśmiechnęła się zadowolona. - Przestał płakać, kiedy go wzięłaś na ręce.

Tak naprawdę, uwagę małego Stephena całkowicie pochłonęła skórka od chleba. Gdy Olivia przysunęła się do niego, buzię chłopca rozpromienił szeroki, ociekający śliną uśmiech, a pulchna piątka delikatnie pacnęła ją w policzek.

Stephen pod wieloma względami przypominał swego ojca, choć czasem Olivia zauważała w nim również pewne podobieństwo do swojej matki, a nawet do siebie samej.

- Jak ci się powodzi, pani? - spytał John, sięgając po pieczone jabłko. - Dobrze się czujesz w Thalsbury?

- Całkiem nieźle - odpowiedziała celowo lekkim tonem.

Usiadła i posadziła sobie Stephena na kolanie. Chłopiec natychmiast zaczął się wykręcać, więc postawiła go na podłodze. Malec chwycił się jedną rączką jej spódnicy, a drugą, w której trzymał skórkę od chleba, zaczął wymachiwać w powietrzu.

-Tak - przyznał John. - Pan Will jest dobrym człowiekiem. Ma serce do ludzi.

-Tak, to prawda - potwierdziła opinię męża Martha. - Kiedy zamek należał do lorda Garricka, było zupełnie inaczej. Pan myślał tylko o tym, jak napęlić swoje kufry złotem, skąpił wszystkiego i tylko gonił ludzi do pracy. Potem przyszedł lord Lucien.

-Lord Lucien? Kto to taki? - spytała Gean.

-Teraz mieszka w Gastonbury. To senior naszego pana. Po śmierci rodziców, kiedy był jeszcze dzieckiem, utracił Thalsbury, ale gdy dorósł, odzyskał tę ziemię z pomocą naszego lorda Willa. O nim i o tym wikingu mawiano, że są prawicą i lewicą lorda Luciena. Potem pan Will dostał zamek w nagrodę za wierną służbę.

-Słyszałam, że był najemnikiem - wtrąciła Gean.

-To prawda. Wielu ubogich rycerzy nie ma innego wyjścia, jak wstąpić na służbę do jakiegoś pana, ale nie każdy otrzymuje taką nagrodę jak nasz lord. Choć nie wygląda groźnie, mówią, że był wielkim wojownikiem.

-Nigdy nie słyszałaś o nim nic złego? - dopytywała się Gean.

-Nigdy!

-Coś takiego! Czy pani już widziała pana Willa? - Gean zwróciła się do Olivii. - Rozmawiała pani z nim?

Wzrok Gean podążył ku miejscu, w które wpatrywała się Olivia, ale oczywiście niczego szczególnego tam nie odkryła.

- Pani! - powtórzyła.

-Słucham? - ożywiła się wyrwana z zamyślenia Olivia.

- Gean spojrzała na nią zdziwiona.
- Do czego pani się uśmiecha?

ROZDZIAŁ CZWARTY

Will zasiadł wraz z innymi do wieczerzy wigilijnej, ale nie zwracał szczególnej uwagi na to, co się działo wokół niego. Jego myśli nieprzerwanie krążyły wokół Olivii.

Córka kupca? Prychnął, ściągając na siebie zdziwione spojrzenia, lecz mało go to obeszło. Bezwiednie wsunął do ust kawałek mięsa. Równie dobrze mógłby jeść trawę, bo w ogóle nie zwracał uwagi na smak.

Nie potrafiła kłamać. Jej piwne oczy, skryte w cieniu gęstych rzęs, były jak przydymione topazy, przez które można było zajrzeć prosto do wnętrza jej duszy. Słowa, które płynęły z ust Olivii, brzmiały nawet przekonująco, ale gdy nie mówiła prawdy, widział w jej oczach zmieszanie i błysk desperacji, jakby własne kłamstwa wprawiały ją w zakłopotanie.

Była delikatna, piękna i poruszała się z takim wdziękiem. Przypomniawszy sobie, jak wczorajszego wieczora ociągała się z odejściem, jakby nie chciała się z nim rozstawać. A może rzeczywiście nie chciała? Czy odczuwała pokusę, żeby się z nim kochać?

Zrobiło mu się gorąco, jakby wszedł do łaźni. Nie miał pojęcia, co z tym wszystkim począć. Co począć? No cóż, ta dziewczyna była zbyt

rozkoszna, by mógł o niej zapomnieć. A swoją drogą, gdzie ona się teraz podziewa? Nie widział jej przez cały dzień.

-Bartramie - zwrócił się do przechodzącego sługi - wiesz, która to jest Olivia?

-Tak, panie, ale jej nie widziałem - odpowiedział chłopak i z chlebem w jednej i dzbanem wina w drugiej ręce czekał na dalsze dyspozycje.

Will odesłał go machnięciem ręki.

Spytał jeszcze któregoś ze służących, lecz i on nie widział Olivii. Gdy niesiono drzewo na wigilijne ognisko, Will dźwignął ciężką kłodę, ale po paru niepewnych krokach krzyknął:

-Nikt nie powie, że zgarniam wszystkie zasługi wyłącznie dla siebie. Beneface, chodź tu do mnie, teraz twoja kolej.

Wkoło rozległ się śmiech. Will także się roześmiał, kiedy już uwolniono go od brzemienia. Bez ciężkiej kłody na ramieniu poczuł się lekki jak piórko.

Zabawa przeciągnęła się do późnego wieczora, lecz mimo to Will nigdzie nie dostrzegł Olivii. W końcu nie mógł tego dłużej wytrzymać i zaczął jej szukać. Zajrzał do kurnika i do stajni, nie bez lęku, że zastanie ją z jakimś parobkiem, bo intuicja mówiła mu, że tajemnica Olivii związana jest z jakimś mężczyzną. Kiedy ją wreszcie zauważył w małym ogródku, gdzie hodowano zioła, zapatrzył się na nią w zachwycie.

Otulona płaszczem, stała z zadartą do góry głową, jakby wpatrywała się w niebo, po którym wędrował, przemykając między

chmurami, księżyc. Willowi przypomniała się pogańska bogini Diana. Kaskada loków opadała dziewczynie na plecy. Tym razem podobieństwo do Alayny nie było już dla niego takie oczywiste. Włosy Olivii były jedyne w swoim rodzaju, wyjątkowe.

Raz w życiu pocałował Alaynę i zapłacił za to rozdartym sercem. Czy Olivia przyniesie mu równie wielki ból? Przez chwilę wahał się, czy nie odejść, ale właśnie wtedy odwróciła głowę i napotkał jej spojrzenie.

Gdy jednak popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami i zaczęła coś dukać na swoje usprawiedliwienie, Will z pewną ulgą zauważył, że dziewczyna przestała wyglądać jak bogini.

- Wiem, że powinnam być w wielkiej sali, ale musiałam wyjść, bo wieczór jest taki cudowny. Właśnie mi się zdawało, że czuję w powietrzu śnieg i stanęłam na chwilę...

Uniósł palec i na moment położył na jej wargach, aby zamknąć jej usta.

- Tym razem nie zostaniesz ukarana - zażartował - ale nie nadużywaj mojej cierpliwości.

Spojrzała na niego zaskoczona, ale szybko się zorientowała, że sobie z niej dworuje. Mimo to jej serce biło mocno jak nigdy.

- Twoja łaskawość, panie, przechodzi wszelkie wyobrażenie.

- Taką mam naturę.

- Wszyscy to o panu mówią - odpowiedziała z powagą.

- Lubisz śnieg, Olivio?

- Czy lubię śnieg, panie? Tak, bardzo lubię. Uwielbiam.

- Co tak ci się w nim podoba? - spytał łagodnie.

Spojrzała mu w oczy i znów poczuł się, jakby coś go targnęło za trzewia.

-Lubię śnieg, bo wtedy wszystko tak pięknie wygląda. Cały świat wydaje się czysty i świeży. Mój ojciec opowiadał, że jeśli stanę z zamkniętymi oczami i będę powoli, głęboko oddychać, to wyczuję śnieg w powietrzu, zanim jeszcze spadnie. Przekonywał, że jeśli poczekam cierpliwie, to zobaczę pod zamkniętymi powiekami wirujące płatki.

-Jak na kupca twój ojciec był bardzo romantyczny.

W pierwszej chwili spojrzała na niego, jakby nie rozumiała, o czym mówi. Chwilami własne słowa wprawiały ją w zakłopotanie.

-Ach, tak. Mój ojciec był kupcem.

-Opowiedz mi coś o nim - poprosił ją Will.

-O moim ojcu? Był cudownym człowiekiem. - Uśmiechnęła się do niego. - Był bardzo wesoły, uwielbiał żarty. - Zaśmiała się, a Will pomyślał, że jej śmiech przypomina muzykę, przy której elfy tańczą nad brzegiem rzeki w noc świętojańską.

-Kiedyś mama przypadkiem odkryła, że kupił dla niej jakiś wspaniały prezent, ale nie wiedziała jaki. Wtedy urządził całe przedstawienie, żeby zamącić sytuację. W końcu w całym domu nie mówiono już o niczym innym, jak tylko o tym, co to właściwie będzie za podarunek. Wszyscy gubili się w domysłach, a ojciec tylko podsycił ich ciekawość.

Will wpatrywał się w Olivię zafascynowany. Jej oczy pojaśniały, na twarzy pojawił się uśmiech. Wspomnienia rodzinnego domu zmieniły ją w zupełnie inną osobę.

- W przeddzień Trzech Króli ojciec przyniósł mamie sporą skrzynię owiniętą w płótno i obwiązaną mnóstwem różnobarwnych wstążek. Gdy mama w końcu rozplatała te wszystkie wstążki i otworzyła skrzynię, znalazła w środku kurę, która gdakała głośno, bardzo niezadowolona z zamknięcia. Mama była zła, ale nic nie powiedziała.

Tego wieczoru ojciec włożył do jej pasztetu w cieście niespodziankę - złoty pierścień z wielkim rubinem i wprawionymi wokół diamentami i szmaragdami. To był cudowny prezent. Mama nie posiadała się z radości, no i wstydu, bo jednak nie udało jej się tak całkiem ukryć rozczarowania i złości z powodu kury.

Will marzył o tym, by jej dotknąć, przytulić, pocałować.

- Twój ojciec umiał się bawić w święta Bożego Narodzenia - powiedział.

- O, tak - zgodziła się z nim chętnie. - Dom był ozdobiony gałęziami dębu ostrolistnego i bluszczu, a nad każdymi drzwiami wisiało dwanaście gałązek jemioly. Wszystkiego musiało być po dwanaście. Ojciec był zupełnie zwariowany na tym punkcie.

Roześmiała się, ale zaraz na powrót spoważniała.

- Czy robi ci się smutno, kiedy wspominasz dom? - spytał łagodnie.

- Trochę, ale to są szczęśliwe wspomnienia.

- Twój ojciec musiał być niezwykłym człowiekiem, Olivio. To on nauczył cię wypatrywać płatków śniegu przez zamknięte powieki.

Spojrzała na niego z ukosa.

- Nie wierzysz mi?

- Skoro mówisz, że potrafisz wypatrzeć śnieg, zanim spadnie, nie pozostaje mi nic innego, niż uwierzyć twojemu doświadczeniu w tych sprawach.

- Sam spróbuj, panie - powiedziała nieoczekiwanie.

- Przepraszam?

- To proste. Zamknij oczy. Odchyl głowę... o tak.

Odrzuciła głowę w tył, odsłaniając białą jak śnieg szyję. Wpatrywał się w nią zafascynowany. Serce zaczęło mu mocniej bić.

- Mam zamknąć oczy? - spytał z wahaniem.

- Tak. Na co czekasz? Nie ufasz mi?

Spojrzał na nią niepewnie. Roześmiała się.

- No, śmiało! - zachęcała go Olivia.

Można by pomyśleć, że to on jest sługą, a ona panią na Thalsbury! Wydawała polecenia tak naturalnym tonem, jakby przywykła do tego od dziecka. Pewnie zresztą tak właśnie było.

Roześmiał się.

- Dobrze - powiedział. - Chociaż czuję się dosyć głupio.

- Teraz oddychaj głęboko. Wdech... wydech... wdech... I jeszcze raz.

Will zrobił, co mu poleciła Olivia. Stał z odchyłoną głową, zwrócony twarzą do nieba, oddychał głęboko i bez przekonania czekał

na chwilę, kiedy wreszcie będzie miał tę dziwną wizję wirujących płatków śniegu.

- Nic nie widzę - powiedział po chwili.

- Może w takim razie nie będzie padało.

- A ty zobaczyłaś ten śnieg?

- No nie.

Ton jej głosu zbudził w nim podejrzenia. Otworzył oczy i wyprostował się. Spojrzał na Olivię i dostrzegł w jej oczach skruchę.

- A czy kiedykolwiek go zobaczyłaś?

- Nie.

- Czy ty sobie ze mnie kpisz?

- Za nic w świecie! Ojciec naprawdę mi to wszystko powiedział. I pomyślałam, że jeśli i ty spróbujesz, panie, to się przekonam, czy to tylko ja jestem taka ślepa, czy może to kolejny dowcip mego ojca... - Urwała i spojrzała na niego niepewnie. - Teraz zaczynam podejrzewać, że dałam się nabrać. Czy jesteś na mnie zły, panie?

- Jestem wściekły.

- Nie wydajesz się bardzo zły.

- Nie słyszałaś nigdy tego powiedzenia, że tam, gdzie toń jest najgłębsza, lustra wody nie ma żadna zmarszczka?

- Sam wymyśliłeś to powiedzenie, panie.

- Może.

- Wobec tego jesteśmy kwita.

- Chyba żartujesz. Mam prawo do odpłaty.

-Do odpłaty... Czy chcesz mnie ukarać, panie? Ależ to był tylko żart!

-Niemniej jednak należy mi się odszkodowanie. Jeżeli się nie mylę, jesteś dzielną dziewczyną, Olivio. - Nie odpowiedziała. W jej oczach dostrzegł lęk. - Pocałunek.

W pierwszej chwili nie zrozumiała, o co mu chodzi.

-Pocałunek? - powtórzyła za nim.

-Tak, dziewczyno, pocałunek. To właśnie mi się od ciebie należy i to dostanę. Tylko mi nie mów, że jeszcze nikogo nie całowałaś.

Zareagowała tak, jak się tego spodziewał.

-Nie widzę powodów, dla których miałoby cię to obchodzić, panie - odpowiedziała hardo.

Kupiecka córka, coś takiego! - zaśmiał się w duchu.

-Wobec tego, chodź tu i zrób, czego żąda twój pan. Jeden pocałunek, żeby przypieczętować naszą zgodę.

Zbliżyła się do niego o krok, ale natychmiast się zawahała.

-Nie zrobisz mi krzywdy? - upewniła się.

-Chodź, Olivio.

Zrobiła kolejny krok. Will z trudem zapanował nad pragnieniem, by przyciągnąć ją i chwycić w ramiona.

-Przepraszam, panie. Bardzo żałuję tego, co zrobiłam. Przysięgam, że to się nie powtórzy.

Wyciągnął rękę, a ona powoli podała mu swą kruchą, białą dłoń. Palce zdrajczyni, pomyślał. Nieskalane pracą, delikatne i wdzięczne.

W jego szerokiej dłoni zdawały się takie maleńkie. Objął jej rękę i przyciągnął do siebie.

Nie patrzyła na niego. Ujął ją pod brodę i opuścił głowę. Najpierw tylko musnął jej usta wargami, potem pocałował drugi raz, wolniej, bardziej zmysłowo.

Kiedy odsunął głowę, uniosła powieki i spojrzała mu na moment w oczy, ale zaraz skryła je za zasłoną gęstych, długich rzęs. Stała bardzo, bardzo spokojnie, z lekko rozchylonymi ustami, czekając na kolejny pocałunek.

Tym razem objął ją w talii i przyciągnął do siebie. Dotknięcie jej bioder odebrało mu dech, jakby otrzymał cios w splot słoneczny. Wpił się ustami w wargi Olivii. Jego ciało ogarnął ogień, zarazem rozkoszny i dręczący.

Pragnął jej. Westchnęła cicho i przylgnęła do niego. Choć brakło jej doświadczenia, umiała sprawić, że namiętność Willa buchnęła jeszcze żywszym płomieniem. Najsilniej jednak podsycala jego pragnienie świadomość, że „kara”, jaką jej wymierzył, sprawia Olivii nie mniejszą przyjemność niż jemu samemu.

Cofnął głowę. Dziewczyna powoli uniosła powieki i popatrzyła na niego ze zdziwieniem. Kiedy przesunęła czubeczką różowego języka po dolnej wardze, Will omal nie osunął się na kolana.

W tej chwili nic go nie obchodziły jej sekrety. Jego namiętność była zbyt silna, by mógł spokojnie myśleć. Ujął oburącz dłonie Olivii.

-Chodź ze mną do mojej sypialni. Pozwól mi całować się przez całą noc.

- Tak jak teraz? - spytała oszołomiona jego pocałunkami.

- Tak, najdroższa. Tak jak teraz i więcej. Chcę cię całować tu... - Przesunął palcem po jej nosie, ustach, brodzie i szyi. - Chcę cię całować tu... - Jego dłoń spoczęła na ramieniu Olivii. - Tu... - Palce Willa delikatnie obwiodły krągłość jej piersi pod grubą wełnianą materią... - I tu.

Zaskoczenie sprawiło, że usta Olivii rozchyliły się, jej spojrzenie stało się omdlewające i rozmarzone. Will zaczął ją całować na nowo, dopóki nie wtuliła się w niego całym ciałem. Drżący oddech dziewczyny chłodził jego gorącą skórę. Potem całował ją w szyję, rozkoszując się jej przyśpieszonym oddechem i cichymi westchnieniami.

- Pragnę cię, Olivio - wyszeptał ochryple. - Chcę się z tobą kochać.

Zareagowała na jego słowa namiętnym jękiem i przytuliła się do niego mocniej, sprawiając, że zupełnie przestał nad sobą panować. Obsypał pocałunkami jej nos, powieki i policzki. Gotowość, z jaką poddawała się jego pieszczotom, wzmogła jeszcze jego podniecenie.

- Uczynię cię moją nałożnicą. Nie będziesz musiała pracować. Obsypię cię łaskami, zwolnię cię z wszystkich obowiązków w kuchni. Obiecuję, że nie minie cię nagroda - wyszeptał namiętnie.

Ku jego zaskoczeniu dłonie Olivii, które jeszcze przed sekundą błądziły pośród jego włosów, znieruchomiały. Podobnie jak całe ciało dziewczyny. Uniósł głowę i popatrzył jej w oczy. Spojrzenie Olivii

nie pozostawiało żadnych wątpliwości co do tego, że popełnił wielki błąd.

ROZDZIAŁ PIĄTY

To jedno słowo „nałożnica” wystarczyło, by cała jej namiętność gwałtownie wystygła. Nałożnica. Pańska kochanka, zwolniona ze wszystkich obowiązków po to, by mogła poświęcić się wyłącznie zaspokajaniu jego namiętności.

Nałożnica znaczyło tyle co ladacznicą!

Ladacznicą.

Właściwie nie było się czemu dziwić. Olivia zupełnie się zatraciła w zmysłowych pieszczotach Willa. A on tak dobrze wiedział, kiedy wyszeptać jej do ucha, że chce się z nią kochać. Zaproponował jej to, a ona nie cofnęła się, nie zaprotestowała. Zapomniała o wstydzie, poddała się niespodziewanej rozkoszy przenikającej jej ciało; gorącej fali namiętności, która wezbrała w jej piersi.

Musiał to zauważyć. Musiał zrozumieć, że należy do niego całym sercem, całą sobą. William z Thalsbury miał dość doświadczenia, by poznać, że obudził w niej żądzę. Potem jednak, na szczęście, wypowiedział słowo, które przywróciło Olivii przytomność. Nałożnica.

Jego uścisk zelżał. Patrzył na nią zaniepokojony.

-Co się stało? - spytał.

-Puść mnie, panie. - Nie mając odwagi spojrzeć mu w oczy, spuściła głowę. - Proszę.

Zrobił, o co prosiła, a ona odsunęła się od niego.

-Nie rozumiem.

-Obawiam się, panie, że mój brak doświadczenia wprowadził cię w błąd. Sama nie wiem, jak mogłam tak postąpić.

-Co takiego się stało, Olivio? Przecież, to były tylko zwykłe pocałunki.

-Może dla ciebie, panie. - Spojrzała mu w oczy i poznała, że go zraniła. - Ja nie przywykłam całować się z mężczyznami.

-Olivio! - Wyciągnął do niej rękę.

Usunęła się, jakby się bała, że ją sparzy. W pewnym sensie zresztą tak było. Jeszcze teraz jego pocałunki paliły ją jak ogień.

-Nie będę nałożnicą, panie.

-Wolisz być służącą?

-Oczywiście - odpowiedziała. - Mogę być służącą, ale nie pójdę z tobą do łóżka dla twojej przyjemności.

-A dla własnej?

Przeszedł ją dreszcz. Nie, postanowiła, nawet nie będzie słuchać tego złotoustego uwodziciela.

-Jesteś zbyt śmiały, mój panie. I zbyt wysokie masz o sobie mniemanie.

Jej ostre słowa zraniły Willa. Cofnął się o krok, a na jego twarzy pojawiło się bolesne napięcie.

-Przepraszam, Olivio, nie chciałem cię obrazić. Ale ty i tak potrafisz unikać co bardziej nieprzyjemnych obowiązków. Wypatrywałem cię przez cały wieczór, lecz na próżno.

Sercem Olivii targnęła panika. Zanadto zasiedziała się w chacie we wsi, ale Stephen był taki słodki, że nie mogła się z nim rozstać.

- Nie mogę uwierzyć, że spędziłaś cały ten czas - Will rzucił wymowne spojrzenie w kierunku ogródka - wachając śnieg.

Co jeszcze wiedział? - pomyślała w popłochu.

- Nie jestem głupcem, Olivio. - Ujął jej dłoń i odwrócił wnętrzem do góry. - Widzisz? - spytał. - Ani śladu odcisków. To dłonie damy.

Przesunął palcami po gładkiej skórze. Olivię przeszedł dreszcz.

- Powiedziałaś, panie...

- Kłamałaś, Olivio. W twoich słowach nie było nic prócz kłamstwa.

Puścił jej rękę. Poczwała pod powiekami piekące łzy. Zbyt łatwo uległa temu mężczyźnie, była dumna, że zwrócił na nią uwagę. Teraz dopiero przyszło jej na myśl, że swoim głupim zachowaniem mogła ściągnąć niebezpieczeństwo... nie, nie na własną głowę. Ogarnął ją przejmujący lęk o maleńkiego Stephena.

- Zachowaj swoje sekrety dla siebie, Olivio. Mnie one nie interesują. Pragnę ciebie. Jeśli zmienisz zdanie... - urwał i spojrzał na nią płomiennym wzrokiem - z przyjemnością omówię z tobą raz jeszcze moją propozycję. Dobranoc i wszystkiego najlepszego z okazji świąt Bożego Narodzenia.

Przesłał jej olśniewający uśmiech, którym bez wątplenia zmiękczył już niejedno kobiece serce, i odszedł.

Był dzień Bożego Narodzenia.

W wielkiej sali zamkowej, wokół długich stołów, zgromadziło się mnóstwo ludzi. Gromkie okrzyki wstrząsały potężnymi belkami stropu.

Lord William uniósł puchar.

- Za zdrowie! - zawołał i wychylił naczynie do dna.

Rozległy się dźwięki muzyki i do sali wkroczyli kołędnicy. Na przedzie, grając na dudach, maszerował szewc Tom. Za nim weszło dwoje wieśniaków przebranych za Józefa i Marię, trzech królowie w długich szatach i koronach oraz pasterze z psami. Pochód zamykał Elbert, paż Willa, z gwiazdą betlejemską na długiej tyczce, promieniejący dumą, że odgrywa tak ważną rolę.

Rozpoczęły się jasełka. Rzeźnik Crispin znakomicie udawał Heroda. Wybrano go do roli okrutnego króla ze względu na tubalny głos i zbójcki wygląd, choć naprawdę trudno byłoby o łagodniejszego i poczciwszego człowieka.

Will uśmiechnął się na tę myśl. Cieszył się, że zna służbę i rzemieślników, rycerzy, żołnierzy i chłopów nie tylko z imienia, lecz że również wie, jacy są i jak żyją. Lubił z nimi rozmawiać, uświetniał swą obecnością śluby i chrzciny. Wiedział, kto się urodził, kto umarł, wiedział nawet o chorobach i kłótniach. Wszystko to sprawiało, że jego ludzie byli wobec niego nie tylko lojalni, lecz także czuli się z nim blisko związani.

Nie robił tego z wyrachowania, po prostu dobrze się wśród nich czuł. Choć wysoko zawędrował, życie prostych ludzi było mu znane,

bo sam urodził się pośród nich. Jego matka była służącą, ojca nigdy nie poznał. Przychodziło mu do głowy, że może nim być pan zamku, na którym się wychował, bo lord przyglądał mu się czasem dziwnie. Jednak nawet jeśli w jego żyłach płynęła szlachecka krew, to i tak wychował się w kuchni, wśród służby. I bynajmniej nie czuł się z tego powodu skrzywdzony przez los.

Kiedy miał szesnaście lat, sam odmienił swoje życie. Ukradł miecz i konia i po kilku dniach wędrówki zajechał do zamku, którego pan chętnie przyjął na służbę postawnego młodzieńca. Tam zaczął się uczyć rycerskiego rzemiosła. Później, jak wielu ubogich rycerzy, szukał szczęścia na służbie u bogatszych od siebie, aż szczęśliwy traf zetknął go z Lucienem de Montregnier.

Will nie zapomniał o swoim skromnym pochodzeniu. Dobrze wiedział, ile warta jest wolność, a życie nauczyło go, jak wiele znaczy uprzejmość. Osobisty kodeks honorowy Willa był nie mniej rygorystyczny niż tradycyjny kodeks rycerski, choć prostszy. Jego podstawę stanowił szacunek.

Dlatego właśnie postanowił zapomnieć o powabnej Olivii. Skoro nie chciała odwiedzić jego sypialni, trudno, nie zamierzał jej do tego zmuszać. Powiedział jej, że może zachować swoją tajemnicę dla siebie i choć go intrygowała, nie zamierzał złamać słowa. Pragnął jej, ale wiedział, że ich romans mógłby być dla nich źródłem prawdziwej radości tylko wtedy, gdyby oboje do niego dążyli. Nie miał innego wyjścia, niż przestać myśleć o dziwnej służącej.

Tylko dlaczego w takim razie miał ją przed oczyma, zamiast jak inni cieszyć się występami kolędników?

- Panie - szepnął mu do ucha kobiecy głos - przysłała mnie Bethelda, żeby powiedzieć, że ta dziewczyna, Olivia, jest chora. Bethelda prosi...

Nie czekając na dalsze słowa, zerwał się z miejsca.

- Gdzie ona jest?

- W kuchni, panie. Właśnie miała przynieść wino, kiedy zemdląca.

Rozpychając tłum, ruszył do kuchni. Śpieszył się tak, że omal nie przewrócił zapatrzonego w kolędników braciszka zakonnego.

Olivia leżała na ławie. Oczy miała, chwała Bogu, otwarte. Stało przy niej kilka kobiet i zakłopotany strażnik, który powitał swego pana z nie skrywaną ulgą.

Will uklęknął przy ławie.

- Nie pozwalają mi wstać - poskarżyła się Olivia.

- Co ci się stało? Jesteś ranna?

- Nie jest ranna, panie - odezwała się Bethelda. - Po prostu wzięła dzban wina i upadła. Musiała zemdleć, ale na szczęście już oprzytomniała. - Gruba kucharka z ubolewaniem pokręciła głową. - Ta dziewczyna jest taka chuda. Ona za mało je.

- Nic mi nie jest - zaprotestowała Olivia.

Próbowała usiąść, ale Will ją przytrzymał.

- Poczekaj jeszcze chwilę.

- Goście czekają na jedzenie - upierała się Olivia.

- A dlaczego ty nie jesz?

-Ona nie je? - wtrąciła tłusta kobieta, która zajmowała się zamkowym drobiem. - Przecież nieraz widziałam, jak zbiera resztki i chowa w zawiniątku. Aż się zdziwiłam i powiadam mojemu Dellwinowi: „Co ta mała robi z tym całym jedzeniem, że wciąż jest chuda jak szczapa?”, a mój Dellwin na to...

-Nie słuchaj jej, panie - przerwała grubasce Bethelda, mierząc ją złym spojrzeniem. - Ta bidulka je jak ptaszek.

Olivia próbowała wywinąć mu się z rąk i wstać.

- To nonsens. Jestem po prostu zmęczona. Nie przywykłam tyle pracować, ale już mi lepiej, dam sobie radę.

Will popatrzył na nią badawczo.

- Najpierw chcę przekonać się na własne oczy, jak to jest z twoim apetytem.

Pomagając Olivii wstać, spojrzął z wdzięcznością na Betheldę.

-Dobrze zrobiłaś, żeś po mnie posłała.

-Wiem przecież, panie, że troszczysz się o nas wszystkich, to czemu miałbyś się nie zatroszczyć o tę dziewczynkę - odparła Bethelda głośno, a potem, ścisząc głos, by tylko on ją usłyszał, dodała: - Moje stare oczy są jeszcze dosyć dobre, bym zauważyła, że ta mała ma jakieś kłopoty. Pan też to wie. Może będzie pan jej mógł jakoś pomóc.

-Betheldo - uśmiechnął się Will do kucharki - za twoje wścibstwo powinienem nagrodzić cię całusem.

-Phi, też mi nagroda. Ledwo ją dostaniesz, a już jej nie ma! - odcięła się stara kucharka, ale zarumieniła się, mile połączona komplementem Willa. - Tylko mężczyzna mógł wymyślić coś takiego.

Lord zaśmiał się z jej słów.

-Jeśli nie chcesz ode mnie całusa, to powiedz, jaką chcesz nagrodę. Chętnie cię obdaruję. - Odwrócił się do Olivii. - Chodź ze mną, jeszcze zdążymy popatrzeć na jasełka.

Posłusznie poszła za nim, ale kiedy minęli solniczkę, która oddzielała część stołu przeznaczoną dla szlachty od tej, która była przeznaczona dla gości niższego stanu, ogarnęło ją przerażenie.

-Nie chcesz chyba, panie, bym usiadła na miejscu dla szlachetnie urodzonych?

-Albo usiądziesz obok mnie, albo ja usiądę przy tobie, pośród pospólstwa. Chcę zobaczyć na własne oczy, jaki masz apetyt.

-Nie kłopotz się mną, panie. - Olivia niespokojnie się rozejrzała. - Wiem, że źle zrobiłam, panie. Zapewniam cię, że będę jadła.

-Znam twój upór, Olivio, i chcę się przekonać na własne oczy, że wrócił ci apetyt. Pomyśl tylko, co zaczęliby mówić ludzie, gdyby rozeszła się wieść, że na zamku Thalsbury służba mdleje z głodu. Okryłabyś mnie hańbą.

Olivia wahała się tylko przez chwilę, po czym posłusznie zajęła wskazane miejsce. Will usiadł obok niej. Nawet gdyby dotąd nie zorientował się, że Olivia go okłamywała, jej zachowanie musiałoby mu dać wiele do myślenia. W żadnym razie nie wyglądała na osobę, która pierwszy raz w życiu siedzi przy pańskim stole.

Ledwie rzuciła okiem na kryształowy kielich pięknej roboty, który z pewnością przyciągnąłby uwagę osoby nieprzyzwyczajonej do zbytku.

- Jasełka się skończyły - powiedział - ale zobaczymy jeszcze występy pasterzy.

Olivia śmiała się, z przyjemnością oglądając popisy muskularnych młodzieńców, którzy chodzili na rękach, a potem jednym skokiem stawali na nogi jak prawdziwi linoskoczkowie.

- Jedz! - polecił jej Will.

Zrobiła, co kazał. Will ze szczerym podziwem patrzył, jak szczupła dziewczyna pochłania ogromny kawał pieczeni z dzika, prażoną na węglach rybę i pasztet w cieście, popijając to wszystko grzanym piwem zabielanym śmietaną.

W miarę jedzenia Olivia zmieniała się w oczach. Pokrzepiona sutym posiłkiem, głośno się śmiała i klaskała, kiedy Thomas Leśnik pokonał na rękach całą długość sali. Patrząc na jej rozjaśnioną radością twarz, Will także nie mógł powstrzymać uśmiechu.

Gdy na deser zjadła tuzin suszonych fig, uśmiechnęła się jak łakome dziecko przyłapane w spiżarni. Will obserwował zafascynowany, jak w jednocześnie erotycznym i niewinnym geście dziewczyna oblizuje jeden szczupły palec po drugim.

- Uwielbiam figi - powiedziała, jakby się usprawiedliwiała.

- Więc zjedz więcej - powiedział. - Mamy ich tu pod dostatkiem.

- Już się najadłam - odpowiedziała bez przekonania, jak ktoś, kogo powstrzymuje wyłącznie dobre wychowanie.

Podsunał jej puchar.

- Napij się wina z korzeniami.

Olivia przyjęła puchar z pewnym wahaniem.

- Nie zwykłam pić wina - przyznała.

- Takiego jak nasze nie miałaś jeszcze okazji próbować. To świąteczna specjalność Betheldy.

Olivia wciągnęła w nozdrza słodki, korzenny aromat i ostrożnie skosztowała napoju. Uniosła brwi z wyrazem przyjemnego zaskoczenia. Potem, ku zdziwieniu Willa, wychyliła puchar do dna.

Kiedy łakomie oblizła wilgotne wargi językiem, wstrzymał oddech. To było po prostu ponad jego siły.

- Wyborne - przyznała.

Sięgnął po dzban i znów dolał jej wina. Popijała małymi łykami, podczas gdy biesiadnicy ciągnęli losy, by dowiedzieć się, co czeka ich w nadchodzącym roku. Willowi wyszła miłość, Olivii - że znajdzie skarb. Gdy udając zawiedzionego narzekał, że los nie wywróżył jej również miłości, roześmiała się.

- Czy może być większy skarb od miłości, panie?

Wiedział, że nie robiła tego, żeby się z nim droczyć, niemniej jednak poczuł się rozdrażniony.

Wróciły do niego stare obawy. Widok Alayny w ramionach innego mężczyzny sprawił mu wielki ból, choć ten mężczyzna był jego najbliższym przyjacielem. Jak będzie się czuł, patrząc na Olivie w ramionach któregoś ze strażników czy stajennych; na ich szczęście i

radość, na dzieci, które przyjdą na świat z tego związku i będą wyrastać pod jego bokiem w Thalsbury?

Na tę myśl stracił ochotę do zabawy. Olivia również ucichła. Przez chwilę miał nadzieję, że dziewczynie przyszło do głowy to samo co jemu, szybko jednak się zorientował, że jej zachowanie ma dużo bardziej prozaiczne przyczyny.

Olivia zbladła i położyła rękę na brzuchu, tuż poniżej rysujących się pod suknią piersi. Oddychała głęboko.

- Chyba za dużo wypiałam.

Natychmiast zrozumiał, co się stało. Zerwał się na nogi i przez zatłoczoną salę poprowadził dziewczynę do drzwi. Napotkanego kuchcika Will posłał po Betheldę. Chłopiec pomknął jak strzała i gdy wyszli na dziedziniec, zasapana kucharka już na nich czekała.

- Co się stało? Znów się źle czujesz, dziewczyno?

- Wypiła za dużo wina - wyjaśnił Will. - Nie powinienem był go dolewać, ale tak jej smakowało.

- Przejdzie jej - odpowiedziała Bethelda. - Cięży ci to wino na żołądku, prawda? Będziesz musiała zrzucić ten ciężar.

Zaciskając usta, Olivia gwałtownie pokręciła głową.

- Myślałem, że pomoże jej świeże powietrze.

- Samo powietrze to za mało - mruknęła kucharka. - Dziewczyna musi się uwolnić od trucizny. A z jej miny wnoszę, panie, że jeśli nie odejdziesz, biedaczka raczej będzie wolała męczyć się przez całą noc, niż ulżyć sobie w twojej obecności.

Will niechętnie rozstawał się z Olivią. Jedyłą pociechą była myśl, że zostawia ją pod dobrą opieką.

- Zajmij się nią, Betheldo. Zadbaj, żeby miała wszystko, czego jej będzie trzeba. Poślij po cyrulika.

Bethelda zaśmiała się na widok jego zatroskanej miny.

- Nie obawiaj się, panie, nic jej nie będzie. A teraz już nas zostaw.

Zrobił kilka kroków, ale zaraz się zatrzymał.

- Połóż ją na noc w komnacie dla gości.

- Wszystkie komnaty są zajęte, panie.

- Wobec tego trzeba będzie którąś opróżnić - odpowiedział i odszedł.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Olivii trudno byłoby wyobrazić sobie bardziej upokarzającą sytuację.

Naga pod czystą kołdrą, przez całą noc zamartwiała się tym, co się jej przydarzyło. Na szczęście, kiedy już zwymiotowała, a potem napiła się wywaru naszykowanego przez cyrulika, jej żołądek szybko się uspokoił. Do rana poczuła się całkiem dobrze, a przynajmniej na tyle, by mogła się zadręczać swoim postępkiem.

Marzyła, by odzyskać ubranie i wrócić do siebie. Powiedziała o tym nawet służce, która przyniosła jej rankiem śniadanie, ale dziewczyna nie zwróciła uwagi na jej słowa.

Potem zjawił się Will.

Olivia naciągnęła kołdrę pod samą brodę.

W promieniach słońca, wpadających przez wąskie okno do komnaty, Will wyglądał wspaniale. Miał na sobie zielony kaftan i obcisłe brązowe spodnie. Złote włosy otaczały jego głowę jak aureola, a na twarzy igrał mu lekki uśmieszek.

-Mówiono mi, że już się lepiej czujesz.

-Dużo lepiej, panie. Chciałabym wstać i wrócić do swoich zajęć.

Will przysiadł na brzegu łóżka.

-Niedługo wrócisz do pracy, ale najpierw chciałbym z tobą porozmawiać.

Olivia podciągnęła kołdrę jeszcze wyżej.

-Błagam cię, panie, pozwól mi się najpierw ubrać.

-Co takiego?

Spojrzał na nią zmieszany i natychmiast zerwał się z łóżka, jakby pościel stanęła w płomieniach. Obrzucił dziewczynę przelotnym spojrzeniem. Na widok jej nagiego, wystającego spod kołdry ramienia westchnął głęboko i ruszył do drzwi.

-Rzeczywiście, tak będzie lepiej. Ubierz się i przyjdź do mojej komnaty - polecił Olivii i wyszedł.

Ledwo zamknęły się za nim drzwi, wybuchła chichotliwym śmiechem. Nic na to nie mogła poradzić. Widok słynącego z miłosnych podbojów lorda Thalsbury, który zmykał jak zając, był po prostu komiczny.

Kiedy się uspokoiła, zrobiło jej się wstyd. Właściwie powinna być mu wdzięczna, uznała ze skruchą.

Po chwili do komnaty weszły Bethelda z płóciennym ręcznikiem i młoda służka z cebrzykiem ciepłej wody.

Kucharka była w znakomitym humorze.

- Pokaż Olivii jej strój, Malorie - zaświergotała radośnie, szybko porządkując pomieszczenie, podczas gdy Olivia się myła.

Dziewczyna ze zmarszczonym czołem rozłożyła na łóżku błękitną suknię i koszulę z delikatnego płótna w kremowym kolorze.

- Lord Will kupił tę suknię od córki lady Adory. Mała oczywiście zaraz to wszystkim rozgadała. Cały zamek aż się trzęsie od domysłów, kogo też pan chce uszczęśliwić takim cudem. - Malorie rzuciła Olivii zazdrosne spojrzenie. - Wszystkie damy prześcigają się w domysłach, a każda ma nadzieję, że to ona dostanie suknię na Trzech Króli. Zobaczysz jeszcze, co to będzie, kiedy się okaże, że to dla zwykłej służącej.

Bethelda skarciła dziewczynę, ale Malorie tylko wzruszyła ramionami.

- Sama byłam kiedyś na jej miejscu. Raz. Tylko że ja niczego z tej okazji nie dostałam. Ty też nie masz na co liczyć - zaśmiała się, taksując Oliwię wzrokiem. - Raz, drugi i po krzyku. On pójdzie do następnej, a ty wrócisz do kuchni.

- Malorie! - rozzłościła się Bethelda. - Zostaw już tę suknię i wyjdź.

Służka niedbale rzuciła błękitny strój na łóżko. Wychodząc, zatrzymała się jeszcze na chwilę w drzwiach.

- Nic się nie martw, co sobie użyjesz, to twoje. Jednego możesz być pewna: czekają cię przyjemne noce. Lord Will wie, jak dogodzić kobiecie - zaśmiała się Malorie. - Zabaw się, póki możesz.

- Nie słuchaj jej! - Bethelda z hukiem zatrzasnęła za nią drzwi. - Skręca ją z zazdrości. A ja ci mówię, że to piękny gest ze strony pana, by tak cię obdarować. Załóż ją, Olivio. Zobaczymy, jak wyglądasz.

Dziewczyna wciągnęła przez głowę koszulę, a potem suknię. Z przyjemnością przesunęła dłońmi po miękkim, gładkim materiale. Miała wrażenie, że wieki minęły od chwili, gdy miała na sobie podobny strój. Will musiał sporo za niego zapłacić.

Odwróciła się do Betheldy.

- I jak wyglądam?

Stara kucharka promieniała zadowoleniem.

- Wyglądasz po prostu pięknie.

Zarumieniła się, ale było jej bardzo przyjemnie.

- Dlaczego pan Will to zrobił? Czy on chce mnie usidlić prezentami?

- Nie, moje dziecko, niczego się nie bój. Nie słuchaj tej zazdrośnicy Malorie. Lord Will jest oczywiście mężczyzną, ma swoje potrzeby, i to prawda, że niejedna dziewczyna już grzała go nocą w łóżku - przyznała kucharka - ale nie jest kłamcą i na pewno cię nie oszuka. Pan Will jest dobrym człowiekiem. I lubi cię, Olivio. Może nawet więcej niż lubi. W każdym razie nigdy nie powinnaś wątpić w jego honor ani uczciwość.

Tak, pomyślała Olivia, pan Will niewątpliwie musi ją lubić. Tak jak ona jego. Z przyjemnością popatrzyła na błękitną suknię, która idealnie pasowała do jej szczupłej sylwetki, podkreślając wszystkie jej atuty.

Zgodnie z życzeniem Willa, poszła prosto do jego komnaty. Czekał na nią. Gdy weszła, wskazał jej ręką krzesło. Dziewczyna usiadła.

- Pora na uczciwą rozmowę, Olivio.

Złożyła ręce na podolku i milczała. Była tak przestraszona, że ledwo mogła oddychać.

- Wiem, że pochodzisz ze szlacheckiego rodu, Olivio. Choć nie podoba mi się fakt, że mnie okłamałaś, rozumiem, że mogłaś mieć ku temu ważne powody.

Usiadł naprzeciwko niej i nachylił się, opierając łokcie na kolanach. Przygryzła wargę i spuściła wzrok.

- Proszę cię, powiedz mi, o co w tym wszystkim chodzi. Przed kim się ukrywasz? Zapewniam cię, że możesz mi zaufać. Nikt jeszcze nie zarzucił mi, że zostałam przez mnie oszukany. Nie wydam cię nikomu. Przeciwnie! Obronię cię przed każdym, kto chciałby cię skrzywdzić, choćby miało mnie to kosztować życie. Chcę, żebyś mi powiedziała prawdę. Co cię gryzie, Olivio?

Z ociąganiem uniosła na niego spojrzenie. Szare oczy Willa patrzyły na nią tak żarliwie i czule zarazem, że aż zabolęło ją serce. Przez krótką chwilę zdawało jej się, że nie zniesie tego i wybuchnie płaczem.

- Naprawdę niczego nie ukrywam, panie - szepnęła, choć wiedziała, że go nie przekona.

Will splótł palce i podparł dłońmi brodę. Przez chwilę wpatrywał się w nią bez słowa.

- Posłuchaj, Olivio - spróbował jeszcze raz - nie będę się złościł. Obiecuję ci. - Uniósł rękę. - Przysięgam, że ani sam cię nie skrzywdzę, ani nie pozwolę, by ktokolwiek to uczynił.

Przez chwilę miała ochotę po prostu wszystko mu opowiedzieć. Ukradłam dziecko i teraz jest ono tu, w Thalsbury, w domku na dziedzińcu zamku. Mieszka u ludzi, którzy nigdy niczego przed tobą nie ukrywali i którzy mają wyrzuty sumienia, iż nie są wobec ciebie szczerzy. Wszystko to moja wina.

Nie mogła mu tego powiedzieć. Zacisnęła powieki i opuściła głowę na piersi. Bała się zaryzykować. Owszem, obiecał jej pomóc, ale przecież nie znał prawdy. Nawet gdyby istotnie jej nie ukarał, mógłby uznać, że powinien odesłać Stephena do Clementa Cavenere'a.

- Olivio. - Wyciągnął rękę i ujął ją palcami pod brodę. - Powiedz mi prawdę.

Nawet w tych okolicznościach jego dotknięcie wywołało w niej dreszcz, który bynajmniej nie był oznaką lęku. Ten mężczyzna, pomyślała Olivia, ma nad jej ciałem zupełnie niezwykłą władzę.

- Olivio, nie zastanawiaj się tak długo nad odpowiedzią, bo przyjdzie ci do głowy sto przyczyn, dla których nie powinnaś powiedzieć prawdy. Nie myśl, tylko po prostu powiedz, co się stało.

Nie myśl. To była taka kusząca propozycja. Ach, gdyby tak mogła przestać zamartwiać się tym wszystkim i oddać całą sprawę w jego ręce. W te silne, pewne ręce, które bez wątpienia mogłyby ją obronić przed zemstą Clementa Cavenere'a.

Nie myśl. Kiedy przestawała myśleć, ogarniały ją emocje, które mogły popchnąć ją do głupstwa. Will budził w niej takie silne uczucia! Wstała i zaczęła spacerować po komnacie. Will chodził za nią krok w krok.

Nie myśl. Gdy przestawała myśleć, wracało do niej wspomnienie pocałunków, jakimi obsypał ją tego wieczora, gdy spotkali się w ogródku obok kuchni. Samo to wspomnienie wystarczyło, by wzbudzić w niej namiętne pragnienie.

Nie myśl. Ogarnęła ją przemożna chęć, by wtulić się w objęcia Willa i poddać jego pieścizotom. W tej właśnie chwili chwycił ją za ramiona i odwrócił twarzą do siebie.

Nie zrobił nic więcej, ale Olivia dostrzegła w jego spojrzeniu cały ogrom pragnienia. Wzięła głęboki oddech i wspięła się na palce, by go pocałować. W pierwszej chwili nie odpowiedział, jakby był zaskoczony lub jakby nie był pewny, czy ona na pewno tego pragnie. Idąc za głosem instynktu, przycisnęła wargi do ust Willa.

W jednej chwili wszystko się zmieniło. Will objął ją ramionami i zawładnął ustami Olivii w namiętym pocałunku. To było tak, jakby podpałiła stóg siana. Namiętność wybuchnęła w nich obojgu płomieniem, który w mgnieniu oka pochłonał wszystkie obawy i lęki dziewczyny.

Odpowiedziała na jego pieśczęty z nie mniejszą żarliwością. Wplotła palce we włosy Willa, przyciągnęła go mocno i jednocześnie wtuliła się całą sobą w jego silne ciało.

Will największym wysiłkiem oderwał usta od warg Olivii. Oparł się czołem o jej czoło. Oboje z trudem chwyтали powietrze.

- Proszę cię, Olivio, wpuść mnie do swego serca. Powiedz mi, co w nim chowasz?

Co chowa w sercu? Miłość? Pożądanie? Pragnienie, któremu nie powinna ufać, bo sprowadzi ją na manowce?

Wiedziała, że Will nigdy by jej nie skrzywdził. Był dobrym człowiekiem. Ale co robi, jeśli nie będzie miał innego wyjścia? Brzemie lęku było tym straszniejsze, że Olivia bała się nie tyle o siebie, ile przede wszystkim o Stephena. Był taki maleńki, taki bezbronny. Na myśl o dziecku natychmiast oprzytomniała.

- Czy coś ci grozi?

- Tak - odpowiedziała szczerze.

- Nikt cię tu nie skrzywdzi. Przysięgam.

- Co za chępliwość - zarzuciła mu, cofnąwszy się o krok.

Oczy Willa natychmiast powiedziały Olivii, że go zraniła.

- Możesz to nazywać, jak chcesz, Olivio. Wiedz jednak, że jestem gotów zginąć, żeby dotrzymać słowa.

- A jeśli popełniłam zbrodnię? Co zrobisz, jeżeli się dowiesz, że kogoś zabiłam?

- Uwierzę, że nie zrobiłaś tego bez powodu.

- A jeśli jestem złodziejką? Co zrobisz, jeśli cię okradłam, panie?

- Wybaczę ci.

Jego szczerłość zapiekła ją jak ogień.

- A jeśli uciekłam od męża? Czy odeślesz mnie do niego, panie, czy zaryzykujesz szubienicę, żeby ratować mnie wbrew prawu?

Stał przed Olivią jak skamieniały, zaciskając zęby i wbijając w nią wzrok.

- Czy taka jest prawda? Uciekłaś od męża?

Olivia wytrzymała jego spojrzenie.

- Nie, ale prawda może być jeszcze gorsza. Pomyśl o tym, panie. Jak wiele gotów jesteś dla mnie uczynić? Czy wciąż jeszcze będziesz chciał mnie znać?

- Tak - odpowiedział żarliwie. - Tak, Olivio.

Spuściła oczy, spoglądając na palce Willa zaciśnięte na swoich ramionach. Przez głowę przemknęła jej dziwna myśl. Pomyślała, że na delikatnym materiale sukni, którą jej ofiarował, pozostaną brzydkie zmarszczki.

Suknia przypomniała jej Malorie. Choć Olivia wiedziała, że przez dziewczynę przemawiała zazdrość, to jednak jej słowa były prawdziwe. Lord Will był mężczyzną, który bardzo lubił kobiety.

Pochłaniała go wyłącznie własna namiętność. Był szczery, ale niestały. Uświadomiła sobie, że nie może wyznać mu prawdy. Nie może powierzyć życia Stephena komuś, kto dziś wprawdzie ją bardzo lubi, ale jutro gotów o wszystkim zapomnieć.

Naraz zrobiło jej się bardzo smutno.

- Chciałabym wyznać ci prawdę, panie, naprawdę chciałabym, ale nie mogę.

Na twarzy Willa pojawił się gniew.

- Proszę cię, panie, pamiętaj o swojej obietnicy. Przysiękłeś, że cokolwiek powiem, nie odwrócisz się ode mnie. Skoro byłeś gotów wybaczyć mi najgorsze uczynki, wybacz mi milczenie. Czy to naprawdę takie ważne, co zrobiłam? Czy nie możesz zaakceptować mnie razem z moją tajemnicą?

- To sprawa zaufania, Olivio. Chcesz, bym ci zaufała, nie odpłacając mi tym samym.

- O nic cię, panie, nie prosiłam. Sam mi to obiecałeś. Czy dotrzymasz słowa?

Will puścił Olivię.

- Oczywiście. Szukałaś w Thalsbury schronienia i dopóki ktoś nie udowodni, że popełniłaś prawdziwą zbrodnię, będziesz tu bezpieczna.

- Dziękuję, panie.

- Ale w zamian, Olivio - podjął Will tonem wyzwania - koniec z udawaniem. Dziś wieczorem będziesz siedziała przy stole obok mnie tak jak przystoi ze względu na twoją pozycję. Koniec ze służbą i koniec z przebierankami. I na miłość Boga jedyngo, nie życzę sobie więcej żadnych kłamstw.

- Skoro chcesz, panie, żebym mówiła prawdę, powiem. Nie mogę się pokazywać wszystkim naokoło. Nie mogę zająć podczas wieczery miejsca, które chcesz mi przyznać. Pozwól mi spędzić ten wieczór gdzie indziej.

Chłopięca twarz Willa stała się surowa, jak wykuta z kamienia.

- Nie, Olivio. Nie. Nawet jeśli nie darzysz mnie dostatecznym zaufaniem, by samej wyznać prawdę, nie obrażaj mnie, odmawiając prawdy moim słowom. Cokolwiek się stanie, będziesz tu bezpieczna. A dziś wieczorem będziemy wybierali Króla Biesiady i chcę, byś zasiadła u mego boku. Czy rozumiałaś mnie, moja pani?

Jeszcze przez chwilę chciała się z nim spierać, ale mina Willa zdradzała aż nadto jasno, że jego cierpliwość jest na wyczerpaniu.

- Czy rozumiałaś mnie, Olivio? - spytał, jakby czytał w jej myślach. - Zgodziłem się już na wiele, ale wszystko ma swoje granice. Dość mam twoich kłamstw. Od tej pory będziesz mówić prawdę albo będziesz milczeć i robić to, czego od ciebie zażądam. Rozumiesz?

Zaczerpnęła tchu.

- Tak, panie, rozumiem. I dziękuję.

Will nie wydawał się szczególnie poruszony jej wdzięcznością.

- Idź, przygotuj się do wieczery - powiedział oschle.

Odwrócił się do Olivii plecami i podszedł do okna. Bez słowa wyszła z komnaty. Palila ją twarz. Dopiero kiedy była w połowie drogi do swojej izdebki, uświadomiła sobie, że uczuciem, które ją dręczy, jest wstyd.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Nikt nie zdawał się szczególnie zdziwiony faktem, że służąca zajęła miejsce u boku lorda Thalsbury. Przy stołach ustawionych w wielkiej sali panowała wesoła atmosfera, podsycana przez krążące

wokół dzbany z piwem i winem. Wśród pogodnych, roześmianych ludzi Olivia szybko zapomniała o troskach.

Królem Biesiady został stajenny Perrin. Ten silny, żyłasty mężczyzna, tryskający humorem i pomysłami, szybko wciągnął do zabawy wszystkich obecnych. Bogactwo jego repertuaru i pomysłowość, jaką wykazywał, wzbudziła podejrzenia Olivii.

Nachyliła się do Willa.

-Czy to było umówione, że on zostanie Królem Biesiady?

-Nawet gdyby tak było, to co za różnica? Najważniejsze, że wszyscy się dobrze bawią.

Przez chwilę zastanawiała się nad jego odpowiedzią.

-W każdym razie Perrin świetnie sobie radzi.

-Miał dwa tygodnie, żeby przygotować się do tego występu.

Olivia roześmiała się, zbita z tropu nonszalancją, z jaką Will przyznał się do niewinnego oszustwa.

Zanim jeszcze wróciła do swej izdebki, pożałowała, że po prostu nie powiedziała mu całej prawdy. Jaką ulgą byłoby podzielić się z nim brzemieniem, które dźwigała samotnie. Wiedziała, że nie znajdzie nikogo, kto bardziej od Willa zasługiwałby na zaufanie.

Tak, powinna mu o wszystkim opowiedzieć. Zwłaszcza że wkrótce może być na to za późno. Ludzie Clementa z pewnością będą jej szukać. Tylko cud mógłby sprawić, że ominą Thalsbury. A kiedy się zjawią, przedstawią całą sprawę w najmniej korzystnym dla niej świetle. Wtedy będzie za późno. Z ciężkim sercem postanowiła, że

wszystko wyzna Willowi i będzie błagać go o wybaczenie. Nie zdecydowała tylko, kiedy to zrobi.

Na razie jeszcze miała czas. Liczyła na to, że ludzie Clementa nie dotrą do Thalsbury wcześniej niż na wiosnę. Do tej pory zdąży Willowi wszystko wyjaśnić.

Usłyszała swoje imię. Wyrwana z zamyślenia, uniosła głowę i zobaczyła idącego prosto do niej Króla Biesiady.

- Dla Olivii - oznajmił Perrin. - Jakie masz życzenie, pani? - spytał z niskim ukłonem.

Na szczęście wiedziała, jak należy się zachować. Odsuwając troski na bok, wstała z miejsca, trochę zmieszana, ale dumna z wyróżnienia. Zerknęła na Willa. Siedział obok niej ze złożonymi na piersiach rękami i uśmiechał się jak kot, który bawi się z myszą. Nie miała wątpliwości, że jest w zмовie z Perrinem.

Rozglądając się po twarzach spoglądających na nią ludzi, potarła w zamyśleniu dłoń.

- Mam spłacić dług komuś, kto dniem i nocą nie daje mi spokoju. Chcę, żeby kucharz Fodor zaśpiewał - powiedziała i dodała złośliwie: - Pieśń miłosną.

Przy powszechnym aplauzie tęgi mężczyzna wspiął się na skrzynię i odśpiewał grubym głosem sprośną piosenkę. Gdy skończył, w sali buchnął gromki śmiech.

- Dobra robota! Dobra robota! - pochwalił kucharza Król Biesiady.

Olivia usiadła. Will położył ramię na oparciu jej krzesła i nachylił się do ucha dziewczyny.

- Doskonale wybrałaś.

Odpowiedziała mu uśmiechem.

-Mówiłam ci, że mój ojciec umiał się bawić w święta. I nie próbuj mnie czarować komplementami. Wiem, że po prostu jesteś mi wdzięczny za to, że nie kazałam ci wejść na stół i tańczyć.

-To raczej ty możesz mówić o szczęściu - roześmiał się Will. - Nie widziałaś, jak tańczę.

- Będę o tym pamiętała przy następnej okazji.

Oczy Willa spochmurniały. Popatrzył na jej usta.

-O ja nieszczęsny, że też nie pomyślałem o tym, żeby zastrzec sobie u Perrina jedno maleńkie życzenie. Co prawda, mamy jeszcze jemiolę. Chwała Bogu, jest jej dość, bym mógł mieć nadzieję, że uda mi się zdobyć całusa, kiedy będziesz przechodzić pod którąś gałązką.

-Dobrze, że mnie uprzedziłeś, będę o tym pamiętać.

-Czy będziesz unikać jemioly, czy też jej szukać?

-Zbyt wiele chciałbyś wiedzieć, panie.

-Nie dziw się mojej ciekawości, Olivio. Jesteś taka tajemnicza. Nie wiem nawet, skąd przybywasz.

Poruszyła się niespokojnie, ale zaraz przypomniała sobie o swoim postanowieniu. Jeśli nie powie o wszystkim Willowi, to gdzie ma szukać ratunku?

-Przyjechałam z południowego wybrzeża.

-Czy do twego ojca należało całe wybrzeże? Musiał być potężnym magnatem.

Uśmiechnęła się i pokręciła przecząco głową.

-Dobrze, panie. Jeśli obiecasz dotrzymać sekretu...

-Przyrzekam ci to! - Will położył dłoń na piersi.

-Jestem Olivia z Hycliftu - przyznała z ciężkim sercem. - Obawiam się, że niedługo usłyszysz o mnie więcej, gdy dotrą tu ludzie, którzy mnie szukają.

Zaskoczony zamrugął oczami.

-Czy to znaczy, że postanowiłaś mi jednak zaufać, Olivio?

-Przysięgam - odpowiedziała z uczuciem - że nigdy nie wątpiłam w twoją uczciwość, panie.

Nakrył jej dłoń własną. Miał zaskakująco ciepłe ręce.

- Twoja decyzja, Olivio, może mi się nie podobać i mogę się z nią nie zgadzać, ale sądzę, że potrafię zrozumieć, dlaczego uważasz ją za właściwą. Nie będę cię dręczył swoją ciekawością. Mam nadzieję, że przyjdzie chwila, gdy sama zrozumiesz, że możesz mi wszystko powiedzieć.

Obróciła dłoń wierzchem do góry i splotła palce z palcami Willa.

-Dziękuję za zrozumienie, panie.

W odpowiedzi szorstko się zaśmiał.

-Nie jestem taki wielkoduszny, jak sądzisz, kochanie. To nie wyrozumiałość. Po prostu nie mam innego wyjścia, niż czekać cierpliwie, aż sama się zdecydujesz.

Ciepło jego rąk i pieszczotliwe określenie, z jakim się do niej zwrócił, sprawiły, że z radości zakręciło jej się w głowie. Na szczęście Will zaraz odwrócił się od niej, by wziąć udział w powszechnej zabawie. Jego dobry humor był trochę wymuszony.

Gdyby tylko miała pewność, że nie łudzi jej spragnione pociechy serce, o ileż łatwiej byłoby wszystko wyznać!

Wciąż jeszcze czuła na dłoni ciepło jego ręki. W głowie miała plątaninę myśli i uczuć, których nie potrafiła zrozumieć, ale nie mogłaby powiedzieć, że bieg wydarzeń przykro ją zaskoczył.

Wręcz przeciwnie.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Gdy Olivia wymknęła się po północy na dziedziniec zamku, panującą wokół ciszę zakłócało jedynie dobiegające z bramy zamkowej chrapanie drzemiących strażników. Olivia ruszyła znajomą drogą do maleńkiego domku, gdzie czekali na nią John i Martha.

Dobry humor Olivii w dużej mierze brał się z serdeczności, jaką okazywał jej Will. Wiedziała, że nie powinna poddawać się jego urokowi, cieszył się przecież opinią wspaniałego, ale niewiernego kochanka. Bała się więc, że wkrótce i ona stanie się ofiarą jego wdzięku, humoru, chłopięcego uroku i czarującego zuchwalstwa.

Zastukała do drzwi. Otworzył jej John.

- Wiem, że już jest późno - powiedziała Olivia - ale chciałabym go zobaczyć.

Ostrożnie, by nie obudzić śpiących kobiet, podeszła na palcach do prostej kołyski stojącej obok posłania Gean i uklękła przy śpiącym maleństwie. Stephen leżał na brzuszku z podwiniętymi nogami i śmiesznie wypiętą pupą. Maleńka buzia była zarumieniona od snu. Rozchylone wargi wyglądały jak pączki róż.

Musiała na niego popatrzeć, by upewnić się w swoim postanowieniu. Był taki kochany i taki piękny.

- Tęsknię za tobą - powiedziała, dotykając opuszkami palców mięciutkiej skóry.

John ukląkł i objął Olivię ramieniem, by dodać jej otuchy. Potrzebowała tego, potrzebowała silnego mężczyzny, który mógłby jej pomóc. Nie miała co zwlekać. Postanowiła pójść rano do Willa i wszystko mu opowiedzieć. Tylko on mógł ich uratować.

Powziąwszy to postanowienie, spojrzała raz jeszcze na Stephena. Już miała wstać, gdy drzwi do chaty skrzypnęły. Oboje z Johnem odwrócili jak na komendę głowy. W drzwiach stał Will.

W pierwszej chwili ogarnęła go wściekłość - ślepa, zajadła wściekłość. Wreszcie poznał sekret Olivii!

Obok klęczał jakiś mężczyzna - na którego tylko rzucił okiem - i obejmował ją ramieniem. Oto znów stał z boku i patrzył na szczęśliwą rodzinę. Stało się to, czego najbardziej się obawiał.

Do izby przenikał chłód. Przeciąg zatrzasnął drzwi.

Olivia z trudem podniosła się na nogi.

- Przepraszam - powiedziała cicho.

Na widok jej bolesnej miny Willa ogarnęła jeszcze większa złość. Trzaśnięcie drzwi obudziło śpiących. Na posłaniach poruszyły się jeszcze jakieś postaci.

- Co się dzieje? - wymamrotała chuda dziewczyna, która spała skulona na posłaniu obok kołyski.

Nikt nie odpowiedział na jej pytanie. Will i Olivia patrzyli na siebie bez słowa w pełnym napięcia milczeniu. Mężczyzna wstał.

- Witam w naszym skromnym domu, mój lordzie.

Naszym? Will nie miał pojęcia, jak ma to rozumieć. Z drugiego posłania podniosła się jakaś kobieta. Przysunęła się do mężczyzny, który objął ją opiekuńczo ramieniem.

- Czy jest coś, co możemy dla ciebie zrobić, panie?

Will popatrzył na nią bez słowa, a potem jego spojrzenie wróciło do Olivii. Była jak skamieniała. Nie drgnęła nawet, gdy do niej podszedł. Stał tuż przed nią. Odchyliła głowę, by spojrzeć mu w oczy, ale nie cofnęła się ani o krok.

Spojrzał na dziecko.

- Czy to twoje dziecko? - spytał zdławionym głosem.

Zanim odpowiedziała, z posłania zerwała się chuda dziewczyna z rozczochranymi włosami.

- Nie, panie. To moje dziecko - wymamrotała, dzwoniąc ze strachu, lub może z zimna, zębami.

Jeśli myślą, że go w ten sposób nabiorą, to są kompletnymi idiotami. Wystarczyło rzucić okiem na ich wystraszone spojrzenia, by wiedzieć, że kłamią.

Nie zrażona marną jakością swego przedstawienia, dziewczyna nadal usiłowała coś zmyślać.

- Ja uciekłam od męża. Był dla nas niedobry. Pani Olivia nam pomogła. Ukryła nas.

Will spojrzał zimno na miłą buzię dziewczyny.

- Doprawdy?

- Przestań, Gean - odezwała się Olivia.

Will przeniósł spojrzenie z powrotem na Olivię.

- Co za szlachetność - skomentował zjadliwie. - Porzucić dom i rodzinę, żeby ratować służącą z dzieckiem. Niezwykłe... - uśmiechnął się zimno - i najzupełniej niewiarygodne.

Olivia zamknęła oczy i pokręciła gwałtownie głową.

- Nie złość się na Gean, panie. Ona tylko chciała mi pomóc.

- Widzę, że każda pomoc jest lepsza od mojej.

- Niczego nie rozumiesz, panie.

- Właśnie jest okazja, bym zrozumiał.

- Wiem, że mi nie uwierzysz, ale przyszłam tu właśnie po to, by się zastanowić, i przemyślawszy całą sprawę, postanowiłam ci wszystko jutro opowiedzieć.

- Co za niezwykła przemiana - zauważył ironicznie. - I jak bardzo na czasie.

- Sam mi poradziłeś, bym poszła za głosem serca. Musiałam przyjść do Stephena, inaczej nie umiałabym podjąć decyzji.

- Stephen? - Will popatrzył na stojącego obok mężczyznę.

-Nie, panie, jestem John, twój kowal - mężczyzna wydawał się zaskoczony nieporozumieniem. - A to moja żona, Martha. Nie pamiętasz nas, panie?

Will odetchnął z ulgą. Oczywiście, teraz poznawał oboje. W pierwszej chwili był tak oszołomiony i wściekły, że nie zwracał uwagi na nic i na nikogo poza Olivią. A więc stojący przed nim mężczyzna nie był mężem czy też kochankiem Olivii. To już było coś, ale nadal niewiele z tego wszystkiego rozumiał.

-To dziecko ma na imię Stephen - wyjaśniła Olivia.

-Twój syn?

-Nie, panie. To nie jest moje dziecko. To znaczy - poprawiła się - nie ja je urodziłam. To mój siostrzeniec.

Ucisk w piersi Willa nieco zelżał, ale gniew jeszcze całkiem nie przeszedł.

-Powiedz mi zatem, moja pani Olivio, czemu go tutaj ukrywasz? Dlaczego nie chciałaś mi wszystkiego powiedzieć? Dlaczego, do diabła! - uniósł się Will - nie mówisz prawdy, tylko się przebierasz, chowasz, kręcisz i kłamiesz, jakbyś popełniła jakąś zbrodnię?

Nim zdążyła odpowiedzieć, z kołyski dobiegł płacz. Stephen się obudził. Olivia chciała wziąć malca na ręce, ale Will zastawił jej drogę.

-Nie, moja pani. Najpierw chcę poznać prawdę.

-Proszę, panie, pozwól mi się nim zająć.

-Za chwileczkę. Najpierw powiesz mi prawdę - powtórzył.

Dziecko zaczęło głośniejsz płakać. Nikt nie odważył się ruszyć z miejsca.

-Ukradłam go - powiedziała szybko Olivia. - Moja siostra i jej mąż umarli. Opiekę nad Stephenem powierzono wujowi mego szwagra. Ale on jest ostatnim człowiekiem, któremu Clare i Kenneth oddaliby synka. On... on jest straszny. Porwałam Stephena i uciekłam.

-Dlaczego uciekłaś do Thalsbury?

Dziecko płakało coraz głośniejsz. Olivia złożyła błagalnie ręce.

- Trafiliśmy tu przypadkiem, panie. Przywiózł nas wędrowny handlarz. Kiedy spotkałam Betheldę i dowiedziałam się, że mogę znaleźć na zamku zajęcie, postanowiłam zostać. Nie miałam sił tak ciągle wędrować.

Jej nieszczęśliwa mina sprawiła, że w Willu obudził się instynkt opiekuńczy. Dziecko krzyczało coraz głośniejsz. Niech to diabli, w takich warunkach nie potrafił zebrać myśli. Nie miał pojęcia, czy wierzyć Olivii, czy potraktować jej słowa jako kolejne łgarstwo. Tak wiele już słyssał tych jej kłamstw.

Krzyk dziecka stawał się nie do zniesienia. Will odwrócił się i wyjął malca z kołyski. Uniósł Stephena i oparł sobie na ramieniu. Chłopiec natychmiast ucichł, zadowolony, że wreszcie ktoś się nim zajął. Lord poczuł ciepły oddech. Jego policzka dotknęła maleńka rączka.

Odwrócił się z powrotem do Olivii.

- Czy to prawda, że jesteś z Hycliffu? To co najmniej dwieście mil stąd. Naprawdę przejechałaś taki kawał drogi?

Nie odpowiedziała. Stała blada, wpatrzona w malca.

-Odpowiedz mi wreszcie, do diabła! - zniecierpliwił się Will. - Dość mam tych kłamstw. Czy może tak przywykłaś do krętactwa, że już nawet nie potrafisz mówić prawdy?

-Nie! Wszystko powiem, panie! - Nie mógł pojąć, co ją tak przeraziło. - Wszystko powiem, ale błagam, nie rób Stephenowi krzywdy.

Pomyślała, że gotów jest skrzywdzić to maleństwo!

Prawda wyglądała tak, że Will w ogóle się nie zastanawiał, co robi. Mały płakał, więc po prostu należało go wziąć na ręce. To było takie oczywiste.

W przeciwieństwie do większości rycerzy, Will nie czuł się niezręcznie w obecności dzieci. Wychowywał się w kuchni, wśród kobiet i potomstwa. Nieraz opiekował się szkrabami mniejszymi od siebie i nie widział w tym niczego dziwnego. Nawet gdy został panem Thalsbury, nic się nie zmieniło. Dzieci były zabawne, lubił z nimi rozmawiać. Gdy dokądś jechał, często brał maluchy na siodło.

Olivia nie miała o tym pojęcia. Bała się, że może zrobić jej Stephenowi krzywdę. Jak mogło jej to przyjść do głowy?

Will zerknął na chłopca, który już zdążył usnąć. Wyglądał słodko jak cherubinek.

-Śliczny malec - powiedział do Olivii i oddał jej dziecko.

Gdy tylko Stephen znalazł się w jej ramionach, twarz Olivii zupełnie się zmieniła. Najwyraźniej uświadomiła sobie, co zrobiła. Ta

sama twarz, która zdradzała zawsze jej kłamstwa, odzwierciedlając jej najskrytsze myśli i uczucia, teraz wyrażała skruchę i wstyd.

- Och, Will! Nie chciałam cię dotknąć.

- Wiem, Olivio - uśmiechnął się do niej z goryczą. - To nie pierwszy raz, kiedy źle mnie oceniasz.

Myślał, że ją zawstydzi. Ku jego zaskoczeniu, zareagowała oburzeniem.

- Doprawdy? Czy jesteś, panie, aż tak nieskazitelny, że nie można cię zganić ani słowem? - Popatrzyła na niego wojowniczo.

Mały Stephen znów zaczął kwilić.

- Daj mi go, pani - wtrąciła Gean. - Ja się nim zajmę.

- Znakomicie. - Will ujął Olivię pod rękę. - A my przeniesiemy się z naszą kłótnią gdzie indziej.

Pociągnął ją za sobą do drzwi. Po drodze skinął głową Johnowi i jego żonie. Skłonili się tylko. Najwyraźniej nie mogli wydusić z siebie ani słowa.

Poprowadził Olivię przez dziedziniec. Szła obok niego z zaciśniętymi ustami. Minęli wielką salę, ostrożnie przekraczając śpiących na siennikach ludzi. Will uchylił drzwi komnaty, zaklął pod nosem i zamknął drzwi na powrót.

- Wszystko aż pęka w szwach, tyle na święta nazjeżdżało się ludzi.

Olivia milczała. Spojrzał na nią spod oka. Jej mina wskazywała, że gotowa jest do dalszej awantury. On także miał jej wiele do powiedzenia. Poprowadził ją po schodach do swojej sypialni.

-Co robisz, panie? - spytała, kiedy zasunął skobel w drzwiach.

-Uspokój się, dziewczyno. Zrozum wreszcie, że nie mam zamiaru cię zgwałcić. To po prostu jedyne miejsce, w którym możemy spokojnie porozmawiać.

-No oczywiście, jakże cnotliwy lord Thalsbury mógłby złamać nakazy kodeksu honorowego! Skoro tak jest, powiedz mi, panie, ile jest warte twoje słowo? Dziś wieczorem obiecałeś, że nie będziesz tropić moich tajemnic. Dlaczego zatem zakradłeś się za mną do domu Johna i Marthy?

Była po prostu niesamowita.

-Jak śmiesz zarzucać mi kłamstwo?! Przypomnij sobie, ile razy ty sama mnie oszukałaś, Olivio.

-Owszem, kłamałam! Zrobiłabym nawet gorsze rzeczy, żeby ratować Stephena.

-Mogłaś przyjść do mnie! - zawołał pełnym bólu głosem.

Popatrzyła na niego chłodno.

-Od początku zamierzałeś mnie oszukać. Niepotrzebnie w ogóle cokolwiek ci powiedziałam.

Wstrząśnięty uświadomił sobie, że Olivia ma trochę racji. Kiedy zobaczył, że idzie przez dziedziniec, zupełnie zapomniał o obietnicy. Myślał tylko o swojej nieszczęśliwej miłości do Alayny. Gdy przyszło mu do głowy, że Olivia mogłaby mieć kochanka, rzucił wszystko i pobiegł za nią. Musiał poznać prawdę!

-Być może za wiele ode mnie wymagasz, Olivio. Jestem tylko człowiekiem. Pewnie nawet ja sam nie miałem prawa aż tyle po sobie

oczekiwać. Moja dusza pragnie więcej, niż może dokonać moja ludzka natura.

Wiedział, że spodziewała się po nim innej odpowiedzi, ale nie zamierzał się z nią kłócić. Jego słowa ostudziły jej gniew.

Naraz Will poczuł się zmęczony.

- Idź spać, Olivio. Jest już późno, dokończymy tę kłótnię jutro. Może noc podsunie nam jakieś szczęśliwe wyjście.

Ku jego zaskoczeniu, tym razem Olivia spokojnie się z nim zgodziła.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Niemal cały następny dzień spędziła w swojej izdebce, czekając z lękiem na chwilę, gdy otworzą się z hukiem drzwi i do wnętrza wpadnie Will. Bała się, że znów będzie na nią krzyczał, domagając się wyjaśnień i żądając, żeby przestała się zachowywać jak dziecko.

Nie miała odwagi stanąć z nim twarzą w twarz. Sprawił jej wspaniałą suknię, tak znakomicie dobraną do jej figury. Gotów był jej bronić, a ona odpłaciła mu niewdzięcznością. Will zasługiwał na wiele, wiele więcej.

Kolejna przegrana. Tyle razy podejmowała ostatnio walkę i tyle razy ponosiła klęskę. Była już znużona tymi nieustannymi porażkami. Najpierw straciła Clare i Kennetha. Potem odmówiono jej prawa do opieki nad Stephenem. Rzuciła wyzwanie Clementowi, wiedząc, że ten okrutny chciwiec domaga się dziecka tylko ze względu na korzyści, jakie może z tego wynieść.

Co gorsza, bała się o życie chłopczyka, ale Clement walczył u boku króla Ryszarda w Ziemi Świętej i pod nieobecność władcy nikt nie chciał wziąć jej strony. Nie mając wyboru, porwała dziecko i uciekła z Hycliffu. Teraz była wyjęta spod prawa. Jeśli ją schwytają ludzie Clementa, zapłaci za swój uczynek głową.

Kiedy ją schwytają.

Ogarnął ją lęk. Czyhało na nią tak wiele niebezpieczeństw. Rozpaczliwie potrzebowała schronienia i pomocy. Pragnęła schować się do mysiej dziury. I pragnęła Willa. Był dla niej taki dobry. Jeśli opowiedziałaby mu o wszystkim, być może by ją zrozumiał. Obiecał jej pomoc. Czy starczy jej teraz odwagi, by go o nią ponownie poprosić?

Dopiero późnym południem zdobyła się na to, by do niego pójść. Po drodze powtarzała sobie obmyślane przez cały dzień przemówienie. Kiedy weszła do komnaty Willa, na jej widok bez słowa skinął głową. Stał ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, potężny i zimny jak góra lodowa.

Zbliżyła się do niego powoli, jakby szła na ścięcie. Gdy przed nim stanęła, miała w głowie kompletną pustkę.

Will milczał.

Nie odważyła się spojrzeć mu w oczy. Kiedy wreszcie się odezwała, w głuchej ciszy jej głos zabrzmiał jak pisk wystraszonej myszki.

- Przyszłam, by prosić o wybaczenie, panie. Wiem, że byłam wobec ciebie niesprawiedliwa. Miałeś rację, oceniając mnie surowo. Miałeś rację w tak wielu sprawach.

Urwała, spodziewając się, że Will coś odpowie, ale on milczał jak zakłęty.

- Błagam cię, panie, zrozum mnie. Tak trudno było mi dokonać wyboru. Ostatnie miesiące były dla mnie... - Rozpacz ścisnęła ją za gardło. - Odkąd moja siostra i jej mąż umarli na tyfus... Stephen jest jeszcze taki maleńki...

Zaczęła szlochać. Ku swemu przerażeniu, nic na to nie mogła poradzić. To nie była łza spływająca po policzku ani ciche chlipanie. Olivia nie mogła zapanować nad sobą, zawładnęły nią ból i rozpacz. Płakała jak skrzywdzone, przerażone dziecko. Ukryła twarz w dłoniach.

- Nie - usłyszała cichy szept Willa. - Nie płacz, ukochana. To już minęło.

Poczuła lekkie dotknięcie. Will pogładził ją delikatnie po głowie.

Przytulił ją tak, jak tuli się tylko dzieci. Nie rozumiała, co do niej mówił, ale jego łagodny szept spływał na nią jak balsam, kojąc ból. Gdy trzymał ją w ramionach, czuła się bezpieczna. W tej chwili nie mogło jej dosięgnąć żadne zło tego świata.

Czuła się, jakby znowu miała dom. Jakby znalazła swoje miejsce na ziemi.

Kochała go.

Uniosła głowę i popatrzyła na niego, zaskoczona dokonany­m właśnie odkryciem. Uśmiechnął się do niej i delikatnie otarł opuszkami kciuków łzy płynące po jej policzkach.

- Jesteś bezpieczna, kochana. Nie płacz.

Pociągnęła nosem i spróbowała się uśmiechnąć.

- Jesteś taka słodka - dodał.

Ruchy Willa stały się wolniejsze, pieszczotliwe. Potem nachylił głowę i pocałował ją.

To było tylko pełne pocieszenia muśnięcie wargami, lecz Olivia bez wahania zarzuciła Willowi ramiona na szyję i odwzajemniła pocałunek. Odpowiedział z całą mocą tłumionej namiętności. Jego język wdarł się w jej usta, wywołując falę cudownych dreszczy.

- Czekałem na ciebie przez całe życie - wyszeptał.

Kiedy przejechał językiem po jej obojczyku, odchyliła z westchnieniem głowę. Zagarnął jej usta w żarliwym pocałunku, jakby chciał ją pochłonąć. Olivia nie bronila się, odwzajemniła pocałunek, przyciągając Willa do siebie, pragnąc zatracić się bez reszty.

W pewnym momencie Will uniosł głowę.

- Pragnę cię, Olivio. Wiesz o tym.

- Kochaj się ze mną - powiedziała nieoczekiwanie.

Will westchnął przeciągle. Niecierpliwe dłonie zsunęły suknię. Na ramiona Olivii spadł ognisty deszcz pocałunków. Will opadł na krzesło i posadził sobie Olivię na kolanach.

Ta krótka chwila wystarczyła, by na nowo zapragnęła jego pocałunków. Czowała, jak budzi się w niej jakieś zupełnie nie znane jej

dotąd pragnienie. Nie rozumiała tego, ale wiedziała, że tylko Will może je ugasić.

Delikatnie pieścił jej piersi przez materiał sukni. Palce głaskały ją i drażniły cudownie lekkimi pociągnięciami, dopóki nie była tak podniecona, że sama zsunęła suknię, odsłaniając piersi, aby ofiarować je rękom Willa. Kiedy opuścił głowę i schwycił sutek wargami, jęknęła głośno. Wsunęła mu palce we włosy i przyciągnęła go bliżej. Chciała więcej.

Will dał jej, czego chciała. Pieścił ją kunsztownymi pocałunkami, wywołując fale cudownych dreszczy. Kiedy poczuła, że już dłużej tego nie zniesie, zaczął ssać najpierw jeden, a potem drugi sutek. Miała uczucie, jakby gdzieś w głębi jej ciała zwijał i rozwijał swe sploty wąż, odbierając jej siły i wywołując nieznane, cudowne emocje.

Will opuścił rękę i wsunął ją pod sukienkę Olivii. Dotknięcie jego palców było lekkie jak piórko. Olivia wstrzymała oddech w słodkim oczekiwaniu. I wtedy dłoń Willa się zatrzymała.

W pierwszej chwili dziewczyna pomyślała, że znów umyślnie się z nią drażni, by spotęgować jej podniecenie. Wtulił czoło w jej włosy. Jego niespokojny oddech dudnił jej w uszach.

I wtedy zaczął się śmiać.

Najpierw cicho, potem głośniejszym, śmiał się mocnym, dźwięcznym śmiechem. Spojrzała na niego. Miał chłodne oczy.

Przebiegł ją zimny dreszcz.

-Ależ ze mnie idiota - powiedział. - Jakież ja jestem głupi, że się niczego nie domyśliłem.

-O co chodzi, Will? Co się stało?

Ujął Olivię za ramiona i bez ceregieli postawił na nogi. Sam także zerwał się z miejsca i nie zwlekając ani chwili, odsunął się od niej.

-No oczywiście - mruknął do siebie, zrobił kilka kroków i zawrócił. - Co za dureń ze mnie. Wielki Boże, gdybym nie pragnął cię tak bardzo, wcześniej bym się domyślił.

-Czego?! - krzyknęła.

Wciągnęła suknię na ramiona. Chciała do niego podejść, ale powstrzymał ją stanowczym gestem.

-Trzymaj się ode mnie z dala, Olivio

-Czy ty się mnie boisz? - spytała zdziwiona.

-Czy się ciebie boję? - warknął. - Bać się? Na Boga, jestem niemal przerażony. Nigdy jeszcze żadna kobieta mnie tak nie opętała, przysięgam!

-Co ja takiego zrobiłam? Nic nie rozumiem.

-Znów ta niewinność. Myślałem, że będziemy ze sobą szczerzy. Przecież mi to obiecałaś, prawda? Postanowiłaś mi zaufać, ale niestety trochę za późno. Odkryłem twój sekret, zanim zdążyłaś mi go wyznać, i teraz już nigdy nie będziemy wiedzieć, kiedy mówisz prawdę.

-O czym ty mówisz?

-Zastanawiam się, Olivio, czy cokolwiek z tego wszystkiego, co mi powiedziałaś, jest prawdą. Nawet twoje pocałunki. Czy są prawdziwe?

Gdy żar podniecenia osłabi, ogarnęło ją lodowate zimno, a chłodne spojrzenie Willa nie przynosiło jej żadnej ulgi.

- Wyjaśnij mi to - zażądała władcym tonem, który natychmiast zdradzał jej wielkopańskie maniery.

- Ofiara, jaką chciałaś złożyć, nie jest konieczna - powiedział śmiertelnie poważnym głosem. - Dotrzymam swej obietnicy. Nie musisz mnie uwodzić. I bez tego będziesz bezpieczna, Olivio. Tak nieudolnie kłamiesz!

- Czy myślisz, że chciałam cię uwieść, żeby...

- Zastanówmy się wspólnie, kochanie. Proponuję, żebyś została moją kochanką, a ty odmawiasz. Całujemy się do utraty zmysłów, ale twoja nieskazitelna cnota znów bierze górę nad namiętnością. Aż w końcu jakimś cudem znajdujesz drogę do mego łóżka, a nawet nie do łóżka, tylko do krzesła, akurat tego samego dnia, gdy poznaję twoją tajemnicę.

- Zbieg okoliczności? A może po prostu zdecydowałaś się posłużyć swoimi wdziękami, by zapewnić sobie moją opiekę? Niestety, tak się fatalnie dla nas obojga składa, że wolę prawdziwą namiętność, która przynosi obojgu kochankom dużo więcej satysfakcji.

- Naprawdę tak źle o mnie myślisz?

- Czy cię to martwi? - spytał. - Nie powinnaś się przejmować opinią mężczyzny, który, jak uważasz, gotów jest skrzywdzić dziecko.

Spuściła głowę.

-Zrobiłam to bez wyrachowania, Will. Gdybyś tylko wiedział, co przeszłam. Clement nieraz mówił, że... - Nie potrafiła nawet powtórzyć tych strasznych grózb. - To dlatego tak się teraz boję. Czy nie potrafisz tego zrozumieć?

-Gdybym wiedział o tym wcześniej, wszystko potoczyłoby się inaczej. Już nawet nie chcę cię o nic pytać, bo boję się, że znów mnie okłamiesz.

-Nie kłamię!

-Doprawdy? - spytał drwiąco.

Pokręciła głową, unosząc ręce do skroni.

-Kłamałam, ale nie dla zabawy. Czy jesteś aż tak zadufany w sobie, by sądzić, że szlachetność lorda Williama z Thalsbury znana jest w całym kraju? Nie wiedziałam, czy mogę ci zaufać, czy mogę ci powierzyć to, co mam najcenniejszego na świecie. Nie, nie chodzi mi o moje życie. Myślę o Stephenie. Czy ci się zdaje, że wokół twojej głowy unosi się aureola?

-Ten sarkazm ci nie przystoi.

-Zwodziłam cię, bo nie miałam innego wyjścia. Ale nie wtedy, kiedy cię całowałam - dokończyła łagodniej.

Zwykle miłą twarz Wilia wykrzywił szyderczy uśmiech.

-Uznałaś, że to dobry interes? Oddać mi ciało w zamian za bezpieczeństwo?

Olivia otworzyła szeroko oczy.

-Musiałabym być ladacznicą, żeby tak postąpić.

W komnacie zapadło ciężkie milczenie.

- Czy chcesz powiedzieć, że jestem ladacznicą?

- Olivio...

- Czy to miałeś na myśli?

Głęboko westchnął i przesunął dłońmi po rozgorączkowanej twarzy.

- Nie tak się wyraziłem.

- Powiedziałeś, że chciałam cię uwieść, aby zdobyć twoje względy. To jest to samo.

- Na miłość boską, Olivio, tak wszystko wikłasz, że już zupełnie nie mogę się w tym rozeznąć. Czy nie zdajesz sobie sprawy, że odkąd cię poznałem, nie myślę o niczym innym, jak tylko o tym, by cię porwać w ramiona i osłonić przed wszelkimi niebezpieczeństwami? Tak, to prawda. Pragnę cię. Ale nigdy nie uwiodłem kobiety bez jej przyzwolenia i teraz też tego nie zrobię.

Na to nie znalazła odpowiedzi. Patrzyła na jego zaciętą minę, która tak bardzo odmieniła jego zazwyczaj pogodną twarz. Zastanawiała się, czy to możliwe, by przez swoje postępowanie straciła go na zawsze.

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Wejść - powiedział Will.

Do komnaty wszedł Elbert.

- Panie, strażnicy zobaczyli jakichś rycerzy nadjeżdżających z południa. Mają czerwono-niebieski proporzec.

- Ilu ich jest? - spytał Will, marszcząc brwi.

- Strażnik powiedział, że siedmiu lub ośmiu.

-Czy ktoś zna ich barwy?

-Nie, panie, ale kapitan jeszcze przepytuje ludzi. Może znajdzie się ktoś, kto je rozpozna.

-Ja wiem, kim oni są - powiedziała Olivia głuchym głosem.

Will i Elbert odwrócili się do niej. Była blada jak płótno.

-Na drzewcu proporca jest znak herbowy, prawda?

Elbert kiwnął głową.

-Tak, ale jeszcze są tak daleko, że nie widać, jaki to znak.

-Kiedy przyjadą bliżej, zobaczycie na tarczy herbowej dzika. Stosowny herb dla właściciela proporca. - Opuściła głowę i dodała: - To Clement Cavenere. Przyjechał tu pomnie i po Stepheną.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Olivia wyglądała tak żałośnie, że Will ledwie oparł się pragnieniu, by porwać ją znów w ramiona i zapewnić, że zrobi wszystko, by była bezpieczna. Już raz zrobił z siebie głupca tego dnia. To wystarczy.

-Kiedy przyjadą, zaprowadź ich do wielkiej sali i podejmij gościnnie, Elbercie. Zadbaj też o ludzi lorda Clementa.

Chłopiec skłonił się i wyszedł.

-Bardzo jestem ciekaw tego człowieka - zwrócił się Will do Olivii.

Patrzyła na niego wielkimi oczami. Najwyraźniej nie rozumiała jego intencji. Już miał jej wszystko wyjaśnić, gdy do komnaty wpadł Elbert.

-Panie, biegnie tu jakaś dziewczyna. Krzyczy, że musi natychmiast widzieć Olivię. Wygląda, jakby oszalała.

-To Gean - wyjaśniła Olivia.

-Powiedz jej, że jej pani jest u mnie.

-Jej pani? Masz, panie, na myśli Olivię?

-Przyprowadź ją tu.

Will spojrzał pytająco na dziewczynę.

-Widać Gean też już wie, że przyjechał Clement - domyśliła się Olivia. - Musi być przerażona. Jeśli nas wydasz, obie zapłacimy gardłem za to, że porwałyśmy Stephena. Gean na pewno chce uciec.

-No cóż, trzeba jej będzie wyjaśnić, że to nie wchodzi w grę - odpowiedział, układając jednocześnie w głowie plan działania. - Musimy podjąć lorda Clementa z należnym szacunkiem. Nie potrzeba nam zatargów, które rzucałyby cień na naszą przyszłość.

Will był tak pogrążony w myślach, że nawet nie zwrócił uwagi na wrażenie, jakie jego dwuznaczne słowa wywarły na Olivii. Patrzyła na niego z przerażeniem w oczach.

Elbert wprowadził Gean.

-Idź po dziecko - polecił jej Will. - Potem czekaj w komnacie obok wielkiej sali. Przyniesiesz Stephena, kiedy wydam rozkaz.

Gean rzuciła mu się do nóg.

-Błagam, panie, nie wydawaj nas!

Usłyszał jakiś hałas za plecami i już miał się odwrócić, gdy Gean chwyciła jego dłoń i obsypała ją pocałunkami.

-Panie, jeśli nie masz litości nad nami, to nie gub chociaż niewinnego maleństwa. Uwierz mi, nie miałyśmy innego wyjścia. Gdybyśmy nie uciekły ze Stephenem, biedaczek pewnie już by nie żył.

-Nie bój się, Gean - uspokoił ją Will. - Obiecuję ci, że wszyscy troje będziecie bezpieczni. Przymierzam. A teraz, dziewczyno, rób, co mówię. Ty i twoja pani musicie...

Odwrócił się i stwierdził, że Olivia zniknęła. Nie dowierzała mu!

- Musicie robić, co powiem - dokończył obojętnym tonem. - Elbercie, idź z Gean po Stephena. Po drodze staraj się ją przekonać, że nie ma się czego bać. Dobry Boże, z tymi kobietami można po prostu zwariować!

- Czy mam odszukać Olivię, panie?

Will ciężko westchnął.

- Nie. Wystarczy, że przyniesiecie dziecko. Ona nie ucieknie bez Stephena.

Olivia dobiegła aż do dolnej bramy, nim uświadomiła sobie, że po raz kolejny zachowała się jak idiotka. Ciężko dysząc, padła na kolana i przycisnęła ręce do żołądka.

Który to już raz, zadała sobie pytanie, odrzuciła wszystko, co Will tak bardzo pragnął jej dać? Przeklinała swoją słabość i strach, które pchnęły ją do ucieczki. Ale kiedy Gean odwróciła uwagę Willa, nie miała czasu do namysłu. Myśl, że Will wyda ich troje Clementowi, śmiertelnie ją przeraziła. Teraz z kolei bała się, że jej ucieczka, kolejny dowód braku zaufania, pogrzyży ją ostatecznie w jego oczach.

Nie powinna była tego robić. Nie powinna była uciekać. Tym bardziej że i tak nie miała dokąd. Lord obiecał jej pomoc i dotrzymałby obietnicy. Musiała mu wreszcie zaufać.

To było takie trudne. Olivia wyrosła w poczuciu, że jest kochana i bezpieczna. Nawet po śmierci rodziców nie zaznała złego losu, bo zaopiekowali się nią Clare i Kenneth. Dopiero gdy ich zabrakło, cały jej świat nagle się zawalił.

Została sama z maleństwem, a wuj jej szwagra nie ukrywał, że dziecko i ona są dla niego wyłącznie przeszkodą na drodze do zdobycia majątku. Od tej pory nie ufała nikomu prócz Gean i nigdzie nie czuła się bezpieczna. Czy można ją było za to winić?

Tyle że Will zasługiwał na zaufanie bardziej niż ktokolwiek, kogo dotąd spotkała. Był uczciwy i honorowy, a ona nie chciała tego uznać. Źle zrobiła. Musiała go bardzo zranić.

Wyczerpana i zrezygnowana, powlokła się przez dziedziniec do domku Johna i Marthy. Tam usłyszała, że Stephen został zabrany do zamku. Ledwo ochłonęła po tej wiadomości, zjawił się Elbert.

- Tu jesteś, Olivio. - Chłopak odgarnął niesforny lok, który opadł mu na oczy. - Przepraszam, lord William polecił mi tytułować cię panią. Lord chce, byś przyszła do zamku.

Kiedy stanęła na progu wielkiej sali, Will zmierzył ją uważnym spojrzeniem. Na Boga, weselszą minę widział już na twarzach ludzi idących na szubienicę. Wstał i wyciągnął do Olivii rękę.

- Chodź, usiądź obok mnie.

Gdy szła za nim do stołu, Clement Cavenere obserwował ją w złowrogim milczeniu. Gość Willa był wysokim, przygarbionym mężczyzną o zapadłej piersi, z wiecznie posępną miną. Ciemne kręgi pod oczami sprawiały, że wyglądał, jakby trawiło go szaleństwo.

Choć ich spotkanie trwało zaledwie chwilę, Will zdążył poczuć do niego odrazę. Clement nawet nie próbował ukryć bezwzględnej chciwości, jaka wyzierała mu z oczu.

Już na wstępie oznajmił Willowi, że zna prawdę. Jego ludzie schwytali wędrownego handlarza, który po krótkim przesłuchaniu - jak to określił z sadystycznym zadowoleniem Cavenere - przyznał się, że dowiózł uciekinierów do Thalsbury.

Olivia podeszła, nie patrząc na gościa, i usiadła obok Willa. Zerknął na nią kątem oka, ale zdążył zauważyć gwałtownie falującą piersi. Zrozumiał, jak bardzo jest przerażona.

By dodać Olivii otuchy, ujął ją za rękę. Jej dłoń drżała. Dopiero wtedy pojął, że dziewczyna nie ma pojęcia, czego się spodziewać. Boże wielki, jak mógł być takim głupcem! Kazał przynieść dziecko, dla którego narażała życie, rozmawiał z jej prześladowcą. W jej oczach wszystko to mogło wyglądać tak, jakby lada chwila zamierzał ją wydać Cavenere'owi.

Nachylił się do niej.

- Nie bój się, Olivio - powiedział jej do ucha.

Spojrzała na niego i z trudem ułożyła drżące wargi w uśmiech.

- Ufam ci, panie - szepnęła słabym głosem. - Wiem, że mnie nie skrzywdzisz. Tak mi przykro, że nie okazałam ci zaufania.

-Co mu tam szepczesz na ucho, dziewczyno? - rozległ się głos Clementa Cavenere'a.

Zanim odpowiedziała, Will odwrócił się do przybysza.

-Olivia podzieliła się ze mną nowiną, panie Cavenere. Dobrą nowiną. - Uśmiechnął się pogodnie. - Mam nadzieję, że i ciebie ucieszy ta wiadomość. Olivia zgodziła się zostać moją żoną.

Dłoń dziewczyny drgnęła. Will wiedział, że zupełnie ją zaskoczył. Miał jednak nadzieję, że nie była to dla niej przykra niespodzianka. Co do Cavenere'a, Will liczył na to, że chciwiec zadowolony się możliwością czerpania zysków z majątku Stephena, póki chłopiec nie dorośnie. Czekало go rozczarowanie. Clement popatrzył na niego z wściekłością.

-To małżeństwo nie potrwa długo - rzekł. - Ta dziewczyna zasłużyła na stryczek i zadbam o to, by poniosła należną karę. A chłopak należy do mnie.

Will zaśmiał się, jakby usłyszał dowcip.

-Zawiodłeś mnie, panie. Spodziewałem się po tobie więcej serdeczności wobec, bądź co bądź, rodziny. No cóż, tak czy siak, jako moja żona Olivia znajdzie się pod moją opieką. Możesz się, panie, odwoływać do sądu, ale wątpię, czy wygrasz sprawę.

-Ty... - Clement zdławił obelgę. - Nie licz na to, że się mnie tak łatwo pozbędziesz. Odbiorę, co do mnie należy, choćbym miał zrównać Thalsbury z ziemią.

Will nie przejął się pogrozkami.

- No cóż, panie, Thalsbury nie jest taką małą posiadłością, jak mniemasz. Jeśli jednak nie robi na tobie wrażenia rozległość moich włości ani wyszkolenie moich ludzi, to może zechcesz raz jeszcze rozważyć swoją decyzję, gdy się dowiesz, że moim seniorem jest lord Lucien de Montregnier z Gastonbury. Ufam, że w razie potrzeby pan Lucien nie omieszka przyjść nam z pomocą.

Na wąskiej, okrutnej twarzy Clementa pojawił się wyraz niepewności.

- De Montregnier?

- Tak, panie. Nie wiedziałeś o tym, że należałem do drużyny pana Luciena, który za wierną służbę nagroził mnie Thalsbury?

- Walczyłeś u boku lorda de Montregnier? Słyszałem, że w jego drużynie było dwóch wielkich rycerzy. Jednym był wiking, a drugim... Ty byłeś tym drugim?

- Tak, panie.

Oczy Clementa zmieniły się w ziejące nienawiścią, wąskie szparki.

- Wyrok królewskiego sądu już zapadł. Oddaj mi chłopaka! - zażądał.

- Żebyś go zabił, nim dorośnie? Dobrze wiem, że chodzi ci tylko o to, by zagarnąć majątek, który należy do niego! - wybuchnęła Olivia.

- Zamknij się, ty mała zmijo! - syknął Clement. - Nie wtrącaj się do męskich spraw.

- Czy męską sprawą jest mordowanie niewinnych dzieci?

- Nikt nie ma zamiaru mordować Stephena, idiotko!

-Nie? To czemu nie pozwoliłeś Gean nawet się do niego zbliżyć, kiedy był chory? Miałeś nadzieję, że umrze z głodu, a ty zagarniesz bez przeszkód jego pieniądze!

-Oszalałaś! - warknął Clement. - Cyrulik powiedział, że chłopak nie powinien obciążać sobie żołądka, póki nie wyzdrowieje.

-A dlaczego kazałeś wygasić ogień w jego komnacie, kiedy się przeziębził? Dobrze wiedziałeś, że ma gorączkę. Chciałeś, żeby umarł, tak by nikt nie mógł ci zarzucić zbrodni.

-To piastunka powinna dbać o to, żeby mu było ciepło - odburknął Clement. - Jeśli wszyscy będę się z nim cackać tak jak ty, nigdy nie wyrośnie na mężczyznę.

-O ile w ogóle przeżyje pod twoją opieką!

-Zamilcz!

Cavenere przyskoczył do Olivii z zaciśniętymi pięściami. Tego było Willowi za wiele. Zerwał się z miejsca, porwał Clementa za kaftan i jednym pchnięciem obalił go na stół. Rozległ się brzęk pucharów i talerzy, na posadzkę posypało się jedzenie. Rozciągnięty plecami na stole Cavenere mógł tylko bezradnie wymachiwać rękami. Potężne dłonie Willa dławiły go za gardło, nie pozwalając miotać przekleństw.

- Teraz posłuchaj mnie dobrze, łajdaku - rzekł Will. - Mogliśmy się rozejść w zgodzie, lecz skoro ośmieliłeś się unieść rękę na kobietę, którą kocham, drogo za to zapłacisz. Zanim nadejdzie nowy rok, Olivia zostanie moją żoną. Jako jej mąż będę bliższym krewnym Stephena od ciebie i ufam, że sąd królewski uzna mnie za jego

opiekuna. A teraz - Will bez wysiłku postawił Clementa z powrotem na nogi - odejdz stąd, nim zażadam satysfakcji za obrazę, jakiej się dopuściłeś!

Cavenere cofnął się o kilka kroków, obrzucając gospodarza wzrokiem pełnym nienawiści i strachu. Will z obrzydzeniem otrzepał ręce.

-Przysięgam, ty nędzny gadzie, że osobiście zadbam o to, żebyś nie tylko zwrócił Hycliff prawowitemu właścicielowi, lecz także, byś zapłacił za wszystkie nikczemności, jakich się dopuściłeś. Nasz król wróci z Ziemi Świętej i wtedy staniesz przed sądem. Odpowiesz za to, że usiłowałaś zgładzić dziecko, któremu winieneś być opiekę.

-To jeszcze nie koniec, Thalsbury - rzucił przez zęby Clement, gdy znalazł się w bezpiecznej odległości.

-Na dziś koniec - uciał krótko Will. - Wynoś się!

-Jeszcze...

-Precz! - warknął groźnie Will.

Pokonany zmierzył Olivię nienawistnym spojrzeniem i wypadł z sali. W chwilę potem z dziedzińca dobiegły wściekłe wrzaski. To Clement wydawał swym ludziom komendy. Rozległ się tętent kopyt i zaraz wszystko ucichło. Clement Cavenere i jego ludzie galopem opuścili Thalsbury.

-Hurra! Niech żyje nasz szlachetny lord Will! - krzyknął ktoś i natychmiast cała sala rozbrzmiała radosnymi okrzykami.

Will zwrócił się do Olivii.

-Czy zgadzasz się, pani?

-Ale na co, mój panie? - Olivia wciąż jeszcze nie wierzyła własnym uszom.

-Poślubić mnie - odpowiedział krótko. - Czy oddasz mi swą rękę, Olivio?

Jej twarz rozjaśnił promienny uśmiech.

- Tak, panie. Zgadzam się, z całego serca się zgadzam.

Will wreszcie poczuł, że wszystko będzie dobrze. Ta świadomość sprawiła, że ogarnęło go cudowne ciepło, promieniujące prosto z serca.

- Skoro się zgadzasz, chodź do mnie i przypieczętuj nasz związek pocałunkiem. Myślę - dodał z szelmowskim uśmiechem, szerokim gestem wskazując zgromadzonych w sali ludzi - że zgromadzeni tu na to właśnie czekają.

Istotnie, zerknąwszy wokół, ujrzała mnóstwo rozradowanych i zaciekawionych oczu.

- Jak zawsze, panie, jestem twoją najpokorniejszą służką - odpowiedziała z wieloznacznym uśmiechem i zarzuciła mu ręce na szyję.

Wiwaty i brawa były tak huczne, że aż zatrzęsły się mury zamku.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Will jeszcze przed Nowym Rokiem, a ściślej mówiąc w ostatni dzień starego roku, poślubił Olivię. Kaplica zamkowa była ustrojona gałęziami sosny, przewiazanymi czerwonymi wstążkami. Wszędzie płonęły świece. Powietrze pachniało żywicą i woskiem. Dzień był

pochmurny i szary, więc blask świec wypełniał kaplicę złotym blaskiem, w którym wszystko wyglądało jak scena ze snu.

Pocziwy kapelan nie mógł się nacieszyć faktem, że jego pan wreszcie się żeni. Will również był uradowany. Olivia promieniała szczęściem. W ceremonii ślubnej uczestniczyło zaledwie kilka osób, bo kaplica była niewielka, lecz w zamku oczekiwali młodożeńców wszyscy mieszkańcy Thalsbury.

Zanim weszli do sali, w której czekali na nich goście, Will zatrzymał się przed ostrołukowymi drzwiami i chwycił Olivię w ramiona.

-Pamiętaj, żebyś nigdy więcej nie próbowała mnie okłamywać. Teraz jestem twoim panem i władcą, a ty masz być mi we wszystkim posłuszna.

-Ale mąż mi się trafił! Ledwo cię poślubiłam, już mnie tyranizujesz!

-Sama chciałaś mojej opieki, więc teraz będziesz musiała ją znosić, choćby nawet była ci nie w smak.

Przekrzywiła głowę i popatrzyła na Willa uważnie, bawiąc się zapinką jego szaty.

- Twoja opieka i twoje względy nigdy mi nie ciążyły, mężu.

Objął ją mocno w talii i przyciągnął do siebie.

- A teraz?

Odpowiedziała mu z uśmiechem, od którego krew zaczęła mu szybciej krążyć w żyłach.

- Skoro nie mogę kłamać, to muszę przyznać, że to najprzyjemniejszy uścisk, jakim mnie dziś obdarzyłeś.

Will zaśmiał się w odpowiedzi i przygarnął ją mocniej. Olivia westchnęła i wywinęła mu się z ręce z rąk. Objął ją w talii i weszli roześmiani do wielkiej sali.

Jeszcze nigdy czas mu się tak nie dłużył. Will gotów był przysiąc, że Bóg ukarał go za stare grzechy, podwajając liczbę godzin, jakie dzieliły go od nocy poślubnej.

W końcu jednak nadeszła ta chwila.

Kobiety odprowadziły Olivię do sypialni. Odchodząc, rzuciła mężowi spojrzenie, od którego serce zabiło mu mocniej. Wielki Boże, wszak jest tylko człowiekiem! Jak długo jeszcze ma znosić te katusze? Wiedział jednak, że jeśli wyjdzie za nią zbyt szybko, wystawi się na pośmiewisko.

Siedział więc dalej, śmiejąc się i gawędząc, dopóki nie uznał, że może odejść, nie narażając się na kpiny. Jak było w zwyczaju, żegnano go sprośnymi dowcipami i żartobliwymi radami. Will wyszedł z sali godnym krokiem, ale gdy tylko znalazł się na schodach, popędził na górę, przeskakując po kilka stopni naraz.

Wszedł do sypialni. Olivia stała przed kominkiem, zapatrzona w ogień. Miała na sobie ciemnoróżową suknię.

Kiedy wszedł, odwróciła się i powitała go uśmiechem. Jego ciało zareagowało z taką prędkością, że aż go to przestraszyło. To była ich noc poślubna, pierwsza miłosna noc w życiu Olivii. Wiedział, że nie powinien się śpieszyć.

Podeszła do niego zdecydowanym krokiem i pocałowała go w usta.

Will objął Olivie w talii i odwzajemnił jej pocałunek. Jego dłonie błędziły po jej ciele. To Bethelda wybrała suknię dla panny młodej i musiał przyznać, że doskonale wywiązała się ze swego zadania. Przesuwając dłoń po delikatnym materiale, zorientował się, że poza suknią jego żona nie ma na sobie niczego.

Odsunęła się na moment i spojrzała mu w oczy. Uśmiechnęła się do niego. Will spostrzegł, że jej wargi lekko drżą.

-Czekałam na ciebie.

-Bałaś się? - spytał.

-Nie. Tak. To głupie. Kiedy cię przy mnie nie ma, zawsze czuję się trochę niespokojna.

Ujął jej twarz w dłonie.

- Myślałem, że to ja budzę w tobie niepokój.

Opuściła powieki i uśmiechnęła się. Uderzyła go zmysłowość ruchu jej warg.

-To prawda - przyznała. - Trochę. Ja jeszcze nigdy tego nie robiłam.

-Wiem, kochanie. Będę o tym pamiętał.

Wtulił nos w jej włosy i wciągnął powietrze. Tak cudownie pachniała. Kiedy w odpowiedzi pocałowała go w szyję, jęknął i uświadomił sobie, że dotrzymanie obietnicy, którą jej przed momentem złożył, może być trudniejsze, niż sądził.

-To mój pierwszy raz. Słyszałam, że ty już to robiłeś.

Roześmiał się i przygryzł leciutko koniuszek jej ucha.

-Zdarzyło się... raz czy dwa.

Kiedy przejechał czubkiem języka po wrażliwym miejscu poniżej ucha, na granicy policzka i szyi, Olivia westchnęła.

-Lepiej nie będę nic więcej mówiła, bo znowu powiem coś głupiego.

-Miłość nie potrzebuje słów, kochanie.

Znów zaczął ją całować. Olivia odwzajemniała jego pocałunki z żarliwością, w której wyrażała się cała namiętność, jaka narastała w niej w ciągu ostatnich dni. Ręce Willa powędrowały w górę, docierając do miękkiej krągłości jej piersi.

- Chodź - szepnął i poprowadził ją bliżej łóżka.

Zaczął zdejmować z siebie ubranie, a ona czyniła nieśmiało wysiłki, aby mu pomóc. Kiedy został tylko w bieliźnie, przestał się dalej rozbierać, bo pomyślał, że lepiej będzie, gdy Olivia najpierw przyzwyczai się do jego ciała. Zaskoczyła go jednak, co zresztą od początku świata kobiety zwykły czynić mężczyznom. Jej palce zaczęły niecierpliwie wędrować po jego ciele. Will dotknął kołnierza jej sukni, delikatnie dając do zrozumienia, że pora się rozebrać.

Ich spojrzenia się skrzyżowały. Olivia cofnęła się o krok, rozpięła suknię i płynnym ruchem zrzuciła ją z siebie. Suknia z szelestem opadła na posadzkę. Może była trochę za chuda, co było skutkiem niedojadania przez kilka ostatnich tygodni. Ale jej biodra były krągłe, a piersi pełne.

- Wielki Boże, ona jest taka niezwykła!

Usłyszał swój głos i uświadomił sobie, że mówił głośno. Olivia uśmiechnęła się.

Z trudem przełknął ślinę, starając się zapanować nad pożądaniem. Powoli. To słowo było dla niego jak modlitwa. Ustami przylgnął do warg Olivii, języki splotły się w długim, leniwym pocałunku.

Położył jej dłonie na swojej płaskiej piersi, a jej palce poruszały się badawczo wśród ciemnych, skręconych włosów.

- Lubię twoje ciało - szepnęła.

Przesuwała dłoń coraz niżej, wzdłuż linii włosów rosnących od jego brzucha do pachwiny.

- Olivio - powiedział.

Było to westchnięcie i prośba zarazem. Przyciągnął ją do siebie, przesuwając ręce po jej krągłościach, przywierając biodrami do jej bioder. Jej oddech stał się jego oddechem, gdy zareagowała na ten kontakt i poczuła jego podniecenie.

- Wpuść mnie do środka.

- Tak - odpowiedziała pośród żarliwych pocałunków.

- Połóż się ze mną - polecił, popychając ją na wyściełane futrami łożo.

Rozłożyła się na plecach, pozwalając mu na siebie patrzeć, błędzić rękami po ciele, bez udawanej skromności, która umniejszałaby jego gorączkową namiętność.

Wyciągnęła ręce, by go mocno chwycić, a on położył się na niej, rozsuwając jej nogi. Myślał tylko o pieszczotach, pamiętając o swoim postanowieniu zachowania powściągliwości. Jednak noc toczyła się

zupełnie inaczej, niż się spodziewał. Zatem kiedy Olivia wygięła ciało, wszedł w nią, poddając się jej namiętnemu zaproszeniu ze wzrastającą niecierpliwością.

Poczuł opór i zatrzymał się na chwilę, zaciskając zęby, nim wszedł głębiej. Cofnęła się nieco. Przycisnęła twarz do jego szyi i stłumiła okrzyk bólu. Wycofał się, przemawiając cicho, by ją ukoić.

-Zaufaj mi, kochanie.

-Ufam ci, Will. Ufam ci.

Tym razem jego pchnięcie przyniosło jej przyjemność. Obserwował uważnie każdy grymas jej twarzy.

-Will! - krzyknęła.

-Jestem tu, kochanie.

-Ja...

-Poczuj, jak to w tobie narasta. Potrafisz?

-Ja... ja nie wiem.

-Daj się ponieść uczuciom.

Walczył ze sobą, by w niej nie eksplodować, szukając równocześnie jakiegoś sposobu, aby jej pomóc.

Zrazu ciche okrzyki stały się głośniejsze, a on zaczął się poruszać w coraz szybszym rytmie, coraz mocniej, coraz głębiej, aż wreszcie nie mógł wytrzymać. Poczuł, jak Olivia wyprężyła się w jego ramionach, i poznał, że doznała rozkoszy równocześnie z nim.

Oddał się własnemu wstrząsającemu spełnieniu, jeszcze bardziej podniecającemu z powodu jej cichych, ekstatycznych westchnień.

Wyczerpany, oparł się nad nią, dopóki wstrząsy rozkoszy nie ustały. Lekкими pocałunkami obsypał jej oczy, policzki, nos, aż do ust, gdzie posmakował jej zdyszanego oddechu.

- Sprawilem ci ból - powiedział. - Przepraszam.

- To nie bolało długo.

Opadł obok niej i przyciągnął ją bliżej. Zadowolona skuliła się w jego ramionach.

- Mimo to bardzo mi przykro.

Dotknęła jego policzka.

- Z tobą tak jest zawsze. Masz łagodne serce.

Ogarnęły go wyrzuty sumienia. Był niespożyty w nakłanianiu jej, by mu zaufała, a jednak oszałamiająca intymność ich aktu miłosnego przypomniła mu, że nie odpłacił jej tym samym.

- Nie jestem aż taki doskonały - powiedział, odciągając jej rękę.

Wtulila się w niego ze śmiechem. Nie był aż tak nasycony, by nie zwrócić uwagi na jej krągłości wciskające się w jego ciało.

- Wszyscy cię podziwiają. Wiesz o tym. Sam się do tego odwoływałeś, gdy beształeś mnie za to, że nie chciałam ci powierzyć swoich trosk. Twoja reputacja ci się przydaje.

Przycisnął do ust jej dłoń. Dlaczego akurat dzisiaj chciał rozmawiać o starych ranach? Gdzieś głęboko tliła się w nim potrzeba rozproszenia fałszywych wyobrażeń, jakie o nim miała. Teraz, kiedy przeżyli ten niesamowity, cudowny akt, który w jednej chwili zbliżył ich do siebie tak, że stali się jednym ciałem, chciał, aby Olivia poznała całą prawdę o swym mężu.

-Co byś powiedziała, gdybym wyznał, że jestem zdolny do zdrady? - spytał ją ledwie słyszalnym szeptem.

-Powiedziałabym, że to nieprawda.

-To prawda.

Spojrzała na niego uważnie.

-Kogo zdradziłeś?

-Najbliższego przyjaciela. Kiedyś, dawno temu. Nie jestem świętym, Olivio.

-Jesteś idiotą, oto, kim jesteś - odparła ku jego zdumieniu. - Ton, jakim uczyniłeś to wyznanie, mówi mi, że już dostatecznie odpokutowałeś swoje wykroczenie, na czymkolwiek by ono polegało. Ilu ludzi może cierpieć z powodu jednego grzechu? A z tych, którzy cierpią, ilu może go oplakiwać?

-Nie wiesz, co...

-Mam nadzieję, że nie masz zamiaru powiedzieć, że nie wiem, co mówię. Mogę nie znać okoliczności, ale znam ciebie. - Olivia wsparła się na łokciu. - Pamiętasz, jak powiedziałeś mi, że cokolwiek zrobiłam, wybaczysz mi?

-To było co innego.

-Tylko dlatego, że dotyczyło mnie, a nie ciebie.

-A jeśli powiedziałbym, że zdradziłem, bo kochałem kobietę, która mnie nie kochała?

Szeroko otworzyła oczy. Umilkła. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę z tego, co zrobił. Wielki Boże, ależ z niego głupiec! Oddałby wszystko, by cofnąć swoje słowa.

- Kochasz inną? - spytała po chwili milczenia.

- Och, nie! Nie, Olivio. To przeszłość. Jestem głupcem, mówiąc o tym w naszą noc poślubną. Nie wiem, co mnie naszło. - Chciał wstać, ale chwyciła go mocno, zmuszając, żeby został w łóżku.

- Nie mieliśmy wiele czasu, żeby przed ślubem bliżej się poznać - powiedziała. - Gdyby było inaczej, wiedziałabym teraz, co cię martwi.

Zacisnął z determinacją zęby.

- A więc dobrze. Kiedy służyłem Lucienowi de Montregnier, on zmusił pewną kobietę, by go poślubiła. W tym czasie ona mu się bardzo opierała. Coraz bardziej jej współczułem, aż wreszcie wydawało mi się... wydawało mi się...

Czekała. Musiał to powiedzieć.

- Wydawało mi się, że ją kocham. Wyznałem jej to, obiecując, że zabiorę ją od Luciena. Od człowieka, któremu złożyłem przysięgę, którego miłowałem jak brata. Więcej nawet, od człowieka, który w jakiś sposób domyślił się, co czuję wobec jego żony, a jednak nagroził mnie tą posiadłością.

- A ta dama?

- Była beznadziejnie w nim zakochana, tak jak on w niej, choć nie chcieli się do tego wówczas przyznać. Teraz są szczęśliwym małżeństwem.

- Czy ciągle jeszcze jej pragniesz?

Jej pytanie tak go zaskoczyło, że aż się zaśmiał.

- Nie - powiedział z ulgą. - Już nie.

Spojrzała na niego, jakby był szalony.

-Co roku przed świętami Bożego Narodzenia Lucien przysyła do mnie Agravara z zaproszeniem do Gastonbury, a ja co roku je odrzucam, bo boję się, że nie zniósłbym ich widoku. Dostatecznie wiele kosztują mnie wiosenne pobyty w Gastonbury, ale wtedy przynajmniej spędzamy większość czasu poza zamkiem, a poza tym to nie pora świąt. Boże Narodzenie jest dla mnie szczególnie ważne i wolałem nie patrzeć na ich szczęście.

-Czy to ten wiking, z którym cię widziałam? Ten Agravar, którego wspomniałeś?

-Tak. Agravar jest dobrym przyjacielem. Zaniedbuję go. Nie powiedział jej o tym, jak bardzo brakuje mu wikinga, podobnie zresztą jak i Luciena, odkąd się od nich oddalił.

Popatrzył na Olivię. Spokojnie odwzajemniła jego spojrzenie.

-Ale w tym roku nie cierpiałem tak jak zwykle, bo miałem w swoim strapieniu rozrywkę.

Popatrzyła na niego zaskoczona i zmieszana.

-Jestem dla ciebie rozrywką?

-Jesteś dla mnie czymś dużo więcej - powiedział i przytulił ją. - Dużo, dużo więcej. - Pocałował ją, po czym zapytał: - Powiedz, nienawidzisz mnie?

Uśmiechnęła się łagodnie.

-Obawiam się panie, że kocham cię teraz jeszcze mocniej.

Nawet nie zauważyła, kiedy wypowiedziała to słowo, ale Willowi zapadło ono głęboko w serce. „Kocham cię”.

Tym słodszy był ich drugi akt miłosny.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Czwartego stycznia nad ranem wyrwało ich ze snu gwałtowne łomotanie w drzwi komnaty. Will jednym skokiem zerwał się z łóżka. Zaspana Olivia uniosła się i oparła na łokciu.

- Co się dzieje? - spytała nieprzytomnie.

- Ktoś nas odwiedził - mruknął Will, szybko narzucając coś na siebie.

Idąc po zimnej kamiennej posadzce, kulił palce u stóp. Z korytarza dobiegał głośny lament, który urwał się jak nożem uciął, gdy Will odsunął skobel i otworzył na oścież drzwi.

Przed sobą miał kościstą piastunkę Stephena oraz własnego pazia Elberta. Zanim zdążył spytać, co się stało, Gean wpadła do komnaty i rzuciła się do swej pani.

- Och, pani, moja pani, nieszczęście! Stephen zniknął. Ktoś go porwał!

Olivia wyskoczyła z łóżka, zapominając, że jest naga jak ją Pan Bóg stworzył. Will taktownie przesunął się trochę, by zasłonić ją przed Elbertem.

- Rano otworzyłam oczy i od razu zorientowałam się, że nie obudził mnie na karmienie. Czasem tak się zdarza, że śpi do rana, ale chciałam zobaczyć, czy wszystko jest w porządku, a tu... - Po policzkach Gean popłynęły łzy. - Nie ma po nim ani śladu, a pościel była zimna, ktoś go musiał... - Gean zanosła się szlochem - porwać dużo wcześniej!

Olivia z trudem trafiła drżącymi rękami w rękawy szlafroka.

- Kto to mógł zrobić? - spytała drżącym ze śmiertelnego lęku głosem.

Will pokręcił w zamyśleniu głową.

- Nie mam wrogów. O ile wiem, nikt z moich dzierżawców nie narzeka na mnie. Nie mam pojęcia, kto...

Urwał. Nieoczekiwane odkrycie spadło na niego jak cios. Przecież, uświadomił sobie, nie dalej jak kilka dni temu ktoś mu groził. Łajdak, który już dawno chciał odebrać dziecko Olivii i który nie miałby nic przeciw temu, by maleństwo umarło.

Will wiedział, że Olivia doszła do tego samego wniosku, gdyż jej oczy wypełniły się łzami. Porwał ze skrzyni kolczugę. Ubierając się, rzucił kilka krótkich poleceń Elbertowi.

- Biegnij, budź ludzi. Potem idź do zbrojowni, niech szykują dla wszystkich oręż. Dla mnie buzdygan i oba miecze, krótki i długi. Potem leć do stajni i każ siodłać konie.

Paź wybiegł, by wypełnić rozkazy. Olivia pomogła Willowi nałożyć gruby skórzany kaftan i ciężką kolczugę. Jej zręczne ręce szybko wiązały rzemienne troczki.

Żadne z nich się nie odzywało. Will zastanawiał się, jaką drogę mógł obrać Cavenere. Jeśli miał łódź, mógł popłynąć rzeką, ale to było mało prawdopodobne. Jeżeli natomiast przybył konno, to można się spodziewać, że pojedzie prosto na południe, drogą lub przez las, w którym zapewne będzie miał nadzieję zgubić pościg.

Gdy Olivia skończyła swoją robotę, Will zamknął ją w uścisku.

- Przywiozę go z powrotem, Olivio. Zobaczysz go jeszcze dzisiaj wieczoru, przysięgam.

- Uważaj na siebie, mój panie. - Spojrzała na niego oczami pełnymi łez. - Kocham cię i chcę, żebyś o tym wiedział, Will.

Jej słowa sprawiły, że zapragnął ją pocałować, ale teraz nie była na to pora. Czekало go niełatwe zadanie i temu właśnie powinien poświęcić wszystkie siły i myśli. Kiedy wróci, będzie miał jeszcze dość czasu, by rozkoszować się słodyczą jej miłosnych wyznań.

Skinął więc tylko głową i lekko musnął jej usta, a potem odwrócił się i wyszedł. Miał dość doświadczenia w sprawach wojny, by skupić się w tej chwili całkowicie na zadaniu, przed jakim stanął.

Kiedy zszedł na dół, panował tam gwar i ruch. Parobkowie siodłali konie, zbrojmistrz z pachołkami uginali się pod naręczami mieczy, a jego ludzie zakładali kaftany, kolczugi i przypasywali broń.

Noc była rześka i zimna. W powietrzu wirowały pojedyncze płatki śniegu. Nie mogło trafić się nam lepiej, pomyślał. W śniegu nietrudno będzie wytropić Cavenere'a i jego ludzi.

Gorsza sprawa, że to samo ochłodzenie, które tak go cieszyło, niosło ze sobą śmiertelne zagrożenie dla porwanego maleństwa. Skoro Cavenere'owi zależało przede wszystkim na tym, by pozbyć się chłopczyka, należało się liczyć z tym, że nie będzie się o niego szczególnie troszczył. Na dodatek, jeśli rozpętałaby się śnieżycyca, wytropienie porywaczy stałoby się o wiele trudniejsze. Will modlił się, by niebo mu sprzyjało.

Wreszcie zaczęto wsiadać na konie. Kiedy długi szereg jeźdźców wysuwał się spomiędzy bliźniaczych wież, ujmujących z obu stron bramę zamku, do świtu była jeszcze dobra godzina.

Olivia nie mogła sobie znaleźć miejsca. Siedziała w komnacie z Gean, a przed oczami miała coraz straszliwsze wizje. Czowała, że jeśli tak dalej pójdzie, to oszaleje. W pewnej chwili zdawało jej się nawet, że słyszy płacz dziecka. Zerwała się na równe nogi, ale Gean wyprowadziła ją z błędu.

Miała wrażenie, że jej ramiona są dziwnie puste. Zastanawiała się, czy Stephen się boi. Na pewno jest głodny. Nie mogła sobie również wyobrazić, by Clement założył niemowlęciu suchą pieluszkę.

To się stawało nie do zniesienia!

- Idę się przejść - powiedziała do Gean. - Może wiatr wywieje mi te wszystkie okropne myśli z głowy.

Świeży śnieg powinien był jej poprawić humor, ale tak się nie stało. Teraz z kolei zaczął ją dręczyć lęk o Willa. Kiedy zimowe niebo zaczęły rozjaśniać pierwsze barwy świtu, Olivia była zmarznięta, ale stan jej ducha nie poprawił się ani odrobinę. Zawróciła do swej komnaty.

Było dziwnie cicho, jak nigdy w Thalsbury. Niemal wszyscy zbrojni wyjechali z Willem, a pobudzone wcześniej służące zeszły się w kuchni, by omówić wstrząsające wydarzenie. Gdy szła przez pustą sień, stukanie obcasów jej pantofli wywoływało niesamowity pogłos. Skręciła w korytarz prowadzący w kierunku jej komnaty i nagle ujrzała przed sobą Clementa.

- Dzień dobry, Olivio - powitał ją szyderczo i schwycił za rękę. - Myślę, że skoro tak ci zależy na Stephenie, byłbym niegodziwcem, gdybym nie zabrał cię ze sobą do domu. A kiedy już tam dotrzemy, to przy okazji wyrównamy stare rachunki.

Oślupiała. Wpatrywała się w jego triumfalną minę. W sercu Olivii wezbrała fala wściekłości.

- Co zrobiłeś ze Stephenem? Gdzie on jest? Masz go natychmiast oddać!

Z krzykiem rzuciła się na swego prześladowcę i rozorała mu paznokciami twarz. Syknął i odchylił głowę. Na jego policzku zostały głębokie bruzdy, które natychmiast zabarwiły się szkarłatem.

- Zamknij się, ty przekłeta suko! - Clement uderzył ją na odlew w twarz, a potem chwycił za gardło.

Silne palce dławiły oddech Olivii, aż wreszcie przestała walczyć o wolność. Kiedy puścił jej gardło, z trudem złapała oddech.

- Chcesz go zobaczyć? - syknął Clement. - Przysięgam ci, że go zobaczysz.

- Panie - rozległ się inny głos.

Olivia spojrzała w tym kierunku i zobaczyła wojownika, który szedł ku nim ze Stephenem w ramionach. Buzia dziecka była zaczerwieniona i mokra od łez.

- On ciągle płacze, to nie do wytrzymania - poskarżył się mężczyzna. - W dodatku zaraz go ktoś usłyszy.

-Zabieraj tego bachora, idioto. Idziemy. Zamek jest pusty. Wszyscy pogonili za wiatrem w polu. - Clement zaśmiał się szyderczo. - Teraz, kiedy mam dziewczuchę, możemy się stąd zbierać.

Olivia starała się zyskać na czasie.

- Musisz zabrać Gean! Stephen będzie jej potrzebował w drodze. - Clement spojrział na nią zaskoczony, więc wyjaśniła. - To jego mamka.

Twarz mężczyzny wykrzywił nieprzyjemny uśmiech.

- Mnie ta mamka do niczego nie jest potrzebna.

Wtedy zrozumiała, że ani Stephen, ani ona nie dożyją kresu podróży.

Nieopodal zamku czekało na nich jeszcze pięciu zbrojnych. Chłopiec płakał rozpaczliwie i niosący go mężczyzna brutalnie starał się stłumić jego płacz, zatykając mu buzię opończą. Olivia pomyślała z przerażeniem, że lada chwila udusi maleństwo.

- Pozwólcie mi go nieść - poprosiła. - Ja go potrafię uciszyć - błagała.

Clement zastanawiał się przez chwilę, po czym skinął na żołnierza i kazał mu oddać dziecko. Mężczyzna z ulgą pozbył się chłopca, a Stephen, gdy tylko znalazł się w znajomych ramionach, przestał płakać. Clement złapał Olivię za kołnierz i szarpnął, by odwrócić ją twarzą do siebie.

- Ma być cicho - odezwał się groźnym głosem. - A jeśli będziesz mi sprawiać jakiegokolwiek trudności, zarżnę was oboje na miejscu.

Oczywiście nie będzie nam wygodnie podróżować z trupami, ale zrobię, co będę musiał.

Z trudem przełknęła ślinę. Stephen nacieszył się już nią i znów zaczynał wiercić się i popłakiwać. Był głodny i na pewno miał mokrą pieluchę.

-A po cóż w ogóle chcesz nas wlec ze sobą? - spytała zaczepnie.

-Po co, głupia dziewucho? Bo gdybym zostawił tu wasze trupy, prędzej czy później zemściłoby się to na mnie. A tak, gdy pójdziecie pod wodę, każde z kamieniem u nogi, a ja z moimi ludźmi wrócę spokojnie do domu, nikt nie ośmieli się mnie obwiniać o porwanie. Nie zapominaj, że towarzyszyłem królowi w wyprawie przeciw niewiernym, w obronie Ziemi Świętej.

Clement uśmiechnął się, wyraźnie zadowolony z tego, że udało mu się stłumić jej nieśmiałą próbę buntu. Poleciał jednemu ze swoich ludzi, by posadził Olivię w siodle przed sobą, dosiadł konia i ruszyli w drogę. Wiedziała, że Will jest już o dobrych kilka mil od Thalsbury. Teraz tylko jej spryt mógł ocalić Stephena.

Mężczyzna, który wiozł ją w siodle, był jeszcze młodym chłopakiem z rzadką bródką i wąsikami na wychudłej twarzy. Choć nie sprawiał sympatycznego wrażenia, Olivia nie miała innego wyjścia, niż podjąć próbę, by przemówić mu do sumienia.

Kiedy ukołysany jazdą Stephen zrezygnował z dopominania się o jedzenie i usnął, zagadnęła jeźdźca:

-Szlachetnym dziełem się parasz, panie - powiedziała drwiąco. - Mordowanie kobiet i dzieci to marzenie każdego wojownika.

- Zamknij się.

Zrobiła, jak kazał, ale gdy w chwilę później ujrzała rzekę, nie wytrzymała.

- Kto będzie modlił się za twoją duszę, kiedy umrzesz? Kto pomodli się za duszę mordercy kobiet i dzieci? A nawet jeśli już, to cóż te modlitwy będą znaczyć dla naszego wszechmocnego sędziego? Jak myślisz, czy Bóg okaże ci miłosierdzie?

Po jego reakcji zorientowała się, że zaczęła właściwie. Wyczuła, że chłopak nie ma ochoty uczestniczyć w tej zbrodni. Czym innym jest zabijać ludzi na polu bitwy, czym innym jest morderstwo z zimną krwią. Olivia poczuła, jak szczupłe ciało siedzącego tuż za nią młodego mężczyzny tężeje w napięciu.

Clement polecił zawieźć ich nad samą wodę. Olivia z przerażeniem patrzyła na toczący się przed jej oczami, ołowiany nurt rzeki. Wciąż wbrew rozsądkowi wierzyła, że młodzieniec zrobi coś, by ocalić ich życie i swoją duszę.

Chłopak milczał. Brzeg stał się stromy i konie musiały zwolnić. Olivia powściągnęła język. Chciała dać wojownikowi chwilę czasu na zastanowienie. Zaczynała jednak podejrzewać, że musi wymyślić coś lepszego, by skłonić go do podjęcia właściwej decyzji, zanim będzie za późno. W przeciwnym razie ona i Stephen skończą na dnie rzeki.

Zatrzymali się na wąskim paśmie piasku, ciągnącym się wzdłuż krawędzi wody, pokrytym warstwą śniegu. Pod kopytami koni śnieg zmieszał się z piaskiem, tworząc burą breję.

- Z koni! - rozkazał Clement.

Siedzący za Olivią chłopak zeskoczył z konia i wyciągnął do niej rękę. Poczekala, aż na nią popatrzy, i okazując wielki ból, z ociąganiem podała mu śpiące dziecko. Widziała, że jest przerażony. Był blady, a w oczach miał lęk. Nie zrobił jednak nic, żeby im pomóc.

- Zsiadaj z konia - powtórzył Clement.

Olivia wpatrywała się w chłopaka błagalnie, ale na nic to się zdało.

Clement podjechał do niej.

- Z konia! - ryknął i zrozumiała, że jej czas dobiegł końca.

Była tak przerażona, że nie mogła wykonać najmniejszego ruchu. Całą nadzieję pokładała w sumieniu mężczyzny, który trzymał w ramionach uspiętego Stephena.

Chłopak odwrócił się do niej plecami i ruszył w kierunku wody.

Wraz z resztkami nadziei Olivię opuściły ostatnie siły. Clement czekał, aż zeskoczy z siodła. Odwróciła się, by spojrzeć mu w oczy.

W tej samej chwili rozległ się dziwny, głuchy dźwięk i twarz Clementa stężała. Olivia spostrzegła sterczący z jego piersi czubek strzały. Z rany popłynęły strugi purpurowej krwi, a jednocześnie jego łajdacka twarz zrobiła się blada jak płótno.

Clement uniósł rękę i z niedowierzaniem dotknął grotu.

- Trafiła mnie strzała - powiedział zdumiony.

Idący ku wodzie żołnierz obejrzał się za siebie i zastygł w przerażeniu.

- Bierz dziewczynę! - krzyknął Clement. - Dopóki ją mamy, nie ośmieli się...

Nie dokończył, bo kolejna strzała przeszła mu gardło.

Clement jak kamień runął z siodła. Olivia spojrzała aa krawędź lasu, skąd nadleciały strzały, i ujrzała Willa.

Z łukiem w ręku przypominał pogańskiego boga wojny. Było oczywiste, że jego ludzie zaraz znajdą się na brzegu rzeki i otoczą zauszników Clementa, ci jednak, gdy ich pan zginął, stracili wszelką chęć do walki.

Olivia zeskoczyła z konia. Młody żołnierz padł przed nią na kolana, szlochając w śmiertelnym przerażeniu.

Porwała Stephena w ramiona i pobiegła do Willa.

EPILOG

Całą drogę do domu przejechała w ramionach Willa, tuląc do piersi płaczące dziecko. Jednak wobec tego, co miało ich spotkać, ten dźwięk był dla Olivii źródłem otuchy. Była tak szczęśliwa w objęciach ukochanego mężczyzny, że nic nie mogło zmącić jej spokoju. W tej chwili wystarczała jej świadomość, że wkrótce Stephen będzie nakarmiony, wykąpany i przewinięty. Wracali do domu!

Gdy tylko minęli bramę Thalsbury, Olivia zeskoczyła z konia i czym prędzej oddała niemowlę Gean, która powitała ich przybycie z tym większą ulgą, że piersi miała wezbrane od mleka. Nie czekając, aż znajdą się w zamku, Gean rozwiązała tasiemki stanika i zaczęła karmić malca.

Olivia patrzyła na nich i poczuła, że ogarnia ją cudowny spokój. Will objął ją mocno.

-Bałem się, że cię stracę - powiedział głosem, w którym wciąż jeszcze czuła napięcie.

-Ja myślałam... - Olivia nie dokończyła.

Nie chciała o tym mówić. Nie teraz, kiedy wszelkie niebezpieczeństwo zdawało się takie odległe.

-Wiem. Bardzo cię przepraszam, kochanie.

-Za co mnie przepraszasz?

-Wiedziałem, że będą uciekać rzeką lub lasem. Postawiłem na las.

-Jak zatem trafiłeś nad rzekę?

-Śnieg to sprawił, Olivio. Kiedy ujechaliśmy kawał drogi, a w śniegu wciąż nie było śladów, zrozumiałem, że źle wybrałem, więc natychmiast zawróciłem w stronę rzeki. Dostrzeżliśmy was, gdy zaczęliście zjeżdżać nad wodę. Kiedy zobaczyłem cię z nimi, omal nie straciłem zmysłów. - Przytulił ją mocniej. - Miałem wrażenie, że nigdy nie zbliżymy się na tyle, bym mógł dosięgnąć Clementa z łuku.

- Chciał nas utopić, Stephena i mnie.

- Cśś, kochanie. Nie mów już o tym. Teraz jesteś ze mną, zupełnie bezpieczna.

-Tak. - Uśmiechnęła się do niego, pozwalając, by straszliwe wspomnienia przepadły w mrocznej dali. - Nigdy jeszcze nie czułam się bezpieczniejsza.

-Czyżbyś była skłonna, pani, przypisać mi jednak jakieś zalety?

-Wiele trzeba było na to czasu, lecz wreszcie dotarło to do mojej tępej głowy. Czy wybaczysz mi tę opieszałość?

-Chyba wszystko bym ci wybaczył, pani. Ciekaw jestem, czy ty także potrafisz to zrobić?

Wykręciła głowę, by spojrzeć mu w oczy. W odpowiedzi tylko się uśmiechnął. Objął ją mocno i przytulił. Tak wjechali do zamku.

Święto Trzech Króli jest porą niespodzianek. Wiele z nich wydarzyło się w Thalsbury. Pierwszą było przybycie pana i pani z Gastonbury.

Lucien był jak zawsze surowy i powściągliwy, Alayna zaś stała się w ciągu trzech lat szczęśliwego małżeństwa jeszcze piękniejsza, niż ją Will pamiętał. Goście pojawili się na zamku w wigilię Trzech Króli.

- Skoro nie chciałeś przyjechać do Gastonbury, sam przybyłem do ciebie.

Will zaniemówił z radości.

-Najpierw Agravar mówi mi, że masz tu jakąś tajemniczą dziewczynę - podjął Lucien - potem słyszę, że w ostatni dzień starego roku wzięłeś ślub, wreszcie dowiaduję się, że porwano ci żonę i gdyby nie twoja celność, już byłbyś wdowcem.

Lata spokojnego życia złagodziły nieco surową naturę Luciena, ale z jego kruczą czupryną, czarnymi oczami i krótko przystrzyżoną bródką wciąż jeszcze można go było wziąć za diabła, jak go kiedyś przezywano.

- Widzę zatem, że byłeś dość zajęty - kontynuował Lucien - co cię usprawiedliwia. Jednak spodziewam się, że za rok ujrzę cię w moim zamku, u mego boku, gdzie jest twoje miejsce.

Will wyciągnął ręce do Olivii, która podeszła do męża.

-Z największą radością, panie.

Potem głos zabrała Alayna.

-Ty musisz być Olivią. Słyszałam o tobie wiele dobrego. - Powitała Olivię, po czym uśmiechnęła się olśniewająco do Willa. - Miło cię widzieć.

- Jestem zaszczycony, pani. - Will wyciągnął ręce i ujął dłonie Alayny.

Dawno już nie czuł się równie lekki i radosny. Brzemię, które ciążyło mu przez lata, zniknęło bez śladu.

-Pozwól, pani, że złożę moje gratulacje.

Alayna uśmiechnęła się promiennie.

-Dziękuję - powiedziała, po czym zwróciła się do Olivii. - Na wiosnę urodzi się nasze trzecie dziecko.

Do rozmowy wtrącił się Lucien, który podczas powitania wyczerpał już swój zapas cierpliwości i uprzejmości.

-Umieram z głodu, jesteśmy w drodze od kilku godzin. Czy będziesz nas tu trzymał w sieni, czy pozwolisz jednak wejść na jakiś poczęstunek?

- Wszystko, co mamy w zamku, jest do twojej dyspozycji, panie.

Lucien tylko skrzywił się w odpowiedzi i poprowadził żonę do wielkiej sali.

Will roześmiał się, odrzucając głowę. Spotkał spojrzenie Olivii i puścił do niej oko.

- Wcale nie jest taki straszny, sama się przekonasz.

Uniosła brwi w geście powątpiewania.

- Wydajesz się taki beztroski.

- Bo jestem beztroski, pani. Czemu jednak ty patrzysz na mnie z ukosa? Czy mi nie ufasz?

- Czy ci nie ufam? Nie, kochany, ufam ci we wszystkim.

To była wesoła uczta. Olivia miała okazję poznać Willa od innej strony. Przez większość czasu opowiadał o swoim gościu nieprawdopodobne rzeczy i choć ten ostatni udawał, że jest z tego powodu bardzo niezadowolony, trudno było nie dostrzec serdeczności, z jaką odnosili się do siebie obaj mężczyźni.

Olivia od razu zorientowała się, kim są ich goście, i choć początkowo ogarnął ją niepokój, to po chwili wszystkie jej obawy się rozproszyły. Zresztą nie sposób było oprzeć się zaraźliwej radości Willa, zwłaszcza że był pogodny jak nigdy dotąd. Olivia pomyślała, że smutek, z jakim jej mąż w poślubną noc wyznał swoje przewinienie, odszedł w zapomnienie.

Will wstał i uniół kielich w górę, by przyciągnąć uwagę zebranych.

- Posłuchajcie mnie wszyscy razem i każdy z osobna. Aby uczcić święta, które zesłał nam Bóg dla radości, jak również, aby uczcić moje małżeństwo i wizytę, jaką zaszczycił nas lord Gastonbury, postanowiłem obdarować dzisiejszego wieczoru Króla i Królową

Fasoli. Bierzcie się za swoje pasztety i niech każdy pilnie baczy, co znajdzie w środku.

Znając z opowieści upodobanie swego męża do żartobliwego traktowania tych spraw, Olivia rzuciła mu pytające spojrzenie, na które odpowiedział jej tylko chłopięcym uśmiechem.

Zwyczaj kazał, by jedna z dam oraz jeden z mężczyzn znaleźli w swym pasztecie po ziarnku „fasoli”. Owo ziarnko mogło być drobiazgiem, mogło jednak także być klejnotem o mniejszej lub większej wartości, zależnie od majątności i szczodrości gospodarza.

Znalazców ziaren nazywano Królem i Królową Fasoli. Tak obchodzono zamykające okres świąt Bożego Narodzenia święto Trzech Króli, na pamiątkę darów, które mędrcy złożyli u stóp małego Jezusa.

- A ty Olivio? Czy nie zjesz pasztetu, kochanie? - spytał Will.

Olivia sięgnęła po łyżkę. Pojęła, że mąż chce jej dać coś do zrozumienia. Kiedy natrafiła w pasztecie na zwykłe ziarno fasoli, zrobiła rozczarowaną minę.

- Och, spójrzcie, fasola.

Tak właśnie było - Will obdarzył ją zwykłą fasolką, niczym cennym. Kiedy rzeźnik znalazł w swoim pasztecie złoty pierścień i został Królem Fasoli, w sali biesiadnej rozległy się gromkie wiwaty. Will śmiał się wesoło.

- Moja żona została oszukana. Rzeźnik dostał złoty pierścień, a ona ziarno zwykłej fasoli. Niczym się nie martw, kochanie, mam dla

ciebie szczególny prezent. Elbercie, przynieś mój podarek dla pani Thalsbury.

Podejrzenia Olivii zaczęły się umacniać, gdy postawiono przed nią drewnianą skrzynię, udekorowaną złotymi wstążeczkami.

- Czy mam się spodziewać, że zaraz coś w niej zaczną gdakać?

- Nie wiem - odpowiedział Will. - Musisz zajrzeć do środka.

Gdy uporała się ze splątanymi wstążkami i uniosła wieko, okazało się, że skrzynia jest pełna pierza. Olivia śmiała się tak, że aż łzy popłynęły jej po policzkach. Ze spojrzeń biesiadników jasno wynikało, że uważają jej zachowanie za trochę dziwne. Gdy jednak Will dmuchnął i pierze pofrunęło w powietrze, zebrani osłupieli na widok złotej skrzyneczki wysadzanej szlachetnymi kamieniami.

Olivia wzięła szkatułę do rąk, z podziwem studiując misterną robotę cudzoziemskich mistrzów. Will ujął dłonie żony i pochylił się, by szepnąć jej coś do ucha.

- Pomyślałem sobie, że skoro masz moje serce, to może przyda ci się naczynie, w którym będziesz je mogła trzymać.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- Przepiękna szkatuła, Will - pochwaliła Alayna. - I świetny żart.

Will popatrzył na Oliwię roześmianymi oczami.

- Czy wybaczysz mi ten żart, pani?

- Jak mogłabym nie wybaczyć! - zaśmiała się Olivia. - Raczej tym mocniej cię kocham. Bardziej martwi mnie to, że sama nie mogę ci niczego ofiarować, mężu.

Uniół jej dłoń do ust.

- Och, moja ukochana żono, przecież już dałaś mi najwspanialszy prezent, jakiego mógłbym pragnąć. - Jego wargi muskały delikatnie skórę Olivii.

Choć zgromadzeni nie usłyszeli dalszych słów, które szepnął jej na ucho, dobrze wiedzieli, kiedy wznieść gromki wiwat.

STONE LYN

PREZENT DLA IANA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Szkocja

26 września 1319 roku

Od pierwszego spojrzenia wiedział, że będzie jego.

Kobieta idąca w stronę Iana przez ogromną sień zamku Byelough była ucieleśnieniem wszystkich jego pragnień i nadziei. Olśniewająco piękna i - sądząc po wspaniałej sukni - bogata, zachowywała się z wyniosłością prawdziwej damy.

Stała przed nim i nie zwracając uwagi na spojrzenie, jakim ją mierzył, obejrzała Iana dokładnie od stóp do głów.

- Msza będzie odprawiona tu w sieni, o świcie. Sądy rozpoczną się po śniadaniu - rzuciła, po czym dodała: - Znajdźcie sobie jakieś miejsce w stajni, na sianie.

Jej wielkopański ton jasno wskazywał, że dziewczyna ma o sobie bardzo wysokie mniemanie. Jeszcze większe wrażenie wywarły jednak na Ianie jej oczy - ciemnobłękitne, a przy tym pełne blasku, jak niebo w rozgwieżdżoną, letnią noc. Choć potraktowała go chłodno i wyniośle, Ian dostrzegł w jej wzroku zaciekawienie, co dodało mu otuchy.

Włosy dziewczyny spowijała gęsta woalka, ale mógł się domyślić ich barwy z koloru brwi, które uniosła teraz w wyrazie zdziwienia połączonego ze zniecierpliwieniem. Najwyraźniej spodziewała się, że po jej słowach Ian natychmiast wyjdzie z sieni i uda się do stajni, by szykować sobie posłanie.

Nie ruszając się z miejsca, powiedział:

- Chciałbym zobaczyć sir Alana.

Westchnęła z irytacją i przesunęła dłonią po sukni, jakby wygładzała niewidzialne zmarszczki.

- Sir Alan jest teraz zajęty. Zwróćcie się do niego z waszymi sprawami jutro, gdy przyjdzie na was kolej.

Uśmiechnął się, rozbawiony jej impertynencją, i spojrzał na ustawione przy kominku stoły.

- Dziękuję, ale wolałbym spotkać się z nim dzisiaj.

Ian wiedział już, że został zaproszony do Byelough właśnie z powodu tej nadmiernie szczupłej i zarozumiałej istoty, która teraz patrzyła na niego nie pozbawionym pogardy wzrokiem.

Jego mała chrześniaczka nie знаła się na swatach, ale żywa jak iskierka córka sir Alana uczciwie uprzedziła Iana o planach, jakie miał wobec niego jej ojciec. Dopadła do gościa, gdy tylko zsiadł z konia na zamkowym dziedzińcu.

- Wujku Ianie, słyszałam, że masz wyprosić ręce cioci Jules! - oznajmiła dziewczynka, wyraźnie zaniepokojona niezrozumiałym określeniem. - Dokąd masz je wyprosić? I co ciocia zrobi bez rąk?

- Raczej poprosić o rękę - wyjaśnił jej cierpliwie Ian. - To znaczy, że mam poprosić waszą krewną, aby została moją żoną. Na wszelki wypadek nie mów nikomu ani słowa, bo znów ktoś będzie miał ci za złe, że podsłuchujesz.

Widok dziewczyny, której zawdzięczał zaproszenie, zaskoczył Iana. Wchodząc do sieni, spodziewał się ujrzeć jakąś brzydulę, starą pannę, której do tej pory nikt nie zechciał.

Tymczasem w stojącej przed nim młodej kobiecie nie sposób było dopatrzeć się żadnej skazy. Może była ciut za chuda i miała zbyt drobne piersi, jak na jego upodobania, ale za to śliczne, delikatne rysy nadawały jej twarzy wyraz szlachetnego piękna, jakiego nigdy by nie znalazł w twarzach hożych, krzepkich wieśniaczek o zaokrąglonych kształtach.

Zrzucił z ramion przemoczoną opończę i podał Berthilde, młodziutkiej i ruchliwej jak żywe srebro służce, która zawsze kręciła się koło niego, gdy odwiedzał Byelough. Dziewczyna nieśmiało zachichotała i natychmiast się oddaliła, nie zwracając uwagi na gniewne spojrzenie kobiety pełniącej rolę gospodyni.

Ian przygładził włosy i poprawił ubranie. Miał na sobie swój najlepszy strój, ale deszcz sprawił, że po długiej jeździe przez moczary i wzgórza, nieco już wysłużone szaty wyglądały żałośnie. Nic dziwnego, że piękna nieznajoma potraktowała go tak, jakby był jednym z chłopów, którzy zjechali z daniną lub przybyli na sądy.

- Witaj, Ianie! - usłyszał znajomy głos i ujrzał nadchodzącego z wyciągniętymi rękami pana zamku Byelough. - Widzę, że już się poznaliście.

- Nie zostaliśmy sobie przedstawieni - odpowiedział, przyjmując z rąk Alana Strode'a kufel grzanego piwa z miodem.

Taki poczęstunek należał do stałych punktów ich powitania, bo dawno już odkryli, że ich pełnej serdecznych uszczypliwości i docinków przyjaźni nic nie służy lepiej niż parę łyków zacnego trunku.

- Czy mam zgadywać, jaki był cel twego zaproszenia? - spytał Ian, unosząc kufel, by pociągnąć długi łyk.

- Jeszcze za wcześnie na takie rozmowy - odpowiedział pośpiesznie Alan, zerkając spod oka na stojącą obok dziewczynę. - Na razie, Ianie, pozwól, że ci przedstawię Julianę Strode z Gloucester. Jej ojciec, Panie świeć nad jego duszą był moim stryjem. Juliano, poznaj naszego sąsiada, sir Iana z Dunningray. Przyjechał tu, by spędzić z nami dzień świętego Michała.

Ian skłonił się grzecznie.

Juliana odpowiedziała oszczędnym skinieniem głowy, które jasno mówiło, że osoba gościa nie budzi w niej szczególnego szacunku. Nie zważał na to. To nawet lepiej, że jest dumna i nie pada do nóg każdego mężczyzny, jaki na nią spojrzy.

- Jestem oczarowany, pani - powiedział dwornie. - I cieszę się, że szczęśliwy los sprowadził mnie do Byelough.

- Czy masz jutro jakieś sprawy do przedstawienia przed sądem mego kuzyna? - spytała.

Jej głos, słodki jak korzenny miód, podobnie jak ów trunek pobrzmiwał odrobiną cierpkości. Czy smak jej ust będzie podobny? Ian miał wielką ochotę się o tym przekonać.

- Nie, pani. Nie wnoszę żadnych skarg i nikt mnie o nic nie oskarża. Mam wrażenie, że przyjechałem wyłącznie po to, by ujrzeć ciebie.

Ich spotkanie zaczęło się od nieporozumienia, dlatego Ian zamierzał nadać rozmowie lekki ton. Jeśli Juliana nie wiedziała, jaki

jest cel wizyty Iana, trudno było zrozumieć powód jej irytacji. Jeżeli jednak mała Kit wypaplała jej to samo, co on przed chwilą usłyszał, wszystko stawało się jasne. Widocznie dziewczynie nie w smak były swaty.

Ian postanowił na później odłożyć rozmowę z panem domu.

Dziewczyna bez wątpienia obraziłaby się, gdyby zaczęli przy niej rozmawiać o interesach, choć Ian nie wątpił, że Alan powie mu co nieco o wianie swej kuzynki. Cokolwiek by to było, i tak będzie lepsze od niczego, a tyle obecnie posiadał.

Na pewno też mądrze będzie zostawić Julianie trochę czasu, by mogła złożyć swoją zgodę na karb miłości. Co do niego - gotów był na ten związek, gdy tylko ujrzał dziewczynę na oczy. Kiedy patrzył na nią z bliska, czuł, że budzą się w nim uczucia, jakich nie wywołała w nim dotąd żadna kobieta.

Zaciekawiło go, jakie emocje odczuje, kiedy jej dotknie.

- Złożyłaś, pani, dłuższą wizytę swym krewnym? - spytał uprzejmie.

Różowe usta zacisnęły się na krótką chwilę, nim mu odpowiedziała.

- Powód mojej obecności nie jest twoją sprawą, panie, lecz jeśli musisz wiedzieć...

- Ajajaj - uciszył ją Alan. - Nasz drogi Ian ledwo co się zjawił, a ty już jesteś naburmuszona. To nie jego wina, że musiałaś opuścić cywilizowany świat, by szukać schronienia w tej dziczy.

Strode nachylił się ku Ianowi i mówił takim tonem, jakby zdradzał mu rodzinne sekrety, choć oczywiście dziewczyna mogła słyszeć każde słowo.

- Juliana narobiła zamieszania i naraziła się na gniew króla Edwarda.

O dziwo, ta wiadomość nie zaskoczyła szczególnie Iana.

- Skoro, jak wiadomo, angielski Ned nie gustuje w płci pięknej, to jakież inne uczucia mogła w nim wywołać twoja urodziwa kuzynka?

Alan roześmiał się na cały głos i poklepał Iana po plecach.

- Nie żartujmy więcej z niełaski, w jaką popadła Juliana. Postąpiła słusznie i jestem z niej dumny.

Ian odwrócił się do dziewczyny, złapał ją za rękę i nim zdążyła ją wyrwać, pocałował jej szczupłą dłoń.

- Przyjmij wyrazy najszczerzego uznania, pani! Kto jest wrogiem króla Edwarda, ten mi przyjacielem! Czymkolwiek go rozzłościłaś, dobrześ uczyniła.

Wyrwała mu dłoń i wytarła o suknię.

- Powiedziałam temu łajdakowi, że prędzej poślubię którąś ze świń mego stryja niż jednego z jego wieprzy! Ohydne bydłeta, wszyscy co do jednego, a najgorszy z nich jest Fitz Simon!

- Zepchnął ją do wody! - wykrzyknął Alan. - Tak ten łajdak postąpił! Zrzucił dziewczynę z cholernej barki prosto w nurt Severn.

- Nie może być! - zdumiał się Ian, ruszając wraz z Julianą i Alanem do stołu. - I co dalej? Popłynęłaś do brzegu i uciekłaś do Szkocji?

Nim Juliana zdążyła otworzyć usta, Alan wyciągnął rękę, powstrzymując ją przed odpowiedzią.

- Pozwól, że ja to opowiem, kuzynko. Poradziła sobie lepiej, niż sądzisz, Ianie. Zanurkowała, przepłynęła do drugiej burty i przytrzymała się cumy, tak że nikt jej nie widział.

- Coś takiego! - zawołał z podziwem. - Nie znaleźli cię?

Wyobraził sobie, jak mogła wyglądać, mokra, w nasiąkniętej wodą sukni, przestraszona, uczepiona zbawczej liny.

- Nie! - odpowiedział za kuzynkę Alan. - Było już ciemno. Wszyscy byli pewni, że poszła na dno jak kamień! Kiedy przybili do brzegu, Juliana poczekała, aż wszyscy zejść na ląd i dopiero wtedy wyszła z wody. - Strode objął dziewczynę ramieniem i przytulił, nie zważając na jej protesty. - Omal nie umarła z zimna, niech ją Bóg ma w swej opiece!

Ian zaśmiał się i spojrzał na Julianę z podziwem. Co za niezwykła kobieta!

- I co dalej?

- Wróciła do domu rybacką łodzią. Da i Janet narobili wrzawy, że dziewczyna zginęła, i odesłali ją prosto do nas. Teraz nie może wrócić - zakończył opowieść Alan i poklepał kuzynkę po plecach. - Juliana należy do mnie.

- Do nikogo nie należę i nie będę należeć! - zaprotestowała ostro.

Powiedziała to tak żarliwie, że Ian przestał się śmiać i przyjrzał się jej uważniej. Deklaracja zabrzmiała bardzo poważnie. Uświadomił sobie, że jeśli chce ją zdobyć, musi zachowywać się roztropnie.

Mimo drobnej postury, ta dziewczyna musiała mieć żelazną wolę i niezłomnego ducha.

- Nie z ciebie sobie żartujemy, pani, ale z waszego łajdackiego króla. To, co uczyniłaś, budzi we mnie największy podziw. Dumny jestem, że mogłem cię poznać.

Spostrzegł, że oczy dziewczyny zaszklily się łzami, ale nie pozwoliła im spłynąć po policzkach.

- Siądźmy do stołu. Napij się z nami, pani, wina, porozmawiamy o weselszych sprawach. Nie będziemy już więcej wspominać o twoich niedolach, daję słowo.

Pokręciła głową.

- Mam jeszcze coś do zrobienia - powiedziała krótko i odwróciwszy się na pięcie, odeszła do kuchni.

Ian spojrział pytająco na Alana, ale przyjaciel tylko westchnął z zakłopotaną miną.

- Biedna Jules okropnie się tym wszystkim zamartwia. Boję się, że trudno będzie temu zaradzić. Sama ściągnęła na siebie to nieszczęście. Da pisze w liście, żeby zrobić z niej Szkotkę, bo gdyby wróciła do Gloucester, ściągnęłaby na nich tylko kłopoty.

Ian pokiwał głową i oparł łokcie na stole.

Ojciec Alana był Anglikiem, dowódcą garnizonu na pograniczu królestwa Anglii i Szkocji. Przez blisko trzydzieści lat stacjonował w niedalekim Rowicsburgu, a przed pięciu laty wrócił do swego majątku w Gloucester ze swoją drugą żoną, Szkotką.

Można się było spodziewać, że król Edward będzie szukał pretekstu, który pozwoliłby mu uznać go za zdrajcę. Wiadomo było, że władca nie kocha swych baronów, zwłaszcza tych, którzy mieli jakieś związki ze Szkocją, a oni odwzajemniali niechętnie uczucia.

- To smutne. Dziewczyna tęskni za domem, ale nigdy nie będzie mogła tam wrócić - powtórzył Alan, przypatrując się uważnie Ianowi, by wyciągnąć jakieś wnioski z jego reakcji.

Ian pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Pojmuję, o co chodzi. Wezmę ją.

Odpowiedział mu wybuch tubalnego śmiechu.

- Co w tym śmiesznego? Przecież wiem, że po to mnie zaprosiłeś - zirytował się Ian. - Wszak mamy świętego Michała, dzień rachunków, transakcji i sądów. Nie myślisz chyba że galopowałbym do ciebie przez bagna w taką ulewę po to tylko, by cieszyć się twoim towarzystwem. To jasne, że dziewczyna potrzebuje męża i na ciebie spadł obowiązek wyszukania jej kogoś. Co tu jeszcze zostało do myślenia?

- Co? - Alan przestał się śmiać i pociągnął łyk piwa. - To prawda, że od razu pomyślałem o tobie i dlatego cię zaprosiłem.

Sprytne zielone oczy zwęziły się w wąskie szparki i Ian wiedział, że teraz Strode postawi mu warunki.

- Ale na serio rozważymy tę możliwość dopiero wtedy, gdy ona sama się zgodzi. Juliana nie jest tu zbyt szczęśliwa. Postaraj się ją pocieszyć, byłoby dobrze, gdyby ci się powiodło. Co będzie potem, to się jeszcze zobaczy.

Ian roześmiał się od ucha do ucha i trącił swym kuflem kufel Alana. Po raz pierwszy, odkąd się znali, wypili w idealnej zgodzie.

- Wszystko widziałam - rozległ się cienki głosik. - Wujek Ian wcale nigdzie nie wpadł po uszy, a ty mówiłeś, że wpadnie, tato.

Alan był tak zaskoczony, że aż zakrztusił się piwem. Zaklął pod nosem.

- Niech to diabli! Znowu podsłuchujesz, Kit! Co ci mówiłem o przykładaniu ucha do dziurki od klucza?

Ian roześmiał się i wziął dziewczynkę na kolana.

- Nie przykładałam ucha do dziurki od klucza - zaprotestowała mała. - Byłam w pokoju, kiedy rozmawiałeś o tym z mamą. Siedziałam za skrzynią.

- Wielki Boże! - Alan pokręcił głową. - Twoja matka już się tobą zajmie, ty mała szelmo. Biegnij teraz do niej powiedzieć, że Ian Gray przyjechał, niech chowa wszystkie kosztowności.

Kit cmoknęła Iana w policzek i jednocześnie pociągnęła go za nos. Sięgnął do kieszeni kubraka i wyciągnął kawałek pergaminu, na który czekała dziewczynka.

- Tym razem przywiozłem ci królika - powiedział, wręczając jej rysunek.

Zachwycona Kit natychmiast zsunęła się z kolan Iana.

- Pokażę go mamie, a potem schowam razem z innymi! - zawołała i pobiegła w kierunku schodów.

- Jest kompletnie przemoczona - powiedział Alan oskarżycielskim tonem. - Znów wyszła do ciebie na dziedziniec, sam widziałem. A leje jak z cebra!

- To prawda - przyznał Ian. - Musiała wypatrywać mnie z wieży. Nie powinieneś pozwalać jej tam wchodzić.

- Chyba nie wiesz, o czym mówisz - zachnął się Alan. - Temu chochlikowi, który znika, kiedy chce, jakby się pod ziemię zapadł? Ma tu tyle kryjówek, że kiedy się schowa, nikt nie wie, gdzie jej szukać!

- Za skrzynią i przy dziurkach od klucza - zaśmiał się Ian. - Więc myślałeś, że z miejsca wpadnę po uszy, co?

Alan uśmiechnął się.

- A myliłem się?

- Masz rację, wpadłem - przyznał niechętnie. - Ale zobaczysz, że ją zdobędę.

- No to bierz się do roboty. Nie ma na co czekać - ostrzegł go Alan. - Juliana ma już dwadzieścia pięć lat i z dnia na dzień robi się coraz bardziej zgryźliwa. Najwyższa pora, żeby wyszła za męża. Nic tak dobrze nie wpływa na poprawę samopoczucia jak małżeństwo.

Trudno było o lepszą nowinę dla mężczyzny rozglądającego się za żoną, jak czynił to od jakiegoś czasu Ian. Nadarzała mu się okazja, której nie zamierzał przepuścić.

Jak dotąd nie znalazł kobiety, która chciałaby za niego wyjść. Gdyby tylko miał coś więcej prócz walącego się kasztelu i zabiedzonego konia, jego sprawy na pewno ułożyłyby się inaczej.

Dotychczas los się z nim nie cackał. Kasztel, który nadał mu przed pięcioma laty Robert Bruce, już wtedy wymagał remontu i z roku na rok coraz bardziej podupadał. Ostatniej wiosny długotrwałe ulewy tak rozmiękczyły ziemię, że nie można było niczego posiać.

Wszystko, co jeszcze posiadał, wydał na utrzymanie kilku osób załogi. Łupy, jakie przywiózł po bitwie pod Bannockburn, sprzedał już dawno, by móc dokonać najpilniejszych napraw.

Jeśli nie uda mu się zdobyć żony z porządnym wianem, nie pozostanie mu nic innego, jak wypuszczać się na grabieżcze wyprawy do Anglii albo szukać zajęcia jako najemnik.

Ian dzięki temu, że przed bitwą pod Bannockburn spotkał wuja ojca, sir Andrew, trafił na służbę do Roberta Bruce'a. O ile jednak Andrew został nagrodzony przez władcę obszernymi nadaniami w Carse of Gowrie, Ianowi przypadł tytuł szlachecki i bezimienna sterta kamieni, którą nazwał Dinniegray.

Pierwszy raz w życiu miał własny dom, kochał go z całego serca i gotów był na wszystko, by go nie stracić. Jednak realnie rzecz biorąc, jedynym wyjściem było znalezienie żony na tyle zamożnej, by jej wiano pozwoliło postawić Dinniegray na nogi. Ian szukał kandydatki, ale w Szkocji takie kobiety były rzadkością nie mniejszą od pawi.

Juliana była córką młodszego z synów barona, więc mógł się spodziewać, że jej wiano będzie skromne. Z drugiej strony jednak, sądząc z jej stroju, na pewno nie była biedaczką.

W pewnej chwili chciał nawet spytać przyjaciela, co Juliana wniesie w posagu, ale nie zrobił tego. Cała okolica знаła położenie

Dunniegray i Ian wiedział, że z gruntu uczciwy człowiek, jakim był Alan, nie proponowałby mu poślubienia Juliany, gdyby nie widział w tym jakiejś korzyści dla obu stron.

Jeśli Ian od razu zacząłby wypytywać go o sprawy majątkowe, Strode mógłby się poczuć urażony. Lepiej będzie poczekać do chwili, gdy cała sytuacja się wyjaśni.

Ian uśmiechnął się do swoich myśli i jednym łykiem dokończył piwo.

- Kąpiel i suche ubranie na pewno pomogą mi w urzeczywistnieniu naszych planów - zasugerował, odstawiając kufel na stół. - Zajrzyj do swojej skrzyni i zobacz, czy nie ma w niej jakiegoś stroju, w którym wyglądałbym jak cywilizowany człowiek. Ja ze swej strony jestem gotów natychmiast przystąpić do zalotów.

Juliana postanowiła stanowczo, że nie będzie myśleć o mężczyźnie, którego przed chwilą poznała. Te błyszczące oczy ponad wszelką wątpliwość zdradzały płaski, niezbyt wyrafinowany dowcip. Jego śmiech był irytująco hałaśliwy. Zwłaszcza gdy śmiał się z niej.

Zresztą, czego można było się spodziewać po Szkocie? Nie będzie więcej o nim myśleć.

Powinna zająć się kuchnią.

- Co ty wyprawiasz?! Jeśli będziesz tak skubał to biedne prosię, nie będziemy mieli jutro co podać gościom! - zbesztła kuchcika, ale natychmiast pożałowała ostrych słów. Biedak był po prostu głodny. -

Możesz wziąć sobie kawałek ciasta - dodała łagodniejszym tonem. - Ale tylko jeden, pamiętaj!

- Bacz, co robisz, Ethyl! - upomniała dziewczynę zagniatą ciasto. - Mąki, którą rozsypałaś wokół stołu, starczyłoby na jeszcze jeden bochenek.

- Wynocha stąd! - krzyknęła na ogara, który łakomie węszył zapach pieczeni, i tupnęła, by przegonić zwierzę.

Kiedy wystraszony pies czmychnął, wreszcie się uspokoiła. Tego właśnie potrzebowała. Miała ochotę grzmotnąć w coś pięścią. Obojętnie w co. Była rozdrażniona.

Wiele by dała, by móc przepędzić tego Graya, tak jak przegoniła przed chwilą psa. Tak wspaniałe byłoby usłyszeć, jak prostacki rechot tego gbura zmienia się w pisk i skomlenie. Na razie jednak miała ważniejsze sprawy na głowie.

Utrzymanie porządku w kuchni przypadło jej w udziale właściwie przypadkiem. Po prostu Honor rzadko kiedy zawracała sobie głowę pilnowaniem, by ludzie właściwie wykonywali swoje obowiązki. Żona jej kuzyna była słodka, ale mało praktyczna i zbyt pobłażliwa wobec służby.

Czasem Juliana chciałyby, żeby krewni poświęcali jej równie mało uwagi, jak służbie. Tymczasem oni, jakby na złość, za najważniejsze swe zadanie uznali znalezienie jej męża. Dobrze wiedziała, że właśnie w tym celu zaprosili tego nieokrzesanego Graya.

Wielki Boże, sądząc po nim, ci Szkoci gotowi byli nadawać tytuły szlacheckie każdemu, kto tylko zechciał. Ian Gray miał tak długie

włosy, jakby się nigdy w życiu nie strzygł, a poza tym, niczym jakiś barbarzyńca, wplatał w nie wstążki na skroniach.

To prawda, że jego rysy zasługiwały na uwagę. Piwne oczy, usta, które tak łatwo składały się do uśmiechu, i białe, równe zęby. Najbardziej zaskakujący był nos. Można by się spodziewać, że tak bezczelny mężczyzna co i rusz wdaje się w bójki, na czym powinna była ucierpieć jego fizjonomia.

A tymczasem nos Iana był zdumiewająco prosty, aż nadto doskonały. Poza tym ten cały Gray był dla niej za duży, zbyt wysoki i taki okropnie szeroki w barach. Krótko mówiąc, był pozbawionym manier wielkoludem, ubranym jak parobek ze stajni. Co prawda, gdyby się nim zająć i trochę o niego zadbać...

O czym ona, u diabła, myśli, wzdrygnęła się nagle. Co ją obchodzi cały ten Ian? To jasne, że myślał o ożenku. I chciałby za żonę właśnie Julianę. Wiele by mu przyszło z takiej połowicy, pomyślała zirytowana. Zresztą nawet gdyby straciła zdrowy rozsądek i zdecydowała się wyjść za niego, i tak nie mogłaby przyjąć jego oświadczyn.

Kobieta wychodząca za mąż bez wiana była zwykłą oszustką. A grubo ciosany sąsiad Alana może i był prostakiem, ale wyglądał na uczciwego człowieka. Na szczęście nie miała najmniejszego zamiaru wychodzić za mąż, ani za sir Iana, ani za nikogo innego. Odkąd przestała być dzieckiem, wiedziała, że nie może sobie pozwolić na taki luksus.

Co zrobi jej kuzyn, gdy Juliana odrzuci oświadczyny Graya?

Wypędzi ją z Byelough? Odeśle do klasztoru?

Zgodnie z przyjętymi obyczajami klasztor był najbardziej prawdopodobnym rozwiązaniem problemu, jaki stanowiła dla swoich krewnych. Bez wiana nie zechcą jej nawet zakonnice.

I chwała Bogu.

Gdy ktoś dotknął jej ramienia, aż podskoczyła w miejscu. Natychmiast odwróciła się, by zobaczyć, kto znów ośmiela się ją zaczepiać.

- Pani Honor! Okropnie mnie, pani, nastraszyłaś!

- Byłaś tak pogrążona w myślach, jakbyś o bożym świecie zapomniała. Przede wszystkim przestań mnie tytułować, jakbym była żoną jakiegoś wielkiego pana, bo dam ci w ucho!

Juliana roześmiała się, mimo że wcale nie było jej do śmiechu. Żona kuzyna Alana potrafiła każdego oczarować swoim pogodnym uśmiechem i dowcipem. Być może Honor poradziłaby jej coś, gdyby Juliana zwierzyła się jej ze swoich trosk.

- Czy możemy szczerze porozmawiać?

- Wolę szczerą rozmowę od nedorzecznej paplaniny. O co chodzi? - Honor sięgnęła po jeszcze ciepłą babeczkę, przełamała ją i podała kuzynce połowę.

Juliana podziękowała i ujęła ciastko czubeczkami szczupłych palców.

- Wasz gość jest przystojnym mężczyzną, pani, ale nie chcę go na męża.

Honor zaśmiała się w odpowiedzi i ze smakiem ugryzła świeże ciasteczko. W jej szarych oczach pojawił się wyraz głębokiego zadowolenia.

- Ian byłby doskonałym mężem - odpowiedziała pogodnie.

- Mówię poważnie, Honor! - ostrzegła Juliana. - Wiem że ty i mój kuzyn chcielibyście się ode mnie uwolnić, ale...

- Uwolnić się od ciebie? - Honor popatrzyła na nią zaskoczona. - Skąd ci to przyszło do głowy? Przecież wiesz, że oboje cieszymy się z twojej obecności!

Juliana pokręciła głową.

- Wiem, jak się zapatrujesz na... na to, jak ja...

- Musztrujesz moje wojsko? - zaśmiała się Honor, oblizując palec, na którym zostało trochę miodu, po czym rozejrzała się po kuchni. - Tak naprawdę to jestem ci wdzięczna za to, że wyręczasz mnie w obowiązkach.

Oczywiście nie dodała, że służba w Byelough nie podziela jej zapatrywań. Juliana czuła, że ludzie nie cierpią jej za to, że ciągle się we wszystko wtrąca. Była zresztą pewna, że Honor i Alana również to irytuje, ale są zbyt grzeczni, by o tym wspominać. Prostszy i bardziej elegancki rozwiązaniem było wydać ją za mąż i w ten sposób przerzucić problem na cudze barki. Najlepiej - na Iana Graya, o ile się tylko na to zgodzi.

Kiedy Honor podeszła do ustawionej pod ścianą ławy i usiadła, Juliana przycupnęła tuż obok.

- Zrozum mnie, pani. Kiedy mieszkałam u stryja Adama, przywykłam wszystkim się zajmować. Gdy stryj wrócił do Gloucester, jego żona nie miała wiele doświadczenia, jeśli chodzi o prowadzenie tak dużego gospodarstwa. A poza tym była zaprzątnięta opieką nad dzieckiem.

Honor uśmiechnęła się i pokiwała ze zrozumieniem głową.

- Wcześniej także miałam wiele obowiązków. Mój ojciec nie najlepiej sobie radził z rachunkami i z całą tą żmudną robotą, jaką musiał wykonywać jako burgrabia. Często mu pomagałam. - Juliana zawahała się przez chwilę. - Przyzwyczaiałam się do tego, a nawet to polubiłam. Teraz także lepiej się czuję, kiedy zamiast siedzieć wam beczynnie na karku, robię coś pożytecznego. Może czasem po prostu trochę przesadzam, jestem za surowa, ale obiecuję poprawę.

Honor wzięła Julianę za rękę.

- Ale widzisz, powinnaś wyjść za mąż. Kierując własnym gospodarstwem, czułabyś się na pewno lepiej. Dlaczego nie chcesz nawet rozważyć zamążpójścia za Iana? To dobry człowiek i przystojny mężczyzna. Potrzeba mu takiej żony jak ty, która zajęłaby się domem.

Juliana wstała z ławki, jakby chciała uciec od Honor i jej rad.

- Dwadzieścia pięć lat to wiek, w którym trudno się zmienić. Taki mężczyzna jak Ian chciałby na pewno narzucać we wszystkim swoją wolę. Nie zniósłby myśli, że mogę się na czymś znać lepiej od niego. - Choćby najskromniejsze wiano, żeby wiedział, że jestem cokolwiek warta, krzyczało coś w jej sercu, ale nie powiedziała tego głośno. -

Nie mogę dać mu tego, czego potrzebuje. Proszę cię, pani, wytłumacz to swemu mężowi!

Kiedy skończyła, wybiegła z kuchni, nie oglądając się za siebie. Resztę wieczoru spędziła zamknięta w swojej izbie, haftując kapę na ołtarz do kaplicy zamkowej, której budowa dobiegała właśnie końca. To nużące, samotne zajęcie stanowiło pokutę, jaką zadawała sobie, ilekroć zdarzyło jej się w sposób zanadto rażący wyjść z roli, jaka przystała ubogiej krewnej.

Wiedziała, że Alan i Honor są zmęczeni jej zachowaniem. Powinna być bardziej pokorna. Na takich rozmyślaniach minął jej czas do kolacji. Kiedy nadeszła pora, by zejść na dół, nerwy Juliany były tak stargane, jak gęsta woalka, którą nosiła na włosach.

Ubierając się starannie, powtarzała sobie w duchu, że robi to tylko po to, by nie przynieść wstydu swemu kuzynowi i jego żonie. Pragnienie, by raz jeszcze ujrzeć podziw i zachwyt w oczach ich gościa, nie miało nic do rzeczy, wmawiała sobie, zakładając bladożółtą suknię i brokatową narzutkę.

Zapięła prosty, wąski pasek i wsunęła stopy w miękkie, skórzane trzewiki. Na koniec przyczepiła na piersi broszę ze szmaragdami, najcenniejszą pamiątkę po zmarłej matce.

Ubierając się tak strojnie, trochę poprawiała sobie mocno nadwątlone samopoczucie, ale prawda była taka, że prócz trzech pięknych i drogich sukien, które kiedyś nosiła jej matka, i wspaniałej broszy, nie posiadała niczego, co ugruntowałoby ją w poczuciu własnej wartości.

ROZDZIAŁ DRUGI

Juliana spóźniła się na kolację, przez co ściągnęła na siebie ogólną uwagę. Bardzo była z tego niezadowolona, bo miała nadzieję, że zdoła się wślizgnąć nie zauważona.

- Ach! Jaka okrutna jesteś, każąc na siebie tak długo czekać! Przyjdź tu i usiądź obok mnie. Możesz wypić całe wino, bo ja będę się upajał twoim widokiem - powitał ją Ian Gray.

- Koncept godny kapuścianej głowy - mruknęła pod nosem, zajmując wskazane miejsce.

Siadając, zebrała suknię, tak by nawet przypadkiem nie dotknąć Iana. Od razu poznała marszczoną płócienną koszulę i kaftan z miękkiej zielonej wełny. Zastanawiała się, czy Ian pożyczył ubranie od Alana po to, by zrobić na niej lepsze wrażenie, czy po prostu dlatego, że jego własne było zupełnie przemoczone.

- Bądź pani równie śmiała w swych komplementach, jak ja jestem. Zatem jesteś miłośniczką kapusty?

Juliana z trudem powstrzymała uśmiech. Jego zbytnia pewność siebie powinna ją rozzłościć, a tymczasem szczerze ją rozbawiła.

- Przypominasz mi kota, którego kiedyś miałam - odpowiedziała oschle.

Ian splótł palce, oparł łokcie na stole i spojrzał na nią spod oka.

- Koty to sprytne stworzenia - zauważył.

- Podstępne i skłonne do złego, powiedziałabym raczej. Ten, o którym myślę, natychmiast wyczuwał, kto go nie lubi i pchał się takiej osobie prosto na kolana.

- Łatwo się zaprzyjaźniał? - Ian uniósł brew.

- Na ogół lądował w drugim kącie komnaty - odpowiedziała słodko.

Jego niski śmiech sprawił, że przebiegł ją dziwny dreszcz. To było nawet całkiem przyjemne.

- Założę się, że spadał na cztery łapy i wracał tam, skąd go przed chwilą wyrzucono.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Skłoniła głowę, uznając jego chwilową przewagę.

Nachylił się ku niej, zadowolony z wygrania pierwszej potyczki.

- Przyznaj, że jak na szczurołapa z kapuścianą głową...

- No dobrze - przerwała mu. - Przyznaję, że twoje żarty są dosyć zabawne. Domyślałam się, że umiesz mrużyć niczym przymilny kocur.

- Wielkie dzięki! Czy nie boisz się, że twoje komplementy uderzą mi do głowy i odważę się zabiegać o twą rękę?

Pochyliła się ku niemu, przyjrzała bacznie kawałkowi sera, który Ian podał jej na czubku noża, i przyjęła poczęstunek.

- Powiem ci wprost, sir Ianie, tracisz tylko czas. Szukaj gdzie indziej, ja nie zamierzam wychodzić za mąż.

Nachylił się ku niej tak blisko, że ich nosy niemal się dotknęły.

- Nie przypominam sobie, bym prosił cię o rękę, pani. Może ten kot wciąż jeszcze przenosi się z jednych kolan na drugie, szukając takich, które okażą się najbardziej przyjazne.

Juliana odsunęła się od niego, starając się ukryć zmieszanie. Odwróciła głowę i spojrzała na Alana, który patrzył w inną stronę,

udając, że nie słyszał ani słowa z ich rozmowy. Żałowała, że nie może wstać od stołu, nie wywołując komentarzy. Nie miała innego wyjścia, jak dotrwać jakoś do końca kolacji.

Nawet jeśli jej słowa zaboląły Iana, to niczego nie dał po sobie poznać. Przez resztę wieczoru zabawiał ją jak doświadczony dworak. Może i brakło mu znajomości wytwornych manier, lecz z powodzeniem nadrabiał to szczerością i wdziękiem rzadko spotykanym u mężczyzn tak potężnej postury.

Gdy tylko przestał ją czarować, Juliana odkryła, że rozmowa z nim jest całkiem przyjemna. Jednak z drugiej strony łatwość, z jaką odstąpił od prób zdobycia jej serca, sprawiła jej pewien zawód.

Kiedy skończyli gruszki w sosie z białego wina, Kit wdrapała się na kolana Graya. Sprawiają wrażenie starych przyjaciół, zauważyła zaskoczona Juliana. Ian zdawał się szczerze cieszyć z towarzystwa małej.

- To co, ożenisz się teraz z ciocią Jules? - spytała Kit, bawiąc się tasiemkami jego kaftana.

- Twoja ciocia mówi, że mnie nie chce, ale myślę, że tylko się ze mną przekomarza.

Dziewczynka roześmiała się i uszczypnęła Iana w kark.

- A wpadłeś po uszy, jak spodziewał się tata? Bo ja nie zauważyłam.

- Obawiam się, że tak, skarbie. Za późno wślizgnęłaś się za mną do sieni, kiedy przyjechałem. To wszystko stało się tak szybko, że sam byłem zaskoczony.

Juliana spojrzała na niego spod oka. To, co usłyszała, odjęło jej mowę. Czy to może być prawda? Czy rzeczywiście mogła wywrzeć na nim tak silne wrażenie? Na zupełnie obcym mężczyźnie, który pierwszy raz widział ją na oczy? Czy znów sobie żartował? Miał kpiącą minę, ale kiedy na nią patrzył, w jego ciemnych oczach było wiele czułości. Czułości i pragnienia.

Tym łatwiej rozpoznała jego uczucia, że czuła to samo. Nie wobec niego oczywiście, zastrzegła się szybko, ale tak w ogóle. Pewnie po prostu potrzebował miłości i tak się złożyło, że los zetknął go z równie samotną kobietą. Może naprawdę mu się wydało, że Juliana jest dla niego jak stworzona? Powinna mu czym prędzej wybić ten pomysł z głowy.

Gdyby jeszcze tylko wiedziała, jak to zrobić. Nigdy dotąd żaden mężczyzna nie okazywał jej równie otwarcie swego zainteresowania. Dla dziewczyny w jej latach było to nie lada przeżycie.

Jednak nawet gdyby odczuwała najsilniejszą pokusę, by przekonać się o prawdziwej sile jego uczuć i zgłębić własne, wiedziała, że nie starczy jej na to odwagi. Sir Ian jasno dał jej do zrozumienia, że szuka żony. Byłoby okrucieństwem zwodzić go, skoro i tak nie mogła wyjść za niego za mąż. Musiała wymyślić jakiś sposób, by uświadomić mu, że nie warto tracić czasu na zaloty.

Popatrzyła na niego. Ian pocałował małą Kit w czoło i postawił na posadzce.

- Pora spać, szkrabie.

- Opowiesz mi jakąś historię, wujku Ianie?

- Nie dzisiaj, kochanie. Ale poproszę cię o coś. Kiedy już położysz się do łóżka, zamknij oczy i wymyśl jakąś bajkę dla mnie. Jutro rano mi ją opowiesz, dobrze?

- Tak! Opowiem ci o tym króliku, którego mi narysowałeś.

Nim odeszła, Kit zarzuciła jeszcze ręce na szyję Julianie.

- Dobranoc, ciociu Jules.

- Miłych snów, Kit - odpowiedziała miękko.

Oboje patrzyli, jak Honor wstała i odeszła z dzieckiem. Wkrótce Alan również ich przeprosił. Zostali sami przy stole.

Wokół było niemal zupełnie pusto. Większość ludzi udała się na spoczynek, gdy tylko wieczerza dobiegła końca. Następnego dnia wszystkich od samego rana czekało sporo zajęć. Sień wypełni się dzierżawcami i ludźmi szukającymi sprawiedliwości przed sądem Alana Strode'a, a po południu wszyscy zasiądą do wspólnego posiłku.

To był bezpieczny temat do rozmowy.

- Słyszałam, że jutro będziemy tu mieli, prócz Meliora, również innych grajków - powiedziała Juliana.

- Tak, grajków i zonglerów. Wędrują z miejsca na miejsce w poszukiwaniu zarobku. Mam nadzieję, że gdy zagrają, zaszczycisz mnie wspólnym tańcem, pani. - Ian wstał z ławy i podał jej rękę. - Lubisz tańczyć?

- Tak - odpowiedziała, z trudem chwytając oddech.

Kiedy ujął ją za dłoń i poczuła jego ciepłe dotknięcie, ledwie stłumiła westchnienie. Ile to czasu upłynęło, odkąd jakiś mężczyzna

trzymał ją za rękę? I czemu nigdy wcześniej nie odczuła głębokiej intymności tego gestu? Choć już stała, Ian nie wypuścił jej dłoni z rąk.

- Skoro dziś nie ma muzyki, a jeszcze jest zbyt wcześnie, by iść spać, czy wybierzesz się ze mną na spacer? - spytał.

Roześmiała się, by ukryć zmieszanie.

- Na spacer? W taki deszcz? Za nic w świecie!

- Wyjdziemy do ogrodu. Możemy usiąść w altanie, pod dachem. Kwiaty na pewno pięknie pachną. Zresztą pogoda się już poprawiła. Co ty na to?

Juliana zawahała się. Właściwie powinna odmówić, ale pomyślała, że jeśli wyjdą do ogrodu, będzie miała okazję porozmawiać z nim o tym nieszczęsnym małżeństwie, do którego wszyscy ich nakłaniali.

- Dobrze - zgodziła się i ruszyła w kierunku kuchni, przez którą trzeba było przejść, by wyjść do ogrodu.

Ian dał znak służącej, która stała w cieniu, trzymając ich okrycia. Zbliżając się, Berthilde uśmiechnęła się szeroko. Wszyscy spiskują przeciwko mnie, westchnęła w duchu Juliana. Nawet służba. Kiedy pomyślała o tym, jak ich musztruje, odkąd przyjechała do Byelough, przyszło jej do głowy, że nie powinna się dziwić temu, że chcą się jej pozbyć.

- Zaplanowałeś to sobie, zanim mnie jeszcze zaprosiłeś - powiedziała, narzucając na ramiona wełnianą pelerynkę z futrzanym kołnierzem.

- Miałem nadzieję, że mi nie odmówisz - uśmiechnął się, narzucił na ramiona oponczę i podał Julianie ramię.

Niepewnie pokręciła głową, gdy szli obok siebie do ogrodu, jedyne miejsce w Byelough, poza własnymi sypialniami, w którym mogli porozmawiać bez świadków.

Nie mogła opędzić się od myśli, które same cisnęły się jej do głowy. Ach, gdyby miała szkatułkę pełną złota, jakiś mały majątek, gdyby była zdolna do podjęcia ryzyka oddania się mężczyźnie, wszystko wyglądałoby zupełnie inaczej. Żarliwość tego pragnienia zaskoczyła ją, bo nigdy dotąd nie nawiedzały jej takie marzenia.

- No i widzisz? Przestało padać - zauważył Ian, gdy znaleźli się na zewnątrz.

Poprowadził Julianę po kamiennych płytach między cieplarniami w kierunku rabatek, na których rosły jesienne kwiaty. Była tam altana przylegająca do muru. W głębi trzymano narzędzia ogrodnicze, obok zaś stał długi stół i ławy.

- Lubię tu siedzieć latem z Alanem i Honor i patrzeć, jak dzieci się bawią - powiedział. - Jest tak spokojnie i cicho.

- Tak, wiem. Adam próbuje jeść wszystko, co mu wpadnie w ręce... - poskarżyła się Juliana, wzdrygając się na myśl o tym, co malec ostatnio zrobił. - A w ubiegłym tygodniu w ostatniej chwili zabrałam mu świerszcza, którego właśnie zamierzał wpakować sobie do buzi.

- To znaczy, że będzie myśliwym, zobaczysz! - roześmiał się Ian.
- Świetny chłopak, ten nasz Adam.

- Czy jego także trzymałeś do chrztu? - spytała, odwlekając chwilę, gdy trzeba będzie wreszcie przejść do rzeczy.

- Tak. Alan powiedział, że skoro i tak wciąż odwiedzam Byelough, by widzieć się z Kit, to mogę równie dobrze zostać ojcem chrzestnym małego. Staram się bywać tu przynajmniej dwa razy w miesiącu, a ojciec Dennis opowiada mi, co się działo podczas mojej nieobecności. Być chrzestnym to poważna sprawa.

- Kochasz dzieci - zauważyła i natychmiast pożałowała, że nie ugryzła się w język. Przestraszyła się, że Ian potraktuje jej słowa jako zachętę.

Bawił się jej palcami, a ona pozwalała mu na to. Wiedziała, że popełniła błąd, siadając tak blisko niego. A poza tym było to stanowczo zbyt śmiałe zachowanie, jak na tak krótką znajomość.

Pachniał mydłem o aromacie drzewa sandałowego. Poznawała ten zapach, a jednak w jakiś szczególny sposób jej zmysły łączyły go z Ianem i choć chciała się temu oprzeć, aromat przyciągał i kusił.

Rozejrzał się po ogrodzie i wciągnął w nozdrza zapach róż.

- Alan i Honor są bardzo szczodrzy, dzieląc się ze mną swoimi dziećmi. Mam nadzieję, że będę mógł odwzajemnić się im... niedługo.

Mówiąc ostatnie słowa, odwrócił się do Juliany i spojrzał jej w oczy. Mimo zmroku wyraźnie zrozumiała jego spojrzenie. Chciał mieć kasztel pełen małych Grayątek. I spodziewał się, że to ona mu je urodzi.

- Powodzenia - powiedziała cicho.

Przygryzła wargi. Nikt dotąd nie troszczył się o to, czy pragnie wyjść za mąż i mieć dzieci. Nawet ona sama pogodziła się z myślą, że nigdy nie zazna uroków rodzinnego życia.

Dopiero zaloty Iana Graya uzmysłowiły dziewczynie, w jak ponurych barwach maluje się jej przyszłość. Wiedziała, że musi znaleźć jakiś sposób, by zniechęcić Iana do dalszych zalotów, nie zdradzając jednak prawdziwego powodu, dla którego nie mogła go poślubić.

Gdyby wiedział, że jest nędzarką, na pewno zmieniłby zdanie. Obawiała się jednak, że prędzej umarłaby ze wstydu, niż potrafiłaby wyznać prawdę. Alan wspomniał wprawdzie podczas ich pierwszej rozmowy, że odpowiednio ją uposaży, ale nie mogłaby przyjąć od niego takiego daru. Byli wprawdzie krewnymi, ale ledwie się znali.

Zastanawiała się, co mogłoby zniechęcić Iana do małżeństwa. Jak sprawić, by zrezygnował ze swych planów, nie mówiąc mu przy tym prawdy? Nie potrafiła się oszpecić; zresztą spojrzenie Iana mówiło jej aż nadto wyraźnie, że był pod wrażeniem jej urody.

Na pewno zniechęciłaby go wiadomość, że Juliana nie ma pojęcia o prowadzeniu gospodarstwa, ale na to również było za późno. Stryj wychwalał ją w liście, który przysłał Alanowi, a ona sama postarała się o to, by potwierdzić tę pochlebną opinię.

Co jeszcze jej zostało? Wierność! Tego jej było trzeba! Żaden mężczyzna przy zdrowych zmysłach nie zechce za żonę rozpustnicy. Jeśli uświadomi Ianowi, że jest kobietą lekkich obyczajów, ten na pewno jak niepyszny natychmiast czmychnie z Byelough.

Najlepsze było to, że Ian zapewne nigdy nie zdradzi Alanowi prawdziwej przyczyny, dla której zrezygnował z małżeństwa. Nie będzie chciał urazić przyjaciela, rzucając oskarżenia pod adresem jego kuzynki. Zapewne posłuży się jakąś inną wymówką, a Juliana będzie wolna. Doskonale!

W duchu pogratulowała sobie przebiegłości. Na razie wołała nie myśleć o tym, jak się poczuje, kiedy już będzie po wszystkim. Ian Gray zachowa ją w pogardzie do końca życia. Trudno, trzeba się poświęcić dla ich obopólnego dobra. Nie posiadając posagu powinna jak najszybciej pogodzić się z myślą, że nigdy nie wyjdzie za mąż.

Teraz pozostawało jej tylko zdecydować, od czego zacząć.

Ian przypatrywał się Mianie w milczeniu. Na twarzy dziewczyny odmalowało się rozczarowanie, potem troska, wreszcie zadowolenie. Nie wiedział, o czym myślała, ale miał nadzieję, że to ostatnie uczucie odnosi się do jego osoby. By przekonać się o prawdziwości swoich domysłów, nachylił się i musnął ustami jej policzek.

Ku jego zaskoczeniu Juliana odwróciła się do niego i rozchyliła usta. Nim zdążył zareagować, zarzuciła mu ręce na szyję.

Ian nie był mężczyzną, który odtrąciłby takie zaproszenie.

Przygarnął Julianę i pogłębił pocałunek. Przyłgnęła do niego, poddając się jego pieścizotom. Ian całował dziewczynę, dopóki nie poczuł, że jeszcze chwila i zupełnie się zapomni. Z wysiłkiem oderwał wargi od jej słodkich ust.

Oboje ciężko oddychali. Ian milczał. Patrzył Julianie w oczy i zastanawiał się, co wywołało w niej ten wybuch namiętności.

Nie zrobił niczego, co mogłoby ją sprowokować, a jednak nawet w panującym półmroku widział, że oczy dziewczyny błyszczą podnieceniem. Usta miała lekko rozchylone, jakby czekała na dalsze pocałunki. Ian nie zniósłby myśli, że rozczarował damę, więc spełnił jej niemą prośbę. Starał się jednak panować nad sobą, bo miał świadomość, że mogliby zabrnąć za daleko, a tego dziewczyna na pewno by potem żałowała.

Tymczasem jej drobne dłonie wsunęły się pod opończę i z rozkoszną powolnością zaczęły gładzić jego kark i ramiona. Poczul, że robi mu się gorąco. Jeszcze chwila i weźmie ją tu, na twardej ławce w altanie. Nie, to niedorzeczność, zganił się w duchu. Juliana jest kuzynką Alana, kobietą, którą miał pojąć za żonę.

Odsunął głowę. Westchnęła rozczarowana, a było w tym tyle żalu, że omal nie zmienił decyzji.

- Nie tutaj, kochanie - szepnął. - Czy przyjdiesz do mojej izby? Czy może wolisz, żebym przyszedł do ciebie?

Nie odpowiadała. Jej urywany oddech wydał się Ianowi dostatecznie wymowny. Było oczywiste, że Juliana zupełnie straciła głowę. Nie mógł się dość nacieszyć myślą, że dziewczyna pożąda go równie mocno, jak on jej pragnął. Tak bardzo, że gotowa była zapomnieć o wszelkiej ostrożności, ulegając jego żądom.

Tyle tylko, że on nie zrobił właściwie niczego, by ją do tego nakłonić. Nie zdążył. Planował niewinny pocałunek w policzek, który pozwoliłby mu się zorientować, czy dziewczyna jest mu przychylna.

Potem to ona przejęła inicjatywę, narzucając tempo, które zupełnie go oszołomiło.

- Słodka zniewaga - mruknął do siebie.

Uniósł ręce i ujął w dłonie twarz Juliany.

- Juliano, kochanie, będzie nam dobrze jak w niebie, prawda?

- Nie mogłam się powstrzymać - odpowiedziała, uśmiechając się do niego słodko. - Zawsze tak ze mną jest. Pierwszy pocałunek i zupełnie tracę głowę.

Zaśmiała się cicho i pokręciła głową.

- Powinnam się już była nauczyć, że nie mogę... No cóż...

Ian poczuł, że oddech więźnie mu w gardle. Odsunął się od Juliany, by lepiej jej się przyjrzeć.

- Zawsze?

- Och, tak - przyznała z figlarnym uśmieszkiem. - Ojciec powtarzał mi, że powinnam nauczyć się panować nad swoją zepsutą naturą, bo podążam ku zgubie. Może małżeństwo istotnie okaże się najlepszym lekarstwem na moje przywary, jak sądzisz?

Nie odezwał się. Nie wiedział, co ma powiedzieć. Juliana wyrażała się dostatecznie jasno, a jednak jakoś nie potrafił dać wiary jej słowom.

- Być może - powiedział wreszcie z trudem. - Lubisz się całować?

- Uwielbiam! Ale wiesz, pocałunki to dopiero początek zabawy.

W sercu Iana zawrzała wściekła zazdrość. Kiedy wyobraził sobie Julianę w ramionach innego mężczyzny lub, jeśli jej wierzyć, w ramionach całej rzeszy kochanków, krew w nim zawrzała.

Całowała go wprawdzie dość nieporadnie, jakby nie miała zbyt wiele doświadczenia, ale... Po co miałyby go oszukiwać?

Rozsądek zwyciężył emocje i Ian ochłonął. Słowa Juliany nie znajdowały potwierdzenia w jej zachowaniu. Jeśli naprawdę tak lekko się prowadziła, powinna z ochotą przyjąć propozycję odwiedzenia Iana nocą w jego izbie, a tymczasem ona wyglądała na... bardziej zakłopotaną niż ucieszoną.

Nie potrafił jednak pojąć, czemu miała służyć jej gra. Jaka kobieta przy zdrowych zmysłach chciałaby uchodzić w oczach pragnącego jej mężczyzny za ladacnicę? Co chciała zyskać, wystawiając na szwank swe dobre imię? Jedynym sposobem, by się tego dowiedzieć, było ciągnąć dalej tę grę.

- Ilu ich było? - spytał, udając bardziej poruszonego, niż był w istocie.

Wzruszyła ramionami i położyła palec na brodzie, jakby liczyła w myślach.

- Och... jakichś dziesięciu lub jedenastu - zaśmiała się z przymusem. - Tak że byłbyś moim dwunastym rycerzem...

- A zatem przyjdiesz dziś nocą do mojej izby?

- Może powinniśmy poczekać, aż miną święta - zaproponowała nieśmiało. - Nie sądzisz, że to wielki grzech cudzołożyć w Boże Narodzenie?

Powiedziała to takim tonem, że z trudem powstrzymał śmiech. Teraz był pewny, że dziewczyna wszystko zmyśliła. Poczul taką ulgę, że miał ochotę... znów porwać ją w ramiona.

- A zatem nie chcesz zaliczyć tuzina rycerzy? - spytał kpiącym tonem.

- Nie... jestem dziś w nastroju - wykręcała się, wyraźnie zakłopotana.

- Nie jesteś w nastroju do ślubu? Nie jesteś w nastroju do miłości? Zaczynam podejrzewać, że wszystko to była tylko gra. Chcesz wzbudzić we mnie zazdrość, bym tym bardziej się zadręczał!

- Ależ skąd! Chciałam ci właśnie oszczędzić cierpienia. I nie mów mi już o małżeństwie. Jaki mężczyzna chciałby taką... rozpustnicę za żonę. - Nachyliła się do niego, jakby powierzała mu sekret. - Jesteś sąsiadem i przyjacielem mojego kuzyna. Alan z pewnością ma o tobie wysokie mniemanie. Gdyby nie to, nie oparłabym się pokusie. Wiesz... jesteś taki przystojny.

Ian z trudem się powstrzymał, by nie parsknąć śmiechem.

- Doprawdy? - Ujął jej twarz w dłonie i przesunął opuszką kciuka po lekko rozchylonych wargach. - A może jednak dasz się przekonać? Być może małżeństwo rzeczywiście okaże się najlepszym remedium na twoje... problemy. Przyjdź do mnie dziś w nocy. Będę cię kochać tak, że zapomnisz o wszystkich kochankach, jakich dotąd miałaś, Juliano. Co ty na to?

Rozbawiony patrzył, jak dziewczyna marszczy brwi, szukając kolejnej wymówki. Zajęło jej to dobrą chwilę.

- Nie, to niemożliwe. Boję się, że... sumienie nie dałoby mi spokoju, gdybym wyszła za ciebie za mąż. - Zerwała się z ławy. - Dobrej nocy, panie. Miłych snów.

Ian patrzył za nią, gdy szła pośpiesznie, niemal biegiem, przez ogród. Dopiero gdy zniknęła za drzwiami, podniósł się z ławy.

Był pewny, że Juliana kłamała, mówiąc o swoich kochankach. Wiedział przecież, dlaczego musiała uciekać z Anglii, i gotów był dać głowę za to, że nie prowadziła się lekko.

Więc czemu to wszystko wymyśliła? Ian uwielbiał zagadki.

Powoli wszedł po schodach na trzecie piętro północnej wieży, gdzie w małej izbie na trzecim piętrze zawsze sypiał, ilekroć gościł w Byelough. Izba Juliany znajdowała się w południowej wieży na drugim końcu kasztelu. Dziewczynie mogło się zdawać, że jest tam przed nim bezpieczna, lecz gdyby tylko zechciał, bez trudu dostałby się do jej łóża jeszcze tej nocy.

Ian jednak postanowił zaczekać. Ciekaw był, jak daleko Juliana posunie się w swojej grze. Obiecał sobie, że następnego dnia postara się wybadać ją, by poznać prawdziwe pobudki jej postępowania.

Na razie rozważał kilka możliwości. Przede wszystkim Juliana mogła nie chcieć wyjść za niego za męża. Być może dowiedziała się od Honor, jak mają się sprawy z Dunningray. W takim razie Ianowi trudno byłoby ją winić za to, że boi się biedy i trudów wspólnego życia.

Mogło być też i tak, że po prostu jej się nie podobał. To jednak nie wydawało mu się bardzo prawdopodobne. Juliana zdawała się szczerze pragnąć jego pocałunków, a wcześniej dobrze bawiła się rozmową i żartami, jakie wymieniali. Nie, gdyby o to chodziło, całe jej zachowanie byłoby inne.

Dziewczyna sprawiała wrażenie, jakby zarazem pragnęła go i bała się czegoś, czego nie potrafił odgadnąć. Być może chodziło o to, przyszło mu do głowy, że miała nadzieję wrócić do Anglii. Gdyby tak się sprawy miały, powinien uchronić ją przed jej własnym szalonym pomysłem.

Powrót do domu oznaczałby dla niej więzienie, a może i śmierć. Król Edward był pamiętliwy i z pewnością nie omieszkałby zemścić się za to, że Juliana odrzuciła jego faworyta. Kto wie, mogłaby nawet ściągnąć nieszczęście na całą swoją rodzinę.

Jedno wiedział na pewno. W całej Szkocji nie znajdzie się drugi mężczyzna, który tak chętnie troszczyłby się o nią jak on. A ponieważ powrót do Anglii nie wchodził w grę, musi uświadomić Julianie ten oczywisty fakt.

Następnego ranka Juliana nie przyszła na mszę. Jeszcze bardziej zdziwiło Iana to, że gdy na śniadanie służba wniosła bochny chleba, sery i mięsiwa i wszyscy zaczęli łapczywie się posilać, ciesząc się z zakończenia postu, dziewczyna również się nie pojawiła.

W powszechnym zamieszaniu i gwarze ludzie Alana przestawiali stoły i ławy, by przekształcić obszerną sień zamkową w miejsce sprawowania sądu. Ian spodziewał się, że lada chwila ujrzy Julianę, krzątającą się i doglądającą służby.

Honor wiele mu opowiedziała o energii i pracowitości dziewczyny. Z tego, co usłyszał, wynikało, że nikt lepiej od niej nie

umiałby zająć się sprawami Dunniegray. Tym bardziej przydałaby mu się taka żona, że sam nie radził sobie z prowadzeniem gospodarstwa.

Nie mając żadnych własnych spraw w sądzie, nie miał również ochoty słuchać sporów o skradzione gęsi, połamane pługi i powybijane podczas kłótni zęby. Wyszedł z kasztelu, zamierzając udać się na spacer. Liczył na to, że do obiadu wszystko się uspokoi i Juliana będzie mogła opuścić kuchnię, gdzie zapewne zajęta była szykowaniem potraw.

Kiedy minął stajnię, nieoczekiwanie ujrzał osobę, o której myślał przez pół nocy i cały ranek. Nie mógł tylko pojąć, co Juliana właściwie robi. Po co, u licha, chłopaki Taiga Loudena ciągną za nią wózek załadowany chwastami z powrotem do ogrodu? Kiedy cała trójka zniknęła za bramą, Ian zakradł się niepostrzeżenie za nimi i zajrzał przez nie domkniętą furtkę. Juliana tłumaczyła coś chłopcom i komenderowała nimi jak urodzony dowódca.

- Przynieś dwa razy tyle wiader wody, ile jest grządek, Peter. Dwa wiadra na grządkę, rozumiesz? - spytała, a gdy chłopak kiwnął głową, zwróciła się do jego brata: - Ty Johnny pomożesz mi sadzić rośliny. Będziesz kopał dołki głębokie na dwie dłonie, a ja będę wkładać sadzonki i zakopywać. No, ruszcie się, chłopaki, bo nie mamy czasu do stracenia!

- Co wy tu sadzicie? - spytał Ian, podchodząc do nich.

- Och, sir Ian! - krzyknęła, zaskoczona jego widokiem. - Ziola, Zebrałam je z chłopcami w lesie.

- Nie najlepiej wybrałaś sobie porę na sadzenie. Wymarzną, nim zapuszczą korzenie.

Pokręciła głową.

- Nakryję je słomianymi matami. Nic im się nie stanie.

- Wobec tego zostaw robotę chłopakom i chodź do kasztelu, zjedz coś. Nie było cię na śniadaniu.

Wyciągnął do niej rękę.

- Nie mogę, to dla mnie ważniejsze. Ale skąd ty się tu wziąłeś? Sądy przecież dopiero co się zaczęły.

- Nie mam żadnych spraw w sądzie i nie jestem ciekaw cudzych sporów. Za to ty, pani, zaciekawiasz mnie coraz bardziej. Dlatego tu jestem!

Rozłożył ręce, by pokazać, że oddaje się do jej dyspozycji. Juliana machnęła tylko niecierpliwie dłonią.

- Nie mam teraz czasu, sir Ianie. O naszych sprawach rozmawialiśmy wczoraj. Idź, poszukaj sobie kogoś, kto jest równie znudzony jak ty. Mała Berthilde na pewno będzie uszczęśliwiona, jeśli szepniesz jej kilka miłych słówek.

- Nie mówże mi o Berthilde! - zachnął się Ian. - Nie będę zawracał głowy służącym Alana.

- To nie zawracaj głowy i mnie - rzuciła krótko. - Jestem teraz zajęta moimi uprawami.

- To już nie dość ci rządów w kuchni? A co ty tu właściwie masz, dziewczyno? Przecież te zielska nic nie są warte. - Ian przyjrzał się

uważniej leżącym na wózku roślinom i wykrzyknął: - Co ty tu nazwoziłaś? Przecież to piołun! Diabelskie ziele!

Rzuciła mu lekceważące spojrzenie.

- Piołun pomaga na wiele chorób, trzeba tylko wiedzieć, jak go stosować.

Ian jeszcze raz przyjrzał się roślinom.

- Naparstnica? Jesteś zielarką, Juliano?

- Wiem co nieco o ziołach - przyznała niechętnie. - Niewiele, ale...

- Ano właśnie - przerwał jej szyderczym tonem, kręcąc głową. - Niewiele. Peter, Johnny - rozkazał nie znoszącym sprzeciwu tonem - wywieźcie te śmieci z powrotem tam, skąd je ściągnęliście, zanim dzieci się tym potrują. A ty lepiej zajmij się tym, na czym się znasz, zanim narobisz nieszczęścia.

Nic nie odpowiedziała. Popatrzyła na niego smutno i odwróciła się bez słowa. Ian ruszył do kasztelu, ale nim tam doszedł, zawrócił.

Coś mu mówiło, że popełnił błąd.

Teraz wiedziała na pewno, że dobrze zrobiła, odrzucając jego zaloty. Ian umiał być czarujący, kiedy czegoś chciał, ale w gruncie rzeczy był taki sam jak inni mężczyźni. Anglicy czy Szkoci - wszyscy są siebie warci. Przemądrzali i arogancy, jakby pozjadali wszystkie rozumy.

Czy sir Ian nie mógł przynajmniej spytać, jak zamierzała zabezpieczyć swoje grządki? Czy nie mógłby sam podsunąć jej jakiegoś pomysłu? Nie, łatwiej było wszystko wyrzucić.

A niechże idzie do czarta!

Tyle pracy na marne. Cały ranek zbierała te rośliny, a Ian przekreślił jej wysiłek jednym nierozważnym gestem. A już myślała, że uda jej się zarobić trochę pieniędzy, sprzedając zioła medykom w miasteczku. Nigdy wprawdzie nie zbierze ich dość, by uezierać na posag, ale dzięki temu nie czułaby się w Byelough darmożadem.

Dlaczego żadna z jej umiejętności nie przynosiła jej pożytku?

Bo jestem kobietą, pomyślała z goryczą. Umiała prowadzić gospodarstwo tak dobrze, by przynosiło zyski, ale żaden wielki pan nie chciałby dzielić się profitami z kobietą.

Na to byli zbyt dumni i zarozumiali!

Z trudem ubłagała kuzyna, by wydzielił jej w najdalszym kącie ogrodu kilka grządek, które zamierzała ogrodzić wysokim płotem. Że też ten jej piekielny zalotnik nie miał nic lepszego do roboty, niż uganiać się za nią od rana!

- Juliano! - rozległ się za nią głos Iana.

Nie odwróciła się. Nie miała ochoty widzieć go więcej na oczy.

- Juliano! Posłuchaj mnie!

Jednak w głosie Iana było coś szczególnego. Kiedy odwróciła głowę, napotkała jego przepaszający wzrok.

- Rozmawiałem przed chwilą z Peterem. Powiedział mi, że zamierzałaś ogrodzić swoje uprawy. Przepraszam cię. Chodź, pomogę ci sadzić twoje diabelskie ziółka.

- Nie zajmuj się mną, panie. Nie przystoi rycerzowi grzebać się w ziemi. To zajęcie w sam raz dla kobiet i wieśniaków.

- Jesteś na mnie zła.

- Jesteś, panie, nadzwyczaj przenikliwy! Prawdziwy znawca kobiecego serca.

- Juliano! - zagadnął jeszcze raz, nie zrażony jej złośliwościami. - Czemu sama wszystkiego mi nie wytłumaczyłaś?

A po co? - pomyślała z goryczą. Żeby doprowadzić do kłótni? Dopóki nie wymagała tego sytuacja, jak wówczas gdy król Edward chciał wydać ją za swego faworyta, wolała nie sprzeciwiać się mężczyznom. Już dawno nauczyła się, że ich emocje są równie silne co przelotne. Awanturowali się z byle powodu i równie szybko zapominali o całej sprawie.

Jakie to szczęście, że nigdy nie wyjdzie za mąż. Gdyby została żoną Iana, musiałaby słuchać go w każdej sprawie, niezależnie od tego, czy mówiłby z sensem, czy wściekałby się bezpodstawnie jak przed chwilą. Nigdy w życiu nie odda swojej wolności żadnemu mężczyźnie - ani królewskiemu fagasowi, ani dzikiemu Szkotowi ze wstążkami we włosach! Nikomu!

ROZDZIAŁ TRZECI

- Chodź, zatańcz ze mną - przymilał się Ian.

Przy skocznych dźwiękach fletu, bębenka i lutni nogi same rwały się do tańca. Jedna para po drugiej wstawiała z ustawionych pod ścianami ław i dołączała do tanecznego kręgu,

Juliana odmówiła z lodowatym uśmiechem.

Przez cały dzień boczyła się na Iana. Choć siedzieli obok siebie przy stole, nawet nie rzuciła na niego okiem, a ilekroć ją zagadywał, odpowiadała krótko i natychmiast podejmowała rozmowę z kimś innym. Kochał wyzwania, ale tym razem zaczynał wątpić w swoje szczęście.

Na domiar złego dręczyła go ciekawość. Ciągle jeszcze nie dociekł, jaki był powód wczorajszego zachowania Juliany. Wiedział już natomiast, że zdecydowanie wolał, gdy dziewczyna udawała pannę lekkich obyczajów, niż gdy traktowała go z zimną obojętnością - a tak właśnie było od porannego incydentu w ogrodzie.

Nie mógł odżalować, że tak nierozważnie ją rozzłościł. Skoro nie mógł jej udobruchać, postanowił spróbować z innej beczki.

- Po wieczery porozmawiam z Alanem - oznajmił, a gdy spojrzała na niego przestraszona, pociągnął spokojnie łyk wina i dodał: - O zaręczynach.

Chwyła go za ramię tak gwałtownie, że omal nie rozlał wina.

- Postanowiliśmy przecież...

- Niczego nie postanowiliśmy - odpowiedział łagodnie. - Jeśli sądziłaś, że twoje przygody z innymi mężczyznami zniechęcą mnie do małżeństwa, kochanie, to niestety muszę cię wyprowadzić z błędu.

Spojrzała na niego zaskoczona i przestraszona. Być może bała się, że Ian opowie Alanowi również o jej wczorajszym wyznaniu. Nie chciał trzymać jej w niepewności, postanowił zatem natychmiast rozproszyć obawy dziewczyny.

- Wiem, że nie jesteś zepsutą damą z wielkiego świata, Juliano.

- Ależ jestem! - zaprotestowała gorączkowo, po czym natychmiast rozejrzała się dokoła, przerażona, że ktoś mógł słyszeć ich rozmowę. - Wszystko, co powiedziałam, to prawda. Wystarczy, żeby pocałował mnie jakiś mężczyzna i mięknę, niczym ulepiona z wosku figurynka.

Nic na to nie poradzę! Jak myślisz, dlaczego pomimo mojego wieku wciąż nie jestem zamężna? Nie chciałbyś chyba ożenić się z taką kobietą jak ja. Pomyśl, jakie czekają cię przy mnie utrapienia! Nie będziesz mógł mi w niczym zaufać...

- Dajże spokój, Juliano - poradził jej łagodnie. - Wiem, że kłamiesz. Nie mam jednak pojęcia, czemu to robisz. Jeśli nawet raz czy dwa w życiu całowałaś się z jakimś chłopcem, nie mam ci tego za złe.

Przesunął palcem wzdłuż jej szyi i po obojczyku.

Bez słowa wstała i przesiadła się na inne miejsce. Uwielbiał ją, kiedy się tak rumieniła i unosiła wojowniczo podbródek. Tak chyba musiała wyglądać wtedy, gdy rzuciła wyzwanie samemu królowi. Podziwiał ją za to i jednocześnie miał wielką chęć przytulić ją mocno do serca.

- Zapewniam cię, że to nie były jedynie niewinne całusy - upierała się przy swoim.

- Udowodnij mi to - powiedział spokojnie, mierząc ją wyzywającym spojrzeniem. - Przyjdź do mnie dzisiejszej nocy, pokaż mi, jaka jesteś zepsuta. Odważysz się?

Tak jak się tego spodziewał, jego żądanie nie przypadło jej do smaku. Pierś Juliany falowała w pośpiesznym oddechu, a oczy skrzyły się złością.

- Bardzo dobrze - zgodziła się, obrzucając Iana wojowniczym spojrzeniem. - Przyjdę!

Proszę, proszę, pomyślał, jak to nigdy niewiadomo, czego się spodziewać po kobietach. Nachylił się do Juliany i podał jej kielich z winem.

- Wobec tego wypijmy, żeby przypieczętować nasz pakt.

Niemal wyrwała mu naczynie z ręki i kilkoma łykami opróżniła je do połowy.

- Jeśli przyjdę i udowodnię ci, że nie kłamałam, wyjedziesz z Byelough i nie będziesz mi więcej zawracał głowy! - zażądała groźnym tonem i oddała mu kielich.

Odpowiedział jej szerokim uśmiechem i skinął głową, po czym wypił resztę trunku.

- Przekonaj mnie, że jesteś zdeprawowana do szpiku kości, a wyjadę i więcej tu nie wrócę.

- Obiecujesz? - zmierzyła go badawczym spojrzeniem.

- Obiecuję - odpowiedział poważnie, ale zaraz zmienił ton. - Ale póki jeszcze tu jestem, czy zatańczysz ze mną, Juliano? Rozgrzejesz mnie trochę przed szaleństwami tej nocy, jak to robią rozpustne kobiety? Wiesz przecież najlepiej, jak to się robi.

Zrobiła oburzoną minę, zerwała się z miejsca i wyciągnęła do niego rękę tak gwałtownie, jakby go chciała wytargać za kołnierz.

- Wiem - burknęła. - No, chodź już, skoro tak się upierasz.

Ianowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Roześmiany poderwał się na nogi i chwycił ją za dłoń. Więc jednak wreszcie doprosił się tańca! Czuł, że rozwikłanie zagadki Juliany będzie niemal równie słodkie, jak rozsznurowywanie tasiemek jej stanika. Niemal.

Nie spodziewał się, by pozwoliła mu na wiele więcej tej nocy, ale przynajmniej będzie miał przedsmak tego, co go czeka po ślubie. Patrząc w jej roziskrzzone oczy poczuł, że ich miłość będzie pełna ognia i nie mógł się doczekać chwili, kiedy będą mogli dać upust swej namiętności.

W tańcu mógł wreszcie poznać bliżej jej szczupłe i powabne ciało. Objął ją mocno w talii i przygarnął do siebie. Poczul dotknięcie drobnych piersi, przesunął dłonią po boku. Juliana wykorzystwała pierwszą okazję, by zgrabnie mu się wywinąć, lecz Ian natychmiast chwycił jej dłonie. Rozłożył szeroko ręce, przyciągając ją do siebie tak blisko, że ich usta nieomal się spotkały.

Juliana szybko odwróciła głowę. Ian wiedział, że nie z powodu zmęczenia tańcem policzki dziewczyny zarumieniły się, a jej pierś zaczęła gwałtownie falować. Juliana była podniecona.

I zła. Zachwycające połączenie.

Przy okazji jej zachowanie utwierdziło go w przekonaniu, że miał rację. Niewielu mężczyzn miałoby dość odwagi, by z nią igrać. Gdyby nie fakt, że zawzięła się, by dowieść prawdziwości swych kłamstw, on sam pewnie także szybko wycofałby się jak niepyszny.

Kiedy muzyka umilkła, Juliana dosłownie odskoczyła od niego i kiwnęła głową, nawet nie siląc się na kurtuazję. Ian skłonił się jej nisko, szczerząc zęby w uśmiechu. Ujął ją pod rękę i chciał poprowadzić do stołu, ale natychmiast wysunęła ramię.

- Przepraszam, ale muszę iść i...

- Przygotować się na noc? - spytał domyślnie. - Nie będę się mógł doczekać twojej wizyty. Powiedzmy, za godzinę?

Skinęła głową, z trudem maskując zafrasowaną minę. Uniósł jej dłoń do ust i pocałował dwornie, po czym pozwolił jej odejść.

Wyszła dumnym krokiem, nie zaszczycając Iana spojrzeniem. Patrzył za nią do ostatniej chwili. Był oczarowany.

Alan poklepał go po plecach.

- Jak ci idzie? Poczyniłeś jakieś postępy?

- Mam nadzieję, że tak.

Na wszelki wypadek wolał nie wspominać przyjacielowi o nocnej schadzce. Znając Alana, wiedział, że przyjaciel z pewnością wymyśliłby jakiś szpetny kawał, by sobie z nich zakpić.

- Z Jules będzie znakomita żona. Żebyś tylko wiedział, jak ona umie wszystko zorganizować! Honor nie ma przy niej dosłownie nic do roboty. Będzie nam jej brakować. A tak przy okazji, poprosiłeś ją już o rękę?

Ian przysłonił usta, by ukryć uśmiech.

- Rozmawialiśmy o tym, ale jeszcze za wcześnie, bym mógł powiedzieć, co z tego wymknie.

- Wobec tego siądźmy i wypijmy za powodzenie twoich starań! -
ucieszył się Alan.

- Wielkie dzięki, ale nauczyłem się już nie ufać twoim winom -
wymówił się od poczęstunku.

Nie od dziś znał mocną głowę przyjaciela, a tego wieczoru wolał
upajać się słodkimi jak miód ustami Juliany, niż usnąć z głową na
stole. Stłumił udawane ziewnięcie.

- Chyba już i tak dość wypilem. Czuję, że pora na mnie -
powiedział i ruszył w kierunku schodów. - Rano porozmawiamy.
Dobranoc - dodał i zanim Alan zdążył zaprotestować, pośpiesznie się
oddalił.

Juliana niespokojnie krążyła po izbie. Co ona najlepszego zrobiła?
Ian Gray wykorzystał jej własne kłamstwo do tego, by zapędzić ją w
kozi róg. Nie miała innego wyjścia, niż stawić mu czoło i dowieść, że
nie jest kobietą, jaką chciałby poślubić. No trudno.

Pozostawała jej nadzieja, że wystarczy parę namiętnych
pocałunków i może... jakieś nieskromne pieszczoty. Na tę ostatnią
myśl zrobiło jej się gorąco i ogarnęła ją dziwna słabość. Aż nogi się
pod nią ugięły. Mimo wszystko nie czuła prawdziwego lęku.

Przy Ianie działo się z nią coś dziwnego. Nie rozumiała tego, ale
w pewnym sensie prawdą było to, co powiedziała mu wieczorem w
altanie - kiedy ją całował, zupełnie traciła głowę. Nie sądziła jednak,
by mogła poczuć coś podobnego w ramionach innego mężczyzny, o
ile w ogóle pozwoliłaby się pocałować.

Na razie miała jednak poważniejszy problem. Jeśli zejdzie na dół, by dostać się do północnej wieży, to nim jeszcze zastuka do drzwi Iana, Alan już będzie wiedział o jej nocnej wyprawie.

Jak wtedy postąpi? Zapewne zażąda, by czym prędzej wzięli ślub. Zastanawiała się, czy Ian nie ukartował tego wszystkiego po to, by nie zostawić jej żadnego wyjścia. Byłoby to podłe, ale Juliana nie miała żadnych złudzeń co do mężczyzn.

Z drugiej strony, jeśli do niego nie pójdzie, Ian utwierdzi się w przekonaniu, że kłamała, i nie da jej spokoju, dopóki nie zmusi do małżeństwa. Nie miała wyjścia. Musi przekonać go, że jest zepsuta do szpiku kości. Tylko w ten sposób będzie mogła raz na zawsze zakończyć całą sprawę. A poza tym obiecała, że przyjdzie.

Nie pozostawało jej nic innego, jak przemknąć po murze obronnym. To także nie było całkiem bezpieczne, bo mógł ją zauważyć z wieży strażnik, który na pewno nie omieszkałby zameldować o tym incydencie Alanowi.

Lecz trudno, słowo się rzekło, trzeba teraz ponieść konsekwencje własnej nierozwagi. Ależ sobie wymyśliła! Musi przekonać Iana, że jest panną lekkich obyczajów, i to w taki sposób, by nikt inny nie powziął podejrzeń co do jej cnoty. Nie wolno dopuścić do tego, by wszyscy w Byelough mieli ją za rozpustną dziewczkę.

Sięgnęła po ciemną wełnianą opończę.

Ktoś zastukał do drzwi. Ian? Nie, to niemożliwe. Uchyliła drzwi.

- Och, Honor! Właśnie kładłam się spać!

- W tym stroju? - Honor uniosła brwi, patrząc wymownie na opończę.

Juliana roześmiała się, żeby pokryć zmieszanie.

- Nie... Opończa spadła z wieszaka i właśnie ją podniosłam. Czy chciałaś o czymś ze mną porozmawiać? - spytała, starając się odwrócić uwagę Honor od nieszczęsnej peleryny.

- Przyniosłam ci grzanego wina z miodem i korzeniami. - Honor weszła do izby z dzbanem w ręku. - Na sen. Pomyślałam sobie, że po dzisiejszym dniu musisz być okropnie zmęczona, a w takim stanie ducha czasem trudno zasnąć.

Nalała wina do kubka i podała Julianie.

- Dziękuję ci. Na pewno dobrze mi to zrobi.

Co do tego nie miała wątpliwości. Potrzebowała teraz wiele odwagi. Łyk wina z pewnością ułatwi jej wykonanie ryzykownej operacji. Musiała ominąć strażników i zwieść mężczyznę, który oczekiwał po niej... właściwie to nie bardzo wiedziała, czego Ian się po niej spodziewał. Niewiele wiedziała o rozpuście.

- Patrzyłam na was, gdy tańczyliście - powiedziała Honor pogodnie. - Piękna z was para. Ian dobrze tańczy, prawda?

- Tak - przyznała Juliana, oblizując słodkie od wina wargi. - Jest urodzonym tancerzem.

- Cieszę się, że lubicie przebywać w swoim towarzystwie. - Honor rozsiadła się na łóżku, najwyraźniej szykując się do pogawędki. - Ian jest cudownym człowiekiem. I tak kocha dzieci. Sama zresztą miałaś okazję się o tym przekonać. Kit za nim przepada. Adam także.

- Przepraszam cię, Honor, ale ja nie zmieniałam swego postanowienia. To był tylko taniec. Ślubu nie będzie.

Honor pokręciła głową i uśmiechnęła się do Juliany.

- No cóż, zrobisz, co zechcesz. Alan i ja chcemy tylko twojego szczęścia. - Uniosła dzban. - Jeszcze trochę wina?

- Nie, dziękuję. Już mi się głowa kiwa. Myślę, że będę spała jak kamień. - Zerknęła na świecę z podziąłką. Do umówionej pory został jej nie więcej niż kwadrans. - Jeśli pozwolisz, wołałabym dokończyć tę rozmowę rano. Padam z nóg.

- Oczywiście. - Honor bez pośpiechu ruszyła do drzwi, ale nim wyszła, zatrzymała się jeszcze na chwilę. - Dobrej nocy, kuzynko. Tak się dziś napracowałaś... czemu nie miałaś sobie wreszcie porządnie odpocząć? Dopilnuję, żeby nikt cię rano nie budził. Wyśpij się solidnie. Miłych snów.

- Dziękuję - wymamrotała pod nosem Juliana.

Honor patrzyła na nią z dziwnym uśmiechem. Juliana zastanawiała się, czy żona kuzyna czegoś się nie domyśliła.

To niemożliwe, powiedziała sobie, gdy Honor zamknęła drzwi. Nikt nie wiedział o jej randce z Ianem. Nikt nie podsłuchiwał przecież ich rozmowy. Sama myśl o lady Honor czołgającej się pod stołem, by poznać przedmiot rozmowy Juliany i Iana, była zbyt komiczna i groteskowa, żeby potraktować ją poważnie.

Narzuciła opończę na ramiona i wyslizgnęła się z izby. Szybko wbiegła po kręconych schodach i wyszła na ganek na szczycie muru.

- Dobry wieczór, pani.

Aż podskoczyła. Czemu, u licha, strażnik nie siedzi na wieży? Barczysty mężczyzna wyłonił się z cienia i uklonił się jej niezgrabnie.

- Jestem Davy, pamięta mnie pani?

Otuliła się szczelnie opończą. Najchętniej zakryłaby twarz kapturem.

- O... tak! Jak się masz, Davy? Jakoś nie mogę usnąć.

- Jeszcze wcześniej - zauważył Davy, zacierając zmarznięte ręce. - Wyszła pani zażyć świeżego powietrza? Ma pani zdrowie - powiedział z uznaniem. - Zresztą tu nie jest tak źle. Tam w górze - wskazał wieżę, na której powinien pełnić służbę - wiatr głowę urywa.

Strażnik najwyraźniej miał ochotę uciąć sobie pogawędkę.

- Pewnie nie możesz się doczekać końca służby, co? - Jeśli dowie się, kiedy nastąpi zmiana straży, będzie mogła wrócić, gdy służbę obejmie inny żołnierz. Dzięki temu nikt nie będzie wiedział, jak długo nie było jej we własnej sypialni.

- Oj, dobrze będzie schować się w ciepłej izbie - przyznał Davy. - Niebawem mnie zmieni Thomas.

Chwała Bogu!

- No to dobrej nocy, Davy. Przejdę się trochę.

Dalsza droga szczęśliwie upłynęła już bez niespodzianek.

Najwyraźniej inni strażnicy mimo zimna pełnili służbę jak należy. Z ulgą schroniła się we wnętrzu wieży i zbiegła schodami w dół.

Ian otworzył przed nią drzwi, nim zdążyła zastukać.

- Witaj, piękna damo. - Skłonił się przed nią nisko.

Weszła do wnętrza, ściskając opończę pod szyją. Izba Iana była podobna do jej własnej, niewielka i przytulna. Przed kominkiem, na którym trzaskał ogień, stały dwa krzesła. Ściany zawieszono były tkaninami. Tylko łoże było większe, z baldachimem i zasłonami.

Na wszelki wypadek czym prędzej podeszła do kominka i usiadła na krześle. Ian natychmiast pomógł jej zdjąć opończę.

- Czy jest ci ciepło, pani? - spytał troskliwie.

- Tak - odpowiedziała, nie podejrzewając podstępów.

- Wobec tego, może zdejmiesz coś jeszcze?

Łagodna ironia w jego głosie natychmiast ją rozzłościła. Prawdę mówiąc, cała ta sytuacja wprawiała ją we wściekłość. Wino, które przyniosła Honor, nie tylko w niczym nie pomogło, a wręcz zmaćciło myśli Juliany. Nie potrafiła nazwać swych emocji, więcej nawet, wolała nie zastanawiać się nad nimi. Niejasno podejrzewała, że to, co czuje w tej chwili, może być po prostu pragnieniem grzechu.

Ian uklęknął przed nią.

- Czy żałujesz, że tu przyszłaś, kochanie?

- Oczywiście, że nie - odpowiedziała oschle. - Widzisz teraz, że nie potrafię się oprzeć takiemu zaproszeniu.

- Zaiste. Już myślałem, że się rozmyśliłaś. Przyznaję, że żadna rozsądna dziewczyna nie ważyłaby się na takie odwiedziny.

- No widzisz - powiedziała triumfalnie. - Teraz już wiesz, jak to ze mną jest, Ianie.

- No, nie do końca. - W jego oczach pojawiły się wesołe iskierki.

Juliana poczuła, że dłoń Iana obejmuje jej nogę w kostce.

Długie palce były ciepłe i delikatne. Po chwili dłoń mężczyzny zaczęła się powoli wspinać po jej łydce.

Ogarnęła ją panika, ale najwyższym wysiłkiem woli zmusiła się do zachowania spokoju. Było nie było, przyszła do niego po to, by przekonać go, iż jest niewolnicą zmysłów. A przy tym jego pieszczotliwe dotknięcie sprawiało jej wielką przyjemność.

Juliana zamknęła oczy i odchyliła głowę na oparcie krzesła. Była pewna, że w przyszłości nie zazna więcej podobnych przeżyć. Cóż szkodzi poznać na własnej skórze, co takiego jest w tym kochaniu, że wszyscy wychwalają je pod niebiosa?

Nagle uświadomiła sobie, że dłoń Iana minęła jej kolano. Natychmiast wyprostowała się i otworzyła oczy. Odepchnęła jego rękę.

- Dosyć tego! - zażądała, nim przyszło jej do głowy, że powinna jakoś uzasadnić swoją decyzję. Co by tu powiedzieć? - zastanawiała się gorączkowo. - Chce mi się pić. Masz wodę?

- Niestety, mam tylko wino - odpowiedział z ciężkim westchnieniem.

Natychmiast podał jej kielich i stanął naprzeciw niej z drugim pucharem w ręku.

- Czy wypijemy za naszą szczęśliwą noc?

Omam się nie zakrztusiła. Zmieszana, pośpiesznie opróżniła kielich.

- Bardzo dobre wino - zauważyła. Istotnie wino Iana smakowało jej bardziej od tego, którym poczęstowała ją Honor.

Roześmiał się. Ku swemu zaskoczeniu odkryła, że lubi ten jego niski, dudniący śmiech, który zaczynał się gdzieś głęboko w piersi, a potem zdawał się ogarniać całe jego ciało aż po pięknie wykrojone usta i pełne radości i ciepła oczy. Blask świec i płonącego ognia dodawał twarzy Iana niezwykłego uroku.

Juliana uświadomiła sobie, że ta dziwna i naganna sytuacja sprawia jej stanowczo zbyt wiele przyjemności.

- Powinnam już pójść - powiedziała na wpół do Iana, na wpół do siebie.

- Już? - Spojrzał na nią zaskoczony i rozczarowany, ale zaraz się rozpogodził. - Nie ukrywam, że martwi mnie twoja decyzja... ale i cieszy, bo widzę, że jednak miałem rację. Jesteś uczciwą dziewczyną, która tylko udawała rozpustnicę.

- Nie! - zaprotestowała gwałtownie. - Ale... to tylko...

Żadna rozsądna wymówka nie przychodziła jej do głowy. Co powinna powiedzieć, by uwierzył jej słowom, a jednak pozwolił odejść? I wtedy wymyśliła naprawdę szatański plan. Czemu właściwie nie miałyby odegrać swej roli do końca? Pragnęła Iana.

Chciała, żeby ją pieścił. Wszak jego ręce były nadzwyczaj delikatne, a usta słodsze od wina. Na samo wspomnienie wczorajszych pocałunków kręciło jej się w głowie. Może i wino miało tu coś do rzeczy, ale wcale nie była tego pewna.

To raczej ten mężczyzna. Budził w niej uczucia, jakich istnienia nawet nie podejrzewała. To, że nigdy nie wyjdzie za mąż, nie znaczy jeszcze, że nie może zakosztować rozkoszy miłości. Czemu nie? W

końcu to nie jej wina, że ojciec nie dał jej wiana. Skoro i tak spędzi resztę życia samotnie, to chyba ma prawo dowiedzieć się, co traci. Tylko ten jeden, jedyny raz.

Prędko, bojąc się, że zaraz zmieni zdanie, odstawiła kielich i zerwała się na równe nogi. Wsunęła dłonie pod kaftan Iana. Z przyjemnością przesunęła palcami po silnych mięśniach.

- Jakie twarde - mruknęła.

Poczuła, że wstrząsnął nim tłumiony śmiech.

- Bardziej niż zwykle - powiedział cicho.

Przytulił ją mocno i oparł brodę na czubku jej głowy.

- Wydaje mi się, kochanie - szepnął - że trochę za dużo było tego wina.

- Wcale nie - zaprotestowała, ale przemknęło jej przez myśl, że być może Ian ma rację.

Cokolwiek było przyczyną - wino czy ten mężczyzna - Juliana straciła głowę. Zresztą, po cóż snuć takie bezsensowne rozważania? W tej chwili pragnęła tylko jednego - czuć go blisko siebie, gładzić jego ciało i rozkoszować się pocałunkami.

- Pocałuj mnie - szepnęła. - Pocałuj mnie zaraz.

Tym razem wcale się nie śmiał. Natychmiast spełnił jej życzenie. Jego język wdarł się między jej wargi z gwałtownością, jakiej teraz właśnie było Julianie trzeba. Smakował winem, cynamonem i niejasnymi pragnieniami. Obiecywał rozkosze, które dotychczas znała tylko ze słyszenia. Teraz wreszcie miała dowiedzieć się o nich wszystkiego, a Iana wybrała na swego nauczyciela i przewodnika.

Całował ją długo, tak długo, że zdawało jej się, iż zaraz zemdleje od przenikliwych, niesamowitych dreszczy. Dłonie Iana błędziły po jej ciele, jakby chciały nauczyć się go na pamięć.

- Do łóżka? - szepnął prosto w jej usta.

Kiwnęła głową i w tej samej chwili silne ręce uniosły ją w powietrze, by zaraz ułożyć delikatnie na miękkim materacu. Poczowała, że kolano Iana rozsuwa jej nogi, a niecierpliwe dłonie zadzierają suknię i pieszczą jej uda. Natychmiast potem objął ją w tak gorącym uścisku, że Julianie zdawało się, iż zaraz rozplynie się jak woskowa kukielka, która wpadła w ogień. To było cudowne uczucie!

Woalka zsunęła jej się z głowy i dłonie Iana zanurzyły się w lokach dziewczyny, aby zaraz powędrować do tasiemek stanika. Błędził ustami po jej czole, twarzy i szyi, by dotrzeć do piersi w tej samej chwili, gdy palce uporały się z tasiemkami i delikatne ręce odsłoniły nagie ciało Juliany. Ian całował jej piersi, drażnił sutki, wywołując taką falę cudownych spazmów, że aż jęknęła.

Wsunęła dłonie pod koszulę Iana, by poznać jego ciało, które było takie silne, gładkie i twarde. Uniósł się nad nią na chwilę, a kiedy opadł z powrotem, nie miał na sobie koszuli. Juliana musnęła palcami jego brzuch, a gdy napotkała granicę, jaką wyznaczała bielizna, bez wahania wsunęła dłoń głębiej.

Kiedy dotarła do jego naprężonej męskości, westchnął głośno i zaczął całować ją bez pamięci. Zadarł jej suknię i dotknął ją tam, gdzie najbardziej pragnęła go poczuć. Wyprężyła się i przywarła do niego, zarzucając mu ręce na szyję.

- Teraz - mruknął jej do ucha. - Tak?

- Tak! - odpowiedziała namiętnie. - Tak! Och, tak!

Kiedy w nią wszedł, poczuła ból i nie zdołała stłumić krzyku. Zamarł w bezruchu. Czują na skroni jego pośpieszny oddech.

- Boli cię, kochanie?

- Nie. Już nie. To był moment. Teraz już jest dobrze.

- Najgorsze masz już za sobą, maleńka - szepnął zaskakująco czułym głosem, jakby go coś bardzo poruszyło.

Nie zrozumiała jego słów. To chyba jeszcze nie koniec, pomyślała, ale bała się spytać, żeby nie domyślił się, że go oszukała. Przyciągnęła go mocno do siebie, instynktownie wysuwając biodra. Sama nie wiedziała, czemu to robi, ale czuła, że tak będzie dobrze.

- Och, dziewczyno - mruknął jej do ucha - jesteś stworzona do miłości.

- Mówiłam ci przecież - przypomniła mu, zaciskając zęby i wbijając paznokcie w jego ramiona, odruchowo w ten sposób przynaglając go, by poruszał się szybciej i szybciej, w rytmie, którego pragnęło jej ciało, mądrzejsze niż ona sama.

Ian poddał się jej wskazówkom. Poruszał się miarowo, wchodząc w nią coraz głębiej, coraz mocniej, aż narastająca fala rozkoszy odebrała Julianie dech w piersi i sprawiła, że przez krótką chwilę zdawało jej się, że umiera.

Ale to nie była śmierć, bo zaraz potem jakaś niepojęta siła uniosła ją wysoko, tak wysoko, jakby dziewczyna wzleciała pomiędzy gwiazdy, a cały świat rozpadł się na tysiące kawałeczków i zniknął.

Poczuła jeszcze jedno pchnięcie i usłyszała niski, chrapliwy jęk, który sprawił jej więcej przyjemności niż najwytworniejsza muzyka.

Ciało Juliany wypełniło ciepło i spokojne zadowolenie. W ramionach Iana było jej dobrze jak w raju. Marzyła o tym, by trzymał ją tak całą wieczność i nigdy nie pozwolił jej odejść.

- Wiedziałem - szepnął jeszcze z ustami wtulonymi w zgięcie jej szyi.

Chciała spytać, co wiedział, ale była tak wyczerpana tym, co przed momentem przeżyła, że odłożyła to pytanie na potem. W tej chwili nic nie miało znaczenia. Był tylko ten niezwykły, cudowny mężczyzna, który oplatał ją ramionami i przytulał do swego gorącego, silnego ciała.

W tej chwili pragnęła się sycić jego ciepłem. Nie chciała niczego wiedzieć ani myśleć o czekających ją samotnych nocach, gdy zostaną jej tylko wspomnienia tej jedynej w życiu, cudownej nocy miłości.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Świt cicho wpełzł przez okno, wciskając się między nie zasunięte do końca zasłony łóżka. Za długo spałem, pomyślał Ian, otwierając oczy. Jeśli nie obudzi Juliany i nie wyprawi do jej komnaty w ciągu godziny, całe Byelough będzie wiedziało, gdzie spędziła tę noc.

Co prawda, przyśpieszyłoby to całą sprawę, ale trudno wówczas byłoby powiedzieć, że Juliana wychodzi za niego z własnej woli. Takiego upokorzenia ta dumna dziewczyna zapewne nigdy by mu nie wybaczyła.

Bo co do tego, że Juliana wyjdzie za niego za męża, Ian nie miał wątpliwości. Ta noc jasno pokazała, że są dla siebie stworzeni. Ich wtulone w siebie ciała tak cudownie do siebie pasowały. Jej ognisty temperament stanowił doskonale dopełnienie jego cierpliwego i łagodnego charakteru.

Ian westchnął, uszczęśliwiony tym niespodziewanym darem losu. Uwielbiał Julianę! Delikatnie odsunął loki i popatrzył na śpiącą dziewczynę. Jej usta były leciutko obrzmiałe od namiętnych pocałunków, jakie wymieniali tej nocy. Jej zapach, delikatny i słodki, mieszał się z zapachem ich miłości, budząc w Ianie falę podniecenia.

Wspaniała suknia, w jakiej do niego przyszła, była zmięta i wygnieciona. Tym większą miał chęć zsunąć delikatny materiał z gładkich ramion, odsłonić drobne piersi i całować jedwabistą skórę, rozkoszując się jej smakiem. Jednak nie zamierzał teraz tego robić. Chwała Bogu, będą mieli na to jeszcze dość czasu po ślubie. Całe życie!

Spała jak dziecko, bez snów i trosk, które mąciłyby jej spokój.

Ian zastanawiał się, dlaczego chciała, by uważał ją za rozpustnicę. Była przecież dziewicą, jak w dniu, gdy przyszła na świat. Co dziwniejsze, nie chciała się do tego przyznać nawet wtedy, gdy nie mógł już mieć żadnych wątpliwości.

Czy matka niczego jej nie nauczyła?

Po namyśle uznał, iż najwidoczniej nie chciała, by sądził, że żaden mężczyzna jej dotąd nie pragnął. Miała już w końcu niemal dwadzieścia pięć lat. Jak to ujął Alan, powinna być mężatką od co

najmniej kilku lat. Dla Iana nie miało to żadnego znaczenia. Jeśli Juliana chciała, by był zazdrosny o jej zmyślonych kochanków, mógł to dla niej zrobić.

Nic go nie kosztowało zażądać, by zapomniała o tych mężczyznach, niegodnych jej bezcennych łask. Uśmiechnął się do swoich myśli i musnął policzek dziewczyny pocałunkiem.

- Mhmm... - Juliana pacnęła go ręką przez sen, jakby chciała odpędzić dokuczliwą muchę i natychmiast szeroko otworzyła oczy. - Co... Och!

Zamrugła powiekami, by otrząsnąć się z resztek snu.

- Już świta - powiedział, wskazując gestem głowy okno, przez które wpadały do izby pierwsze promienie słońca.

Natychmiast się zerwała i zaczęła gorączkowymi ruchami doprowadzać do porządku rozpaczliwie zmiętą suknię.

- Powinnam już dawno iść. Dlaczego mnie wcześniej nie obudziłeś?

Położył się na plecach, splatając dłonie za głową.

- Sam się dopiero ocknąłem. O co się martwisz? Wkrótce i tak będziemy małżeństwem. Nikt nie weźmie ci za złe, że tu spałaś.

Spojrzała na niego wielkimi oczami.

- Wcale nie będziemy małżeństwem! Przecież mówiłam ci, że nie wyjdę za ciebie!

- Chyba nie powinnaś się przy tym upierać - zaśmiał się Ian. - Ja tam jestem pewny tego, że jest nam pisane wspólne życie. Będę dobrym mężem, Juliano. Będę cię kochał...

Znieruchomiła z rękami na piersiach. Przestała poprawiać suknię i popatrzyła na niego zdumiona.

- Co? Dlaczego miałbyś chcieć takiej żony jak ja? Nie mogę ci nawet ofiarować swego dziewictwa.

- To już mi dałaś - odpowiedział spokojnie. - I zapewniam cię, że potrafię docenić twoją ofiarę.

Długo wpatrywała mu się w oczy, nim opuściła z rezygnacją głowę.

- Więc moje udawanie na nic się zdało - szepnęła smutno.

- Nie wiem, dlaczego mnie oszukałaś, ale jeśli o mnie chodzi, to trudno byłoby się spodziewać lepszego skutku - zapewnił ją Ian. - Do końca życia nie spojrzę na inną kobietę. Chcesz mojej przysięgi? Masz ją.

- Wielki Boże! - krzyknęła, wyrzucając ramiona w geście rozpacz. - Nic mnie nie uratuje! Widzę, że muszę powiedzieć ci prawdę! Nie oszczędzisz mi żadnego upokorzenia, prawda?

- O czym ty mówisz? - spytał zdumiony straszliwym cierpieniem w jej głosie. - Co mi musisz powiedzieć?

Juliana otuliła piersi ramionami.

- Nie mam złamanego szeląga - powiedziała. - Nie mam ziemi, nie mam po prostu niczego. Czy teraz, kiedy już wyzuleś mnie z wszelkiej dumy, jesteś zadowolony? Wiesz już wszystko.

Ian usiadł na łóżku. Serce podeszło mu do gardła.

Przez chwilę nie mógł wykrztusić słowa, ale Julianie wystarczyła jego rozczarowana mina.

- A ty potrzebujesz majątku, prawda? - spytała z powagą. -
Liczyłeś na mój posag.

Tak chciałby zaprzeczyć, ale nie mógł. Milczał.

- Nie mam niczego, co mogłabym wnieść do małżeństwa -
powiedziała. - Nie mogłabym wyjść za mąż, nawet gdybym tego
chciała.

Odwrócił wzrok. Nie umiał stawić czoła jej gorzkiej dumie, nie
potrafił ukryć zawodu.

- To dlatego kłamałaś? Nie chcesz wyjść za mąż bez wiana?

Własny głos zabrzmiał w jego uszach dziwnie obco i obojętnie,
choć targały nim potężne niby wichura emocje.

- Nie mogę - poprawiła go łagodnie. - Tak, dlatego skłamałam.
Ale ty nie mogłeś zostawić mi żadnej wymówki, która pozwoliłaby mi
zachować godność, prawda? Nawet najbiedniejsza chłopka ma jakieś
wiano lub zostaje starą panną.

Wiesz, że tak jest przyjęte. Do małżeństwa potrzebne są trzy
rzeczy. Aprobata Kościoła i ojca lub opiekuna, zgoda narzeczonej i
wiano. Ja nie mam niczego, choćby gęsi czy świni, którą mogłabym
wnieść w posagu!

Ian milczał. Co mógł odpowiedzieć?

- Ojciec niczego mi nie zostawił, a ja nie będę o nic prosić mego
kuzyna. W gruncie rzeczy to się nawet dobrze składa, bo nie
umiałabym być posłuszna żadnemu mężczyźnie. Małżeństwo jest nie
dla mnie.

Teraz, gdy wreszcie zdobyła się na słowa prawdy, nie mogła skończyć, póki nie powiedziała wszystkiego do końca.

- Czy mówię jasno? Jestem tak biedna, że nie zechcieliby mnie nawet w klasztorze. A byłaby ze mnie taka dobra mniszka! - zaśmiała się gorzko. - Nawet Kościół nie weźmie mnie bez wiana. Tym bardziej szkoda, że byłoby to dla mnie najlepsze miejsce. Wśród kobiet, gdzie nie musiałabym słuchać poleceń żadnego mężczyzny.

Ian chwycił ją za rękę. Gdy spojrzała na niego, dostrzegł w jej oczach żal i rozpacz, które tak chciała ukryć przed całym światem.

- Poślubię cię, Juliano. To, czy masz wiano, czy nie, nic mnie nie obchodzi - powiedział.

Wiedział, że kłamie. Wiano znaczyło dla niego równie wiele, jak dla niej. Czuła się pozbawiona wszelkiej wartości. Serce krajało mu się ze współczucia.

- Przepraszam cię, Ianie - odpowiedziała zdecydowanym głosem - ale nigdy nie wyjdę za ciebie za mąż. Ani za nikogo innego. Proszę... proszę zrozum, że nie mogę zostać twoją żoną i nie mówmy o tym więcej.

Oczy dziewczyny błagały go, by zaakceptował jej decyzję. Głęboki, mocny błękit jej źrenic zaszklili się łzami. Przez długą chwilę wytrzymał jej spojrzenie. Potem z ociąganiem odwrócił wzrok do okna, przez które zaglądało do izby słońce i kiwnął głową.

Mógłby nalegać. Bóg wiedział, że miał po temu dostateczny powód, przyjmawszy bezcenny dar jej dziewictwa. Jednak Ian zdawał

sobie sprawę z tego, że bez majątku żony nie da rady podźwignąć Dunniegray. Być może sam straci dom i dokąd ją wtedy zabierze?

Nie mógł prosić Juliany, by dzieliła z nim nędzę, jaka go czekała. Wiedział też, że nie poślubi żadnej innej kobiety. Lepiej będzie, jeżeli Juliana pozostanie w bezpiecznym i zamożnym domu z Alanem i Honor. Przynajmniej będzie mógł ją widywać, choć i to przysporzy mu więcej bólu niż radości, skoro nie jest im pisane wspólne życie.

Nigdy jej nie zdobędzie. Czuł się tak, jakby ktoś zatopił mu w sercu niewidzialne ostrze. Juliana bez słowa wyszła z izby, opuszczając na zawsze jego życie.

Strażnicy obserwowali okolicę z wież i Julianie udało się wrócić do siebie, nie zwracając niczyjej uwagi. Niewielka pociecha, pomyślała. Godzinę później klęczała wraz z innymi w kaplicy i słuchała kazania ojca Dennisa. Choć całkiem dobrze znała łacinę, tego ranka nie była w stanie zrozumieć ani słowa. Mimo że nie ustawiała w próbach, myśli o Ianie Grayu nie chciały jej opuścić.

Po błogosławieństwie poszła wraz z innymi na śniadanie, ale pustka, jaką odczuwała, niewiele miała wspólnego z głodem. Przeciwnie, Juliana z równym trudem łykała chleb i ser, jak uczestniczyła w rozmowie. Nawet znakomita polewka piwna, którą przyrządziła Honor, nie poprawiła dziewczynie nastroju.

- Wujek Ian przespał mszę - odezwała się znad talerza mała Kit.

- Nie, kochanie. Widziałam go, jak wyjeżdżał jeszcze przed mszą z powrotem do Dunniegray - poinformowała córeczkę Honor.

Mała skrzywiła smutno buzię.

- Ale przecież się ze mną nie pożegnał! Zawsze przed wyjazdem kręci nami młynka i obiecuje, że wkrótce wróci. Zobacysz, że mały Adam będzie płakał, jak o tym usłyszy. - Dziewczynka pociągnęła nosem, ale dzielnie powstrzymała łzy. - Wujek niedługo wróci, prawda, mamó?

- Widać wujek miał coś bardzo pilnego do załatwienia - powiedziała Honor, gładząc córkę po płomienście rudej główce. - Na pewno niedługo nas odwiedzi.

Juliana wcale nie była taka pewna, czy Ian znów do nich zawita. Przynajmniej dopóty, dopóki będzie się czuł skrępowany jej obecnością. Odwróciła głowę, by nie widzieć rozczarowania na twarzy dziecka. Buzia maleńkiej Kit tak wyraźnie odzwierciedlała jej własne uczucia. Choć Ian postąpił najmądrzej, jak było można, wiedziała, że będzie za nim rozpaczliwie tęsknić.

Jak to możliwe, by tak silnie przywiązała się do mężczyzny, którego znała zaledwie jeden dzień. I jedną noc, oczywiście. W tym krótkim czasie tak wiele między nimi zaszło, wydarzyły się rzeczy, które nigdy nie powinny mieć miejsca.

Nic dobrego, a jednak nie potrafiła ich żałować, choć bardzo tego chciała. Nawet w kaplicy nie poczuła prawdziwej skruchy. To prawda, że ledwie się znali, a jednak czuła, że są sobie bliżsi niż większość ludzi, którzy poznali się, zaślubili i dopełnili swego małżeństwa w sypialni. Jak to możliwe? Zamyślona, zapatrzyła się w kubek, jakby

chciała wyczytać odpowiedź z odblasków światła tańczących na powierzchni piwnej polewki.

Co takiego miał w sobie Ian Gray, że tak głęboko zapadł jej w serce? Było w nim coś, co poruszyło ją już wówczas, gdy zobaczyła go na oczy po raz pierwszy w drzwiach sieni - ociekającego deszczem i szczerzącego zęby w beztroskim uśmiechu człowieka, który nie ma żadnych zmartwień. Pamiętała radosne spojrzenie, jakim ją powitał, jakby przeczuwał, czym się skończy ta znajomość.

Zastanawiała się, czy w ogóle by się z nim wtedy przywitała, gdyby wiedziała, jak potoczą się wypadki. Tak, zdecydowała ostatecznie, zrobiłaby to jeszcze raz. Jeden po drugim, powtórzyłaby każdy krok, jaki popchnął ją w jego ramiona.

Skoro w całym swoim życiu miała spędzić tylko jedną noc w objęciach mężczyzny, Ian był najlepszym możliwym wyborem. Po raz pierwszy od kilku godzin Juliana poczuła się trochę lepiej. Jeśli nawet Ian był taki czuły i namiętny tylko dlatego, że liczył na jej wiano, to i tak nie miało to znaczenia. Jakikolwiek były jego motywy, wypełnił swoje zadanie bez zarzutu.

Przez kilka następnych tygodni Juliana starała się ukryć przed samą sobą uczucia, jakie budził w niej Ian Gray. Sny w których do niej wracał, były osłodą jej nocy, dni zaś upływały jej w kuchni, gdzie szykowano zimowe zapasy. Pracowała od świtu do wieczora, razem z kucharkami wędząc i marynując mięso, susząc owoce, zioła, groch, ciecierzycę i fasolę.

Uważała, że tak jak inni mieszkańcy Byelough, powinna zarobić na swoje utrzymanie. Wiedziała, że nie musi tego robić. Alan i Honor zapewniliby jej życie godne damy i nie załowałiby niczego, choćby nawet nie ruszyła palcem, ale duma nakazywała jej pracować. Nawet wtedy, gdy ze zmęczenia ledwo trzymała się na nogach.

Angażując wszystkie siły w żmudne zajęcia, Juliana miała nadzieję, że dzięki temu zapomni o piwnych oczach pełnych czułości i rezygnacji. Czasem nawet jej się to udawało... na chwilę lub dwie. Lecz nocą chętnie witała Iana w snach. Marzenia były bowiem wszystkim, co jej pozostało.

Nadszedł grudzień. Serce Juliany było równie ciężkie i równie bliskie załamania, jak gałęzie jodeł uginające się pod ciężarem śniegu.

Na pięć dni przed Wigilią Bożego Narodzenia siedziała obok Honor w jej komnacie i haftowała kwiaty na wełnianej sukni, gwiazdkowym prezencie dla Kit. Przesunęła palcem po wąskim karczku sukienki i uśmiechnęła się do siebie.

Jej tęsknota za Ianem nabrała szczególnego, słodko-gorzkiego smaku, odkąd Juliana wiedziała, że ich wspólna noc zaowocuje przyjściem na świat dziecka. Co powie jej kuzyn, kiedy się o tym dowie? Wygna ją z Byelough? Zażąda, by poślubiła Iana?

Wiedziała, że powinna odmówić, lecz jej stanowczość wiotczała na myśl, że jeśli to zrobi, ich dziecko będzie dźwigać piętno nieślubnego pochodzenia. Cokolwiek się stanie, Ian ma prawo do własnej opinii w tej sprawie.

- Będzie tu za cztery dni - powiedziała Honor, podając Julianie kłębek błękitnej, jedwabnej nici. - Ojciec Dennis przyniósł dziś wiadomość.

- Kto przyjedzie? - spytała Juliana, jakby się nie domyślając.

Kapelan dbał o potrzeby duchowe mieszkańców obu parafii, zarówno Dunningray, jak i Byelough. A więc Ian wróci. Juliana głęboko odetchnęła. Poczowała ulgę i radość.

Honor cmoknęła językiem, pokręciła głową i wzniosła oczy do nieba.

- Och, Jules, naprawdę martwię się o ciebie! Już trzy miesiące chodzisz ze smutną miną i zapracowujesz się jak najmitka. Dlaczego nie przyznasz się, że za nim tęsknisz? Cokolwiek zdecydowało o tym, że go odepchnęłaś i zmusiłaś do pośpiesznego wyjazdu, za parę dni będzie to już tylko przeszłość.

Juliana skryła oczy za zasłoną rzęs. Unikała wzroku Honor, bo bała się, że kuzynka jakimś sposobem wyczyta z jej spojrzenia prawdę.

- Wybacz mu i przestań sama cierpieć! - poradziła jej Honor. - Wyjdź za niego.

- Nie mam wiana! - zaproponowała, ciskając w bezsilne złości robótkę.

Honor pochyliła się na swym krześle i ujęła oburącz dłonie Juliany.

- Alan powiedział, gdy tylko do nas trafiłaś, że zadbał o twoje wiano. Tylko twoja uparta duma sprawia, że nie chcesz go przyjąć.

Należysz do rodziny, Jules. Kochamy cię - Honor uśmiechnęła się porozumiewawczo. - I nasz Ian także cię pokocha, o ile już nie jest zakochany po uszy.

- Ian miałby mnie kochać? Widział mnie tylko jeden dzień i przez większą część tego czasu byłam dla niego okropna. - Ale przecież napomykał coś o uczuciu... chyba jej nie zwodził? Nie wytrzymała. - Naprawdę myślisz, że mógłby mnie pokochać?

- Niedługo się o tym przekonamy - oznajmił tubalnym głosem Alan, wkraczając do komnaty. - Co do wiana zaś, to prócz tej siwej klaczki, na której do nas przyjechałaś, dostaniesz kawałek ziemi, niedaleko na południe od Byelough a wiosną każę te pola obsiać. Należy ci się jakaś odpłata za to, co dla nas zrobiłaś. Co ty na to?

W pierwszej chwili chciała jak zwykle odmówić, ale ugryzła się w język. Powinna najpierw pomyśleć. Klacz i kawałek ziemi. Alan nie powinien ponosić kosztów tylko dlatego, że jego kuzynka obraziła króla. Postanowiła, że zapłaci mu za wiano, którym ją tak szczerze obdarował.

Będzie musiała rozstać się z rzeczami, które najbardziej kochała, których obiecała sobie nigdy nie sprzedać. Może wtedy będzie mogła poślubić Iana. O ile oczywiście on będzie ją jeszcze chciał.

- Powiedz mi, proszę, kuzynie, gdzie jest twój trubadur?

- Melior? W kaplicy z ojcem Dennisem. Przed chwilą ich tam widziałem - odpowiedział Alan, nie skrywając ciekawości. - Na co ci, dziewczyno, ten chudy głupiec?

- Poczekajcie tutaj. - Juliana pośpiesznie opuściła komnatę, by dobić targu, nim się rozmyśli.

Wróciła po półgodzinie.

- Z przyjemnością przyjmę wszystko, co mi ofiarowałeś, kuzynie. Oto część należnej ci zapłaty. Resztę potraktuj na razie jako pożyczkę.

- Wyciągnęła rękę z pięcioma złotymi monetami. - Co powiesz na piętnaście sztuk złota za wszystko?

Alan wahał się przez chwilę, nim przyjął złoto.

- Myślę, że dziesięć sztuk złota wystarczy - powiedział po namyśle.

- Umówmy się, że spłacę resztę w ciągu dwóch lat z odsetkami - zażądała Juliana. - W przeciwnym razie nie będę mogła przyjąć twojej wspaniałomyślnej oferty.

- Zgoda.

Alan ścisnął lekko ramię żony. Juliana uznała to za wyraz zadowolenia z faktu, że wreszcie udało im się pozbyć ubogiej kuzynki, choć Honor nie sprawiała wrażenia jawnie uszczęśliwionej.

- Kiedy zatem zamierzasz wyjść za mąż? - spytał wymownie Alan.

- Gdy Ian poprosi mnie o rękę - odpowiedziała - ale pragnę uzyskać obietnicę was obojga, że nie powiecie mu o niczym, dopóki sama na to nie pozwolę. Nie chciałabym, aby Ian pomyślał, że zmuszamy go do tego małżeństwa. Zostanę jego żoną, jeśli poprosi mnie o to z własnej, nieprzymuszonej woli. Proszę, obiecacie mi to.

- Zgoda - powiedział Alan. - No to dobiliśmy targu. Haftujcie, panie, nie będę wam dłużej przeszkadzał.

Ruszył do drzwi, ale nim wyszedł, zatrzymał się jeszcze przed skrzynią, w której przechowywano płótna.

- Wybierz stąd jakiś materiał dla Iana. Drobnny prezent od narzeczonej na pewno przypadnie mu do gustu.

Byli gotowi na wszystko, byle tylko się jej pozbyć, pomyślała Juliana i omal nie roześmiała się w głos. Uwolniwszy się od troski o wiano, poczuła się lekka jak piórko, wolna i szczęśliwa. To było dla niej wielkie zaskoczenie.

Powinna cierpieć i żałować, że sprzedała pamiątki, jakie miała po matce - broszę ze szmaragdem i suknie przywiezione z dworu. Nadworny minstrel kilka razy chwalił klejnot i wyrażał chęć jego kupna. Choć suma, jaką zaproponował nie była wysoka, dziewczyna uznała targ za uczciwy.

Brosza, choć piękna, miała wielką wartość tylko w oczach Juliany, jako spuścizna po ukochanej nad wszystko osobie. Strojne, bogate suknie Melior na pewno sprzeda z zyskiem w mieście, ale trudno, ona i tak nie mogłaby pojechać z nimi na targ.

Przez wiele lat nie rozstawiała się z broszą, która stanowiła jej talizman, oparcie w świecie, w którym nikt jej nie kochał.

Teraz jednak, o dziwo, poczuła się wolna od wszelkich związków z przeszłością. Matka z pewnością nie wzięłaby jej za złe tego, że Juliana sprzedała skromne dziedzictwo, by zapewnić swemu dziecku szczęście i pochodzenie, którego nie będzie musiało się wstydzić.

Gdyby nie dziecko, które nosiła w swym łonie, odrzuciłaby po raz kolejny propozycję kuzyna. Nawet teraz jej duma, wierna towarzyszka smutnego i żalosego życia, buntowała się przeciw temu rozwiązaniu.

Najważniejsze było to, że miała wreszcie swoje wymarzone wiano. Klacz nie przedstawiała sobą wielkiej wartości, choć jeśli Ian miał dobrego ogiera, można było liczyć na źrebaki. Więcej wart mógł się okazać kawałek ziemi, który ofiarował jej Alan. Być może uda się jej posiać tam zioła, które potem sprzeda.

Juliana przeciągnęła dłonią po brzuchu i aby ukryć ten gest, przeciągnęła się, jakby była zmęczona długim siedzeniem. Chwała Bogu, miała dla Iana jeszcze ten podarunek, którego pragnął i który na pewno powita z miłością.

Następne cztery dni będą zapewne najdłuższe w moim życiu, pomyślała Juliana. Choć może uda się temu zaradzić, odezwała się bardziej praktyczna strona jej natury. Odłożyła sukienkę Kit, podeszła do skrzyni z wełną i aksamitem i pochyliwszy się nad nią, zaczęła przebierać wśród materiałów. W jakim kolorze będzie najbardziej do twarzy jej przyszłemu mężowi?

Ian jeszcze raz policzył złote monety. Czterdzieści i cztery - dość, by przyjęto Julianę do klasztoru. Chciał jej dać okrągłych pięćdziesiąt monet, ale zbroja i rumak, które musiał kupić, by móc nająć się do służby, kosztowały drożej, niż się spodziewał. Poza tym czekała go jeszcze daleka droga do Francji, a i tam będzie zapewne musiał sporo wydać, by móc się utrzymać, nim znajdzie sobie zajęcie.

Na razie jednak czekały go święta z chrześniakami i kobietą, która zawsze będzie dla niego znaczyła więcej niż ktokolwiek inny na świecie - z Julianą.

Wsypał monety do sakiewki i wsunął za pazuchę kaftana.

Nim opuści Dunningray na zawsze, powinien jeszcze ostatni raz przypatrzeć się temu miejscu, które przez minione pięć lat było jego domem. Teraz kasztel należał już do innego rycerza.

Ian nawet nie wiedział, kto będzie jego następcą. Targu dobił z ojcem Dennisem, który wystąpił w zastępstwie nowego właściciela, podobno jakiegoś rycerza z północy. Ian zaiste powinien dziękować Bogu za szczęśliwy zbieg okoliczności.

Nieznany rycerz był jedynym człowiekiem zainteresowanym kupnem tej ziemi i Ian bez wahania skorzystał z okazji. Cieszył się nawet, że nie musi osobiście zajmować się sprzedażą Dunningray.

Jak mógł kiedykolwiek sądzić, że uda mu się wyżyć z ziemi!

Zmarnował tylko majątek, jaki trafił w jego ręce. Dunningray pozostało kawalerskim gospodarstwem, domostwem bez ładu i składu, nie przynoszącym dochodów, za które mógłby dokonać niezbędnych napraw.

Obronna wieża, z wielką, zaniedbaną komnatą, w której mieszkał z sześcioma żołnierzami, powoli popadała w ruinę. Skąd właściwie przyszło mu do głowy, że mógłby zarządzać posiadłością, o ile to miejsce w ogóle zasługiwało na tak dumną nazwę.

Nie znał się na niczym prócz wojaczki. Czy była to prawdziwa bitwa, jak pod Bannockburn, czy zabawa, jak na turniejach, na

których tylekroć bywał z ojcem, Ian potrafił walczyć. Nawet jeśli nie umiał robić nic innego, to jedno było na pewno jego mocną stroną.

Z bożą pomocą uda mu się w ciągu paru lat zgromadzić jakiś majątek. Albo zginie, jeśli tak zadecydują niebiosy. Cokolwiek się stanie, przynajmniej nikt prócz niego nie będzie z tego powodu cierpiał.

Złoto, jakie otrzymał za Dunninggray, pozwoli mu zrealizować te plany. Co ważniejsze i co zadecydowało o tym, że zdobył się na ten krok, złoto pozwoli Julianie znaleźć szczęście w klasztorze. Z takim zapalem mówiła o swoim pragnieniu zostania mniszka i tak żałowała, że nie przyjmą jej do konwentu bez wiana.

Dla kobiety takiej jak ona, silnej i samodzielnej, klasztor był zaiste najlepszym wyjściem. Nie będzie podporządkowana żadnemu mężczyźnie, na czym tak jej zależało. A przy jej energii, kto wie, być może już za parę lat zostanie przełożoną zgromadzenia, do którego trafi. Matka Juliana. Choć chyba nadadzą jej nowe imię, gdy będzie składała śluby.

Myśl, że takie piękno zmarnuje się za klasztornym murem, rozdzierała mu serce. Tak bardzo pragnął Juliany, że nawet nie miał odwagi o niej myśleć. Bał się rozważać pomysł, by wykraść dziewczynę spod dachu Alana i wyruszyć z nią w świat.

Dokąd by zresztą poszli? Teraz nie miał już nawet tego żalosnego domu, jakim było Dunninggray. Nie miał jej dokąd zabrać. Nie miał niczego, co mógłby jej ofiarować, prócz dwóch garści złotych monet,

które pomogą jej w spełnieniu marzeń. Uśmiech, jakim go w zamian obdarzył Juliana, był wszystkim, na co mógł liczyć.

Z ciężkim westchnieniem sięgnął po grubą wełnianą opończę, narzucił ją na ramiona i wyszedł z wieży. Nie oglądając się za siebie, pomaszerował zdecydowanym krokiem do zrujnowanej stajni, gdzie czekał na niego rumak.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Juliana zakończyła ostatni ścieg w szarym, wełnianym kubraku, który uszyła dla Iana. Szkarłatne lamówki na kołnierzu i rękawach nadały mu zgoła królewski charakter, pomyślała z zadowoleniem. Rozłożyła kubrak na łóżku i położyła przy nim czerwoną czapkę z bażancim piórem.

- I co o tym myślisz? - spytała niespokojnie.

- Piękna szata, godna twego rycerza! - zapewniła ją Honor. - Ian będzie w niej wspaniale wyglądał. A co ty założysz?

Przyłożyła palec do ust, jakby rozważała trudne zagadnienie, choć prawda była taka, że nie miała wyboru. Sprzedawszy szaty matki Meliorowi, miała tylko prostą suknię bez kolorowych tasiemek i haftów, którą uszyła w pośpiechu. Na co dzień nosiła na zmianę dwie skromne sukienki z grubego sukna, które zakładała na szafranową koszulę.

- Tę zieloną, kamlotową suknię.

- Znakomity wybór - pochwaliła ją Honor. - Żadnych zbędnych fatałaszków, które odwracałyby uwagę od twojej urody. Chodź, pomogę ci się ubrać.

Dobra szkocka żona powinna nosić się skromnie i prosto, pomyślała Juliana, zdejmując codzienną sukienkę i płócienną koszulę. Dobrze zrobiła, uwalniając się od symboli angielskiego zbytku, jakie zostały jej w spadku po matce. Sprzedaż bogatych, jedwabnych i aksamitnych sukni była błahostką w porównaniu ze szczęściem, jakie być może już wkrótce stanie się moim udziałem, rozmarzyła się Juliana.

Pośpiesznie wsunęła przez głowę swoją jedyną lnianą koszulę - zbyt znoszoną, by mogła ją sprzedać. Bała się trochę, czy Honor nie zauważy jej nieco już zaokrąglonego brzucha.

- Mam nadzieję, że moja odmowa nie zniechęciła Iana na dobre - powiedziała. - Ale by mi było głupio, gdyby zdążył już znaleźć sobie inną!

Honor z komicznym pośpiechem rzuciła się do stołu, przy którym jadły podwieczorek, chwyciła piękne czerwone jabłko i podrzuciła w powietrze.

- Bądź co bądź, mamy Wigilię Bożego Narodzenia! Pora wróżb i cudów! Bierz nóż i obieraj - poleciła Honor - tylko pamiętaj, musisz to zrobić tak, aby skórka pozostała w całości, bo inaczej niczego się nie dowiemy.

- Tak, tak! - odpowiedziała Juliana ze śmiechem, bo dobrze wiedziała, o co chodzi. Choć jej samej nigdy nie starczyło na to odwagi, dworki w Gloucester wróżyły sobie w ten sposób co roku.

Przygryzając zębami dolną wargę, w skupieniu obrała jabłko. Gdy skończyła, zwinięta skórka upadła jej do stóp.

- Już! - krzyknęła, nie mając odwagi spojrzeć pod nogi.

- Popatrz, Jules! - zawołała Honor. - Zwinęło się w literę G! Trudno o wyraźniejszy znak! - oznajmiła triumfalnie. - G jak Gray. Będzie twój.

Pod wpływem impulsu dziewczyna objęła Honor, która odwzajemniła jej uścisk i przytuliła ją serdecznie.

- Dziękuję! - powiedziała żarliwie. Tak cudownie było mieć przyjaciółkę, która lubiła ją mimo jej uporu i ciętego języka. - Ale nikomu o tym nie powiesz, Honor? Obiecuj mi, że nie powiesz Ianowi o tych bzdurach.

Honor położyła palec na ustach.

- Ani słowa - obiecała szeptem, bo w końcu, który mężczyzna uwierzyłby, że o jego losie może przesądzić skórka od jabłka?

- Ja też nic Ianowi nie powiem - dobiegło je ciche piśnięcie spod łóżka.

- Christiano Strode! - krzyknęła Honor. - Wyłaż w tej chwili. Jak mogłaś tu wejść bez pozwolenia, moja młoda damo?

- Wujek Ian już przyjechał - oznajmiła mała, wyczołgując się spod łóżka.

- Widzę, że nie mogłaś wytrzymać, żeby nie wyjść na dziedziniec, choć mówiłam ci, abys tego nie robiła. Pada śnieg, na pewno masz kompletnie przemoczone ubranie!

Juliana roześmiała się, gdy usłyszała, jak dziewczynka natychmiast zagaduje matkę, by odwrócić jej uwagę od swojego przewinienia.

- Przyjechał na wspaniałym rumaku, jest taki wielki, rzy i rzuca łbem. Nie wolno mi do niego podchodzić, nawet w stajni. Może mnie ugryźć.

- Na nowym rumaku? - powtórzyła Honor zdziwiona. - To znaczy, że odkąd ostatnio tu był, jego los odmienił się na lepsze. Zostawiłaś wujka Iana w stajni?

- Tak. Powiedział, że chce porozmawiać z tatą, więc posłaliśmy Davy'ego, żeby go poszukał.

Juliana była pewna, że Ian nie wróciłby do Byelough, gdyby nie zamierzał prosić ją jeszcze raz o rękę. W przeciwnym razie nie przyjechałby, chcąc zaoszczędzić im obojgu zbędnego cierpienia. Chyba że przybył tylko po to, by zobaczyć dzieci.

Cokolwiek sprowadziło Iana, nie zamierzała rezygnować ze sposobności. Przede wszystkim chciała się zorientować, czy Ian nadal chce się z nią ożenić. W głębi serca była niemal pewna, że tak będzie. Potem podzieli się z nim dobrymi nowinami.

Powie mu o dziecku i o tym, że ma wiano. To będzie najlepszy prezent świąteczny, jakiego mógł się spodziewać, a ona będzie miała pewność, że go do niczego nie zmusza.

O tym, co zrobi, jeśli Ian nie zechce się z nią żenić, wolała nawet nie myśleć. Choć jej wiano nie było zbyt bogate, lepsze to niż nic. Modliła się w duchu, by domysły Honor, iż sprawy Iana również wzięły lepszy obrót, okazały się prawdą.

- Na pewno już omówili wszystko, co mieli do omówienia - powiedziała, pragnąc jak najszybciej dowiedzieć się, na czym stoi. - Chodźcie, zejdziemy do sieni.

- Za chwilę tam pójdziemy. Muszę przebrać Kit w suche ubranie. - Honor spojrzała surowo na małą. - I zbesztać ją za nieposłuszeństwo.

Uśmiechnięta dziewczynka podskakiwała przed matką, najwyraźniej nie przejmując się perspektywą bury. Nim wyszły, Kit wskazała na leżącą na podłodze skórkę jabłka.

- Czy wujek Ian będzie teraz twój, ciociu Jules? Czy to dzięki temu jabłku?

- Ależ nie, kochanie - odpowiedziała Juliana z pobłażliwym uśmiechem. - To tylko taka głupia zabawa.

- Chodź już, dziecino - Honor ujęła małą za rękę - i pamiętaj, ani słowa przy wuju Ianie o tym, co tu się działo. Wujek nie przyjechał do nas po to, by odkrywać tajemnice, tylko po to, aby spędzić z nami święta.

Juliana modliła się w duchu, by wizyta Iana miała jeszcze inny powód. Wiedziała, że będą dobrym małżeństwem. Kochała go i gotowa była zdobyć jego miłość. Chciała, żeby dziecko, które nosiła w łonie, było dla niego radosną niespodzianką, nie zaś przyczyną, dla której zdecyduje się na małżeństwo.

Chciała, by pragnął jej dla niej samej.

Po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna miała spędzić święta wśród ludzi, których kochała i którzy zdawali się odwzajemniać jej uczucia. Nie mogła się doczekać chwili, gdy zobaczy Iana. To będzie taka cudowna noc, pomyślała i przyśpieszyła kroku.

Zbiegła ze schodów z sercem pełnym radosnego podniecenia i z dumnie uniesioną głową. Ian stał w sieni, rozmawiając z małą Berthilde, która jak zawsze pożerała go oczami.

Jednocześnie z Julianą zjawił się w sieni Alan. Najwyraźniej obaj mężczyźni nie rozmawiali jeszcze ze sobą.

- Strode - Ian skinął głową Alanowi, po czym obrócił się do niej. - Pani Juliano.

Uklonił się jej kurtuazyjnie, ale jego oczy nie błyszczały radością, która nadawała jego twarzy pogodny wyraz. Powściągliwość Iana wzbudziła niepokój w sercu Juliany. Tym razem, odmiennie niż przy pierwszym ich spotkaniu, unikał jej dotknięcia, nawet jej nie pocałował w rękę.

Gdy odwrócił od niej spojrzenie, z pozoru pochłonięty podziwianiem świec, wstążek i jodłowych gałęzi, którymi przyozdobiono sień, Alan popatrzył na Julianę pytająco. Wzruszyła ramionami, by dać mu do zrozumienia, że nie ma pojęcia, o co chodzi.

Jazda w głębokim, mokrym śniegu, pod wiatr, musiała go zmęczyć. Świadczyła o tym zaczerwieniona od zimna twarz.

- Jak się masz, panie? - spytała.

- Dziękuję, dobrze. A ty, pani? - Uśmiechnął się do niej, ale zdawał się dziwnie chłodny i nieobecny, a w jego oczach nie było śladu radości.

- Znakomicie - odpowiedziała, starając się zachować dobry humor.

- Zmarzłeś. Chodź, dostaniesz miodu! - Alan poklepał Iana po ramieniu. - Wkrótce zacznie się biesiada, a potem będziemy się bawić. Ale w tej chwili muszę was na chwilę przeprosić. Zajmij się naszym gościem, Juliano, dobrze?

- Berthilde! Nie stój tak, jakby cię ktoś zaczarował! Przynieś miodu dla sir Iana.

Juliana z niepokojem patrzyła na jego zrezygnowaną, smutną minę. Troska o Iana sprawiła, że dziewczyna zdobyła się na większą niż zwykle śmiałość.

- Przemarzłeś, panie. Chodź, usiądź ze mną przy ogniu, dopóki nie podadzą do stołu.

- Z radością - powiedział, ale w jego głosie nie było ani śladu wesołości.

Czyżby się myliła, sądząc, że wciąż jej będzie pragnął? Czy tak miał jej dosyć po jednej wspólnej nocy, że perspektywa spędzenia z nią krótkiej chwili wystarczyła, by kompletnie zepsuć mu humor?

Gdy usiadł na ławie przed kominkiem, Juliana przysiadła się do niego. Wiedziała, że musi coś zrobić, by odzyskać jego zainteresowanie i szacunek, ale nie chciała mówić mu o wianie ani o dziecku, dopóki nie będzie pewna, że Ian wciąż jej pragnie.

Gdyby oznajmiła mu nowinę, z pewnością gotów byłby dzielić z nią odpowiedzialność za los dziecka, ale nie chciała go do niczego zmuszać. Jego duma była jej nie mniej droga niż jej własna.

Ian wiedział, że musi się otrząsnąć z melancholii, w jakiej go pogrążyła sprzedaż Dunniegray. Choć poczucie, że jest właścicielem posiadłości, tak wiele dla niego znaczyło, przyszłe szczęście Juliany było dla niego dużo ważniejsze. Powinien się cieszyć, że może jej pomóc w osiągnięciu upragnionego celu.

Przyjął z rąk służącej kubek gorącego, wonnego miodu i stuknął lekko w puchar Juliany.

- Wypijmy za twoje szczęście, słodka pani - wznosił toast.

- I za twoje szczęście, panie - odpowiedziała, czując, że wraca jej otucha.

Uśmiechnął się do niej z przymusem.

- Widzę, pani, że jakaś zręczna ręka pięknie przyozdobiła Byelough na święta Bożego Narodzenia. Pewny jestem, że to twoje dzieło.

Juliana aż pojaśniała, dumna z jego pochwały.

- To prawda, że pomagałam przy tej pracy. Pięknie to wygląda, prawda?

- Stosowna to oprawa dla klejnotu, jakim jesteś, pani - powiedział, patrząc na nią głodnym wzrokiem.

Skromna zielona suknia sprawiła, że jej włosy zdawały się płonąć. Juliana nie nosiła już muślinowej woalki ani bogatych angielskich

sukni. Miała na sobie prosty, skromny strój, w którym wyglądała, jakby już podjęła nowicjat.

Zerknęła krytycznie na swą suknię i roześmiała się.

- Jesteś dla mnie bardzo łaskawy, panie.

- Czy tamta suknia... którą miałaś na sobie tej nocy... Czy nie dało się jej naprawić? - spytał, natychmiast żałując, że podjął ten temat.

- Nic się jej nie stało. Poza tym miała już swoje lata, moja matka nosiła ją kiedyś na dworze.

- Skoro to pamiątka po matce, tym więcej musi być dla ciebie warta.

- Na szczęście wiem, że nie należy zanadto cenić strojów - odpowiedziała, bez powodzenia usiłując zdobyć się na uśmiech.

Ian chwycił ją za rękę.

- Przepraszam, pani. Za nic nie chciałem cię zasmucić, a jednak to zrobiłem.

- Nie zasmuciłeś mnie - zapewniła go. - Myślę, że matka mnie kochała, ale nie poznałam jej nigdy bliżej. Wyjechała od nas, by służyć królowej, gdy byłam jeszcze dzieckiem. Ojciec posyłał jej wszystko, co zarobił jako burgrabia stryja Adama. Nigdy więcej jej nie widziałam.

- Być może nie miała innego wyjścia, niż służyć na królewskim dworze.

- Miała taki wybór jak ja, gdy król chciał, bym poślubiła jego fagasa.

- Dała ci wszystko, co mogła, Juliano. Jestem pewny, że musiała cię bardzo kochać.

Wysunęła ręce z jego dłoni.

- Jestem pewna, że łatwo znajdziemy sobie lepszy temat do rozmowy. Spójrz, przyszli już Honor i Alan, siądźmy z nimi do stołu.

To, co powiedziała mu o swej matce, bardzo poruszyło Iana, który nigdy nie poznał własnej rodzicielki. Juliana potrzebowała kogoś, kto kochałby ją i kto by się o nią troszczył. Tak pragnął być jej podporą, lecz zły los zrządził inaczej. Pozostawała ma tylko nadzieja, że Juliana odnajdzie spokój za klasztornym murem.

Podczas wieczerzy podsuwał Julianie co lepsze kąski i chwalił razem z nią dzieła kucharzy z Byelough, choć w jego ustach jedzenie zdawało się pozbawione wszelkiego smaku.

Ian starał się nie myśleć o pustce w sercu, bólu w głowie i mrowieniu w całym ciele, jakie odczuwał, ilekroć Juliana uśmiechnęła się do niego lub musnęła go ręką. Teraz dopiero uświadomił sobie, że sprzedaż Dunniegray była drobnostką, bo oto tracił miłość swego życia.

Pomyślał, że gdyby jak najszybciej załatwił swoje sprawy, zostawił Julianie złoto i czym prędzej opuścił Byelough, byłoby mu lżej na duszy, ale śnieżycy i noc nie pozwalały mu ruszyć w dalszą drogę wcześniej niż rankiem. Jutro, o świcie da dziewczynie pieniądze i odjedzie, postanowił.

Kiedy służba uprzątnęła stoły, zaczęła się zabawa. Królem Biesiady wybrano trubadura Meliora, który z zapalem przystąpił do

wypełniania swoich obowiązków. Na początek tańczył z lady Honor, a potem z Julianą, obracając je w szalonym pląsie tak długo, póki ze zmęczenia nie zaczęły potykać się o własne nogi.

Ian z zazdrością patrzył, jak podstarzały minstrel zasiada u stóp opiekunki Kit, panny Nan, wyśpiewując sprośną piosnkę, która sprawiła, że na zasuszoną twarz starej panny wypełził purpurowy rumieniec. Wiele by dał za to, by móc równie otwarcie i swobodnie wyrazić przy wszystkich swoje uczucia wobec Juliany i poprosić o jej wzajemność.

Oni jednak nie należeli do służby i nie mogli się spodziewać, że gdy założą rodzinę, zadba o nich pan Byelough. Ian był rycerzem, Juliana pochodziła z rycerskiego rodu i oboje musieli sami troszczyć się o swoje utrzymanie.

- Rusz się, Gray! Co się stało z twoimi nogami, że nie tańczysz? - zaczął go Alan, prowadząc Julianę na środek sali, gdzie wesoło pląsali pozostali biesiadnicy. - Proś do tańca moją panią, bo ja będę teraz tańczył z kuzynką.

Ian posłusznie wstał, by spełnić życzenie Alana. Przecież gospodarze zamku byli dla niego jak rodzina. Wiedział, że niezależnie od tego, jak się potoczą jego dalsze losy, zawsze będzie w Byelough mile widzianym gościem. Był też pewien, że pewnego dnia wróci do nich, by dowiedzieć się, jak powodzi się Julianie w klasztorze.

- Mój Boże, ależ ty masz dziś smutną minę, Ianie! Czy coś się stało? - spytała go Honor, gdy prowadził ją do tanecznego kręgu.

Ian uśmiechnął się z wysiłkiem.

- Wiele się stało, pani, ale nie martw się o mnie, jeszcze wszystko będzie dobrze... niedługo.

Roześmiała się i uścisnęła jego dłoń.

- Domyślam się przyczyn twego smutku. - Honor rzuciła wymowne spojrzenie w stronę swego męża i Juliany, po czym z miną doświadczonej mężatki dodała: - Miłości nie należy się bać.

- Bać się miłości? - spytał zaskoczony. - Niczego bardziej nie pragnę niż miłości, Honor.

- No cóż, zatem nie pozostało ci nic innego, jak przyjąć to, co zgotował ci los. Nic więcej cię chyba nie trapi?

- Nic, pani.

Nic więcej, pomyślał, prócz myśli o tym, jak zapanować nad egoizmem i udowodnić Julianie, że jej szczęście jest mu droższe niż własne. A to wcale nie było takie łatwe dla kogoś, kto nie zwykł zaprzętać sobie głowy cudzymi troskami.

Gdy o północy przyszła pora pasterki, na zamku zapanował poważniejszy nastrój. Otuleni w opończe i futra ludzie brnęli przez zaśnieżony dziedziniec do świeżo ukończonej kaplicy, by wysłuchać kazania i modlić się o zbawienie duszy.

Juliana szła za innymi ze ściśniętym sercem. Choć Ian przez cały wieczór śmiał się i żartował, jego oczy pozostawały poważne i smutne. Był zupełnie inny niż wówczas, kiedy go poznała. Nie wiedziała, co się z nim stało, ale czuła, że wydarzyło się coś strasznego.

Przez cały czas, który spędzili razem, żadnym słowem, gestem ani nawet spojrzeniem nie pokazał po sobie, że zamierza poprosić ją raz jeszcze o rękę. Zachowywał się tak, jakby ledwo co się spotkali, jakby ich nic nie łączyło. Juliana czuła, jak strach chwyta ją za gardło. Co pocznie, jeśli nie będzie jej chciał? Co się z nią stanie, jeżeli nie zechce jej poślubić nawet wtedy, gdy dowie się o dziecku i posagu, który otrzymała od Alana?

Ledwo słuchała ojca Dennisa, który przez długie nocne godziny recytował na zmianę to groźne, to budzące nadzieje łacińskie słowa Pisma, podczas gdy zgromadzeni klękali lub wstawali z klęczek w stosownych chwilach. Ciepłe ramię Iana tuż obok jej ramienia dodawało Julianie otuchy i pomagało znieść długie godziny czuwania. Kilka razy zdawało się jej, że zapadła w drzemkę, opierając głowę na jego ramieniu.

Ilekroć na niego spoglądała, miał tę samą smutną i pełną czułości minę. Czy jest jeszcze dla nich nadzieja? Tak, zdecydowała. Powinni mieć nadzieję i modlić się o jej spełnienie.

W końcu przez okna wdarły się do kaplicy pierwsze promienie słońca, rzucając blask na zgromadzonych tu ludzi. W ciągu nocy, w trakcie jednej z trzech kolejnych mszy, które odprawił ojciec Dennis, ustała śnieżycy i wiatr rozgonił chmury. W końcu jutrznia dobiegła końca wraz z radosnym błogosławieństwem, którym obdarzył swe owieczki ojciec Dennis. Zgromadzeni wstawali z miejsc.

Ian usłyszał ciężkie westchnienie wyczerpanej wielogodzinnymi modlitwami Juliany. Gdy wracali przez dziedziniec do zamku, ujął ją pod rękę, a ona z ulgą przyjęła tę pomoc.

- Czy będziesz przy wręczaniu podarków? - spytała.

- Już mi to Kit przykazała, choć i tak bym przyszedł - odpowiedział. - Gdy tylko przyjechałem, powiedziała mi, że ona i mały Adam mają piękny prezent dla Dzieciątka.

- I na pewno wie już, o jaką łaskę będzie prosić niebo w zamian - zaśmiała się Juliana.

- Nie sobie chce Kit wyprosić w niebie łaskę - powiedział Ian, ujmując jej dłoń. - Matka poradziła jej troszczyć się o innych. Kit wyznała mi, że będzie prosić Boga o życzliwość dla swej najukochańszej przyjaciółki.

- Jakie to słodkie z jej strony! - wykrzyknęła. - Czy powiedziała ci, kto to jest?

Ian wzruszył ramionami.

- Myślę, że kicia, którą jej dałem w zeszłym roku. Mała nie widzi świata poza tą rozpieszczoną kotką.

- To prawda - przyznała Juliana. - Dzieci są takie otwarte w swoich uczuciach, prawda? Szkoda, że z wiekiem tracimy zdolność do takiej szczerej, nie zatrutej zwątpieniem miłości.

Popatrzył na nią pytająco.

- Czy ty umiałabyś tak kochać, Juliano?

Nienawidził samego siebie za to, że przysparza sobie udręki, ale nie potrafił się powstrzymać przed zadaniem tego pytania.

Juliana spojrzała mu prosto w oczy.

- Umiałabym - odpowiedziała po prostu. - I tak właśnie kocham.

Ian poczuł, że ściska mu się serce. Wiedział, że Juliana mówi prawdę. Jakże mogłaby myśleć o życiu klasztornym, w którym nie ma niczego prócz służby, pokuty i wyrzeczeń, gdyby nie kochała Boga czystym i szczerym sercem. Choć graniczyło to z bluźnierstwem, poczuł ukłucie zazdrości.

- Godna pochwały jest taka miłość do Boga. Bo nie wątpię, że tak Go właśnie kochasz.

Juliana nie odpowiedziała. Szła po zaśnieżonych schodach z pochyloną głową, wsparta na ramieniu Iana, a on chciał chwycić ją w ramiona i krzyczeć, że kocha ją ponad wszystko i pragnie jej bardziej niż nieba. Dlaczego ona nie czuła tego samego? Rozum kazał mu milczeć, bo nawet gdyby zdobył jej, tak upragnione, wyznanie miłości, cóż za przyszłość ich czekała?

Ustawiona obok kominka szopka wywołała pomruki podziwu.

Ian poczuł się dumny, bo on także miał swój udział w powstaniu zbożnego dzieła. Co roku przywoził swym chrześniakom kolejne dębowe figury uczestników niezwykłej sceny. Gdy Kit miała rok, po dwóch miesiącach pracy ukończył postaci Matki Bożej i Dzieciątka, a potem rok w rok dodawał jedną figurę niemal naturalnej wielkości.

W tym roku ukończył i pomalował Melchiora i przywiózł go do Byelough, by ustawić obok dwóch innych mędrców.

- Jakie piękne rzeźby - zachwyciła się Juliana. - Honor musiała przywieźć je z Francji.

Ian nic na to nie odpowiedział, bo dzieci właśnie uklęły przed szopką, by złożyć Zbawicielowi własny hołd. Gdy czyste głosiki połączyły się w chóralnym śpiewie, Ian poczuł głębokie wzruszenie.

Uświadomił sobie, jak bardzo będzie mu brakowało Byelough i jego mieszkańców. Bardziej jednak niż za innymi będzie tęsknił za stojącą przy nim dziewczyną. Spojrzał na Julianę. Tak się złożyło, że i ona uniosła na niego wzrok. Ian uniosł rękę i otarł spływającą po jej policzku samotną łzę wzruszenia.

To, co poczuł w tej chwili, było czymś daleko potężniejszym od fizycznego pożądania. Ian poznał, czym jest miłość, czysta i wierna. Miłość, która nigdy się nie skończy. I nigdy się nie spełni.

Uroczysta chwila zakończyła się powszechnym „amen”.

Ian patrzył na dziatwę, która zgromadziła się wokół szopki. Jako przyszli dziedzice Byelough, Kit i Adam mieli pierwsi złożyć swoje dary Najświętszej Dziewicy, by dać przykład innym. Później dary czynione w imieniu Dzieciątka mieli otrzymać ci, którym w udziale przypadł skromniejszy los ziemskiego bytowania.

Honor wzięła w ramiona wiercącego się niespokojnie Adama i pomogła mu złożyć złoty pieniążek u stóp Matki Boskiej. Zapaliła za chłopczyka świecę i zmówiła krótką modlitwę.

- W imieniu mego syna proszę cię, Święta Matko, o zdrowie naszych poddanych w nadchodzącym roku i dziękuję Ci za opiekę, jaką nas darzyłaś w mijającym. Amen.

Potem podeszła Kit, przyciskając do piersi małą książeczkę w skórzanej oprawie. Nim uniosła ją wysoko w powietrze w swej różowej, pulchnej rączce, spojrzała na Iana i uśmiechnęła się do niego.

Natychmiast poznał, co Kit trzyma, i poczuł się zaszczycony jej wyborem. W skórzanej oprawie znajdowały się małe obrazki, jakie jej przywoził w prezencie za każdym razem, gdy odwiedzał Byelough. Miał nadzieję, że Kit cieszy się nimi tak samo, jak cieszył się on, kiedy rysował je piórkiem i kiedy słuchał historyjek, jakie mała wymyślała o każdej z tych postaci. Z aprobatą skinął głową.

Dziewczynka uklękła i położyła jego rysunki przed figurą Matki Boskiej. Potem wzięła od matki długą, cienką świecę i zapaliła ją od grubej gromnicy. Ze złożonymi rączkami i schyloną główką Kit przedstawiła Najświętszej Dziewicy własne prośby:

- Błogosławiona Matko, piękny aniele, wysłuchaj mego błagania - zaczęła dźwięcznym głosem. - Nie proszę cię o pokój, bo o to dba mój tata.

Kilka osób, w tym Alan, zaśmiało się cicho na te słowa.

- Nie proszę cię o dostatek, bo niczego nam nie brakuje.

To oświadczenie wywołało z kolei głosy żywej aprobaty i pochwały.

- Proszę cię, byś zadbała o wujka Iana - oznajmiła Kit.

- Jest zimno i wujek Ian potrzebuje damy, która ogrzałaby jego łoże. Ciocia Jules mogłaby to robić równie dobrze w Dunningray jak w Byelough, gdybyś sprawiła, że zostanie żoną wujka. O to tylko cię proszę. Amen.

Rozległo się kilka stłumionych okrzyków, po czym zapanowała nienaturalna cisza. Ian popatrzył gniewnie na Alana, potem na Honor. Czy w Byelough nie może się uchować żadna tajemnica? Czy wszyscy muszą wiedzieć, że Juliana przyszła do niego w noc przed świętym Michałem? Ujął Julianę za rękę i sapiąc z oburzenia, pociągnął ją za sobą do wyjścia.

Odważył się podnieść na nią wzrok dopiero wtedy, gdy stanęli na schodach przed zamkiem. W porannym słońcu śnieg skrzył się i błyszczał niczym diamentowy kobierzec. Że też w taki piękny dzień ich sprawy musiały przybrać tak okropny obrót! Dobre imię Juliany zostało na zawsze zhańbione.

Popatrzyła na niego wielkimi oczami, przygryzając wargi.

- Nie będziesz musiała długo znosić tego wstydu - zapewnił ją szorstko. - Gdy tylko będziesz gotowa, zawiozę cię do klasztoru, jaki sobie wybierzesz.

- Jak to do klasztoru? - spytała zdumiona.

- Powiedziałaś mi, że chcesz iść do klasztoru, ale nie możesz, bo nie masz wiana. - Sięgnął w zanadrze, wyciągnął sakiewkę z pieniędzmi i wcisnął jej w rękę. - Oto mój prezent dla ciebie. Z takim wianem powitają cię chętnie w każdym klasztorze, do jakiego zechcesz wstąpić.

- Oszalałeś! - krzyknęła. - Nie mogę pójść do klasztoru!

- Gdy wniesiesz dostatecznie bogate wiano, nikogo nie będzie obchodziło, czy jesteś dziewicą.

- Obawiam się, że nie będzie to takie łatwe! - zaprotestowała oburzona.

Ian bezsilnie opuścił ręce.

- Dlaczego? Dlaczego spierasz się ze mną, skoro wszystko, czego chcę, to spełnić pragnienie twego serca.

Juliana zmarszczyła brwi i popatrzyła na niego boleśnie. Nagle z całej siły uderzyła go pięściami w pierś.

- Głupcze! Jak mam iść do klasztoru, skoro od trzech miesięcy noszę w łonie twoje dziecko!

Ian wstrzymał dech.

- Matko Przenajświętsza! Dziecko?

Juliana cofnęła się o krok.

- Nie sądzę, byśmy mieli prawo obwiniać o to Świętą Dziewicę - powiedziała szyderczo i gorzko. - Modlitwa Kit nijak się ma do faktu, że jestem brzemienna. To owoc moich uczynków. I twoich.

Nie zwracając uwagi na śnieg, Ian osunął się i usiadł na schodach, chowając twarz w dłoniach.

- Mamy dziecko - szepnął takim głosem, jakby wciąż jeszcze nie dawał wiary słowom Juliany.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Juliana nie mogła się doczekać, aż Ian przyjdzie do siebie. Zdawała sobie sprawę, że przeżył prawdziwy szok. Ale przecież wcale nie chciała powiedzieć mu tego w taki sposób. Ani tak wcześnie.

Gniewne słowa same wyrwały się z jej ust. Teraz gorzko żałowała, że nie ugryzła się zawczasu w język.

Ian będzie ją musiał poślubić, czy będzie tego chciał, czy nie. Alan nie pozwoli, by sprawy potoczyły się inaczej. Ale ona nie miała powodów do radości. W końcu poznała odpowiedź na dręczące ją od tyłu tygodni pytanie, czy Ian będzie ją jeszcze chciał za żonę. Gotów był poświęcić sakiewkę złota, byle tylko uwolnić się od kłopotliwej kochanki.

Z drugiej strony, skoro podzieliła się z nim wiadomością, która okazała się dla niego tak trudna do przyjęcia, mogła mu ulżyć, oznajmiając i lepszą nowinę. Może wówczas łatwiej mu będzie pogodzić się z tym, co zaszło.

- Alan obiecał mi wiano - powiedziała, rozcierając ramiona, bo przeszedł ją lodowaty dreszcz.

Teraz dopiero uświadomiła sobie, że wciąż trzyma w ręku wypchaną sakiewkę. Z obrzydzeniem cisnęła na ziemię złoto, którym Ian chciał się wykpić. Odrzucił jej miłość, zranił dumę i złamał serce.

- Zabierz to - powiedziała. - Nie będzie mi potrzebne.

Ian podniósł sakiewkę i wstał.

- To złoto miało być prezentem dla ciebie, Juliano. Mówiłaś o klasztorze tak, jakbyś chciała...

- Żyć w klasztorze? Doprawdy! Kpiłam sobie z samej siebie. Czy naprawdę potrafisz sobie wyobrazić mnie jako zakonnice? - Zaśmiała się gorzko. - A skoro mówimy o prezentach, czy uwierzysz, że chciałam dać ci w prezencie swoją rękę? Swoją zgodę? I dziedzica.

Cóż, teraz będziesz musiał przyjąć to wszystko, choć widzę, że wcale tego nie pragniesz.

- Taka jesteś pewna, że wiesz, czego chcę? - spytał z bolesną drwiną.

- Alan obiecał mi kawałek ziemi i klacz, na której tu przyjechałam. - Wzięła głęboki oddech i dodała: - By mu za to zapłacić, sprzedałam rzeczy, które odziedziczyłam po matce.

- Czemu poświęciłaś to, co ci było najdroższe? - spytał gwałtownie. - Przecież mówiłem, że chciałbym cię za żonę i bez wiana.

- Owszem, mówiłeś - przyznała - ale ja nie potrzebuję ani twojej litości, Ianie, ani litości mego kuzyna. Jest w tobie tak wiele dumy, że z pewnością będziesz umiał zrozumieć, że i mnie jej nie brakuje. Niewiele mogę wnieść, ale przynajmniej nie będę dla ciebie wyłącznie ciężarem.

- Nigdy tak o tobie nawet nie pomyślałem, Juliano. Nigdy.

Niecierpliwie potarł twarz i pokręcił głową.

- Wcale nie jestem pewny, czy Alan tak łatwo zgodzi się na nasze małżeństwo. Ty sama także możesz jeszcze zmienić zdanie.

- Czemu miałabym to zrobić? - spytała zaskoczona.

Chciała popatrzeć mu w oczy, ale Ian wbił spojrzenie w ziemię.

- Nie miałbym cię dokąd zabrać po ślubie - wyznał ledwie słyszalnym szeptem.

- Co chcesz przez to powiedzieć? A Dunningray? Słyszałam, że nie jest to wielki zamek jak Byelough. Honor mówiła mi, że wymaga wielu napraw, ale wspólnie moglibyśmy...

- Nie ma już Dunningray - powiedział dziwnie obcym głosem. - Sprzedałem kasztel.

Miana chwyciła go za ramiona.

- Sprzedałeś? Dlaczego? Przecież to był twój dom! Honor zdradziła mi, że Dunningray nie przynosi ci dochodów, ale z pewnością...

Spojrzała na sakiewkę, którą wciąż trzymał w dłoni i urwała w pół zdania.

- Och, nie! Nie po to chyba sprzedałeś Dunningray, by dać mi to złoto. - Chwyciła sakiewkę i potrząsnęła nią gwałtownie. - Powiedz mi, że to nieprawda!

Z ciężkim westchnieniem objął ją ramionami.

- Sprzedałbym własną duszę, by spełnić twoje marzenia, Juliano. Może teraz uwierzysz wreszcie w moje uczciwe intencje. To prawda, kochałem Dunningray, choć był to tylko stary kasztel, a ziemia jest tam bagnista i nieurodzajna. Tego majątku nie sposób było doprowadzić do rozkwitu bez pieniędzy.

Wiedziałem, że zasługujesz na coś lepszego niż nędzna ruina. I naraz przyszło mi do głowy, że jeśli sprzedam Dunningray, będę mógł zapewnić ci to, czego, jak sądziłem, pragniesz.

- Musisz oddać pieniądze i odzyskać Dunningray!

Ian pokręcił głową.

- Nie mogę. Ojciec Dennis znalazł nabywcę i przed dwoma tygodniami dobiliśmy targu. Zresztą część złota już wydałem na konia i zbroję.

- Co zamierzasz zrobić, Ianie? Dokąd się wybierasz?

- Na kontynent, szukać szczęścia na turniejach rycerskich. Mam nadzieję, że zwyciężę i znajdę wśród panów, którzy będą przyglądać się zmaganiom, takiego, który zechce przyjąć mnie na służbę.

Juliana zacisnęła palce na jego twardych ramionach. Turnieje rycerskie są takie niebezpieczne. Często słyszała o wypadkach, do jakich dochodzi podczas tych zmagania. Tak się bała, że coś mu się stanie. Oczami wyobraźni już widziała jego ciało - poranione, zakrwawione...

- Chcesz narażać życie... Zdajesz się na ślepy traf. Możesz zostać ranny. Możesz zginąć. A co, jeśli...

- Zanim wyjadę, oczywiście cię poślubię. - Ujął ją za rękę. - Daj złoto Alanowi, niech je przeznaczy na twoje... na wasze utrzymanie. Alan to dobry człowiek i twój krewny. Nie oszuka cię. Choć przykro mi, że wszyscy wiedzą...

- Nie zostanę tutaj. - Juliana pokręciła głową. - Moje miejsce jest przy tobie.

Ian gwałtownie zaprotestował:

- Ależ ja nie mogę cię zabrać ze sobą, kobieto! Czy tego nie rozumiesz?

Odepchnęła go gwałtownie i otworzyła drzwi.

- Wejdźmy do środka. Nie zamierzam stać tu i marznąć, dopóki nie zdecydujesz, co jest dla ciebie najlepsze!

Gdy szła przez sień do schodów prowadzących na górę, do jej izdebki, ludzie rozstępowali się przed nią w milczeniu. Ian poszedł za Juliana. Słyszała jego ciężkie kroki i dzwonienie ostróg.

- Zaczekaj, Juliano! - zawołał. - Najpierw weźmy ślub. Jeszcze dziś. A potem...

- Zrobię, co zechcę - dokończyła za niego gniewnym tonem. - Jeśli mnie zostawisz, pojedę za tobą sama. Może mi nie wierzysz? Będę jechała konno, dopóki nie zrobię się za gruba, by utrzymać się w siodle. Potem pójdę pieszo, jeśli będę musiała, ale nie odstąpię cię, Ianie!

Za późno ugryzła się w język. Z sieni dobiegły podniecone szepty.

- Za gruba?

- Ach, więc ona spodziewa się dziecka - rzekł ktoś.

- Ian zrobił Julianie dziecko! - krzyknął ktoś inny.

Chwycił ją pod rękę i pociągnął w stronę schodów.

- Powiedz to całemu światu, czemu nie?

W chwilę potem wprowadził zdyszana i bliską łez dziewczynę do jej izdebki.

- Usiądź! - polecił, sadzając ją na łóżku. - Nie ruszaj się przez chwilę.

Siedziała, podczas gdy on przemierzał pokój tam i z powrotem, zatrzymując się od czasu do czasu, by rzucić jej gniewne spojrzenie.

- Kocham cię! - oznajmił w końcu oskarżycielskim tonem. -
Wiesz o tym?

Pokręciła głową. Choć sytuacja była okropna, a Ian sprawiał
wrażenie srodze zagniewanego, jego słowa sprawiły jej wielką
przyjemność.

- To prawda - zapewnił ją. - Wiedziałem o tym od chwili, kiedy
cię pierwszy raz ujrzałem. Nie będę ciągał cię za sobą po świecie, nie
wiedząc, czy będę mógł zapewnić ci strawę i odzienie. I nie chcę,
żeby moje dziecko tułało się od zamku do zamku.

- Ale ja chcę.

- Cicho! Nie masz pojęcia, o czym mówisz. Ja prowadziłem takie
życie i wiem, jak to jest - przerwał jej szorstko. - Mój ojciec stracił
majątek, gdy miałem sześć lat. Zabrał mnie wtedy i wyruszyliśmy w
drogę. To było okropne. Potem, gdy poszedł na służbę, zostałem jego
giernkiem, choć ledwie potrafiłem dosiąść konia.

Ian skrzywił się, wspominając cierpienia, jakich doznał w
dzieciństwie.

- Choć mój ojciec był silnym i mężnym rycerzem, bywały chwile,
gdy nie mógł uchronić mnie przed cudzym gniewem lub... lub
zainteresowaniem. Nie pojedziesz ze mną, Juliano. To moje ostatnie
słowo!

Poczuła, że napływają jej do oczu łzy. Tak łatwo przychodził jej
ostatnio płacz. Teraz jednak nie użalała się nad sobą. Opłakiwała los
chłopca, który tułał się po świecie, pośród obcych i okrutnych ludzi,
narażony na Bóg wie jakie cierpienia.

Ona także podjęła nieodwołalną decyzję. Tym razem Ian nie będzie samotny. Wiedziała, że uparty rycerz tak łatwo nie przystanie na jej warunki.

- Albo zostaniesz ze mną, Ianie - powiedziała łagodnie, ocierając rękawem oczy - albo będziesz mnie musiał ze sobą zabrać.

Popatrzył na nią gniewnie.

- Czy boisz się, że będą z ciebie drwić, bo poczęłaś przed ślubem?
- spytał, wskazując głową na drzwi. - Czy dlatego chcesz ze mną jechać?

- Nie boję się niczego prócz życia bez ciebie, Ianie - powiedziała żarliwie. - Potrzebujesz mnie, a ja jeszcze bardziej potrzebuję ciebie. Wiesz, że tak jest.

- Ze względu na dziecko?

- Nie - powiedziała i wyciągnęła drżącą dłoń, by pogłaskać Iana po twarzy, jednocześnie kładąc rękę na łonie. - Chcę, abyśmy żyli razem. Wszyscy troje. Nie obchodzi mnie, czy będzie nam lekko, czy ciężko.

Przez długą chwilę nic nie odpowiadał, ale jego twarz powoli łagodniała. Gniew zniknął z jego oczu. Podeszedł do Juliany i pogładził ją po głowie.

- Naprawdę jesteś gotowa porzucić spokój i bezpieczeństwo, by narażać się na trudy i próby, jakich zapewne nie zaoszczędzi nam los?

- Kocham cię, Ianie - wyznała bez fałszywego wstydu. - Kocham cię od chwili, gdy cię zobaczyłam.

Uśmiechnął się kpiąco.

- Broniłaś się przed tą miłością bardziej ode mnie.

- Nie dość się jej opierałam - przypomniała mu, wskazując spojrzeniem na swe łono.

Uklęknął przed nią.

- Czy poślubisz mnie, Juliano? Jeszcze dziś?

- Myślę, że nie mamy wielkiego wyboru. Sam wiesz, że Alan nie zniósłby hańby, jaką mu przyniosłam.

Przytulił ją mocno i musnął czułym pocałunkiem jej usta.

- Więc takie prezenty miałaś dla mnie na Boże Narodzenie - uległość, zgodę na małżeństwo i dziecko.

Odwzajemniła jego pocałunek.

- Czy przyjmiesz moje dary w dobrej wierze i zgodzisz się, bym z tobą pojechała? Czy też zamierzasz mnie poślubić, a potem wyjechać, zostawiając mi na osłodę garść złota?

Wstał gwałtownie i odwrócił się od niej.

- Zobaczymy. Przede wszystkim muszę porozmawiać z twoim kuzynem. Zaczekaj tu na mnie, byś nie musiała wystawiać się na widok wścibskim oczom.

Juliana wstała i poprawiła suknię. Potem podeszła do Iana i ujęła go za rękę.

- Idę z tobą.

- Jak widzę, nie masz zamiaru być posłuszną żoną - rzekł, ale odwzajemnił uścisk jej dłoni.

- Albo weźmiesz mnie ze wszystkimi zaletami i przywarami, albo nie dostaniesz niczego.

Objął ją mocno.

- Ta mała sakiewka złota, którą ci ofiarowałem, stanowi nędzną odpłatę za skarby, jakimi ty mnie obdarzyłaś, kochanie.

Odchyliła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Sprzedałeś dla mnie wszystko, co miałeś.

- Tak jak i ty. Teraz nie mamy nic - odparł ze wzruszeniem ramion. - Jak to może być, że chcesz dzielić się tym niczym z rycerzem bez ziemi i domu, który ma takie marne widoki na przyszłość?

Uśmiechnęła się do niego. Wbrew temu, co mówił, była całkiem zadowolona z obrotu, jaki przybrały sprawy.

- Bardzo się mylisz, Ianie! Masz nowego konia i zbroję, to... - poklepała wybrzuszenie, w którym kryła się sakiewka ze złotem - i jeśli mnie poślubisz, będziesz miał także moje wiano.

- Nie jeśli, lecz kiedy cię poślubię - poprawił Ian i odwzajemnił jej uśmiech, choć napięcie nie do końca znikło z jego oblicza. - Bo niezależnie od tego, co nas czeka, masz jeszcze całą moją miłość.

- Twoja miłość mi nie wystarcza - powiedziała Juliana. - Przyznaję, że pragnę jej ponad wszystko. Ale chcę również, byś mi zaufał tak, jak ja ufam tobie. Jakoś damy sobie radę. Uda nam się tylko wtedy, gdy będziemy trzymać się razem.

- A zatem chodź ze mną, Juliano Storde - zaśmiał się Ian i pociągnął ją za sobą do drzwi. - Jeśli chcesz zobaczyć, jak dorzucam na szalę jeszcze swoją dumę.

- Nie sędę, by miała ona wielką wagę - powiedziała lekko, zdając sobie sprawę, że to pomoże Ianowi znieść poświęcenie, na jakie się zdobył. - Mam zresztą wątpliwości co do tego, czy rzeczywiście gotów jesteś wyzbyć się całej swojej dumy.

Juliana grubo się myliła, pomyślał Ian. Nim ta rozmowa dobiegnie końca, Alan Strode wyzuje go z resztek dumy.

Gospodarz zamku siedział wygodnie w swojej komnacie i spoglądał kpiąco na ubogiego sąsiada i brzemienne kuzynkę, najwyraźniej rozkoszując się ich upokorzeniem. Czemu, na Boga, zgodził się, aby Juliana była świadkiem tej niesmacznej sceny?

Lady Honor siedziała obok, udając, że nie zwraca uwagi na kpiny, jakich nie szczędził Ianowi jej mąż, lecz na jej ustach zdawał się błąkać leciutki uśmieszek. Pewnie i ona cieszyła się z upokorzenia biedaka, który tylekroć dopiekl w żartach jej mężowi.

- Jeśli przyjmiesz mnie na służbę, panie, pojedę za ciebie na wojnę, gdy będzie taka potrzeba - zaproponował Ian, starając się zachować spokojny ton. - Nie będziesz przecież chciał zostawić rodziny.

Alan rozważał przez chwilę jego słowa.

- Jeśli nasz król Robert wezwie nas na wojnę, każdy z nas będzie musiał stawić się osobiście. Nie wyślę nikogo, by walczył za mnie. Chcę wiernie służyć naszemu panu.

- Mogę zająć się szkoleniem twoich ludzi. Będziesz miał mniej obowiązków.

- Moi ludzie radzą sobie w polu lepiej od wielu innych żołnierzy, Ianie. Nie potrzebuję najemnika, by nauczyć ich, jak mają walczyć.

Ian westchnął ciężko. Nie pozostawało mu nic innego, jak przedstawić swój drugi pomysł. Musiał przekonać Alana, by zatrudnił go u siebie. Nie mógł narażać Juliany i dziecka na trudy tułaczki. Skoro nie mógł pozostać rycerzem, weźmie się za orkę.

- Zatem pozwól, panie, bym wybudował dom na ziemi, którą obiecałeś w wianie Julianie. Sprzedam swego rumaka i zajmę się pracą na roli.

- To niemożliwe - powiedział Alan. - To taki mały kawałek, że trzeba go w całości przeznaczyć pod uprawę.

- Na miłość boską, Strode, potrzebujemy domu! Sprzedałem Dunningray - przyznał z ciężkim sercem. - W imię naszej przyjaźni błagam cię, pomóż mi znaleźć jakieś zajęcie, abym mógł utrzymać przy życiu twoją krewniaczkę. Zrobię w zamian wszystko, czego ode mnie zażadasz.

Strode wstał i złożył ręce na piersi. Bystre zielone oczy nie patrzyły już na Iana kpiąco. Na twarzy Alana pojawił się wyraz głębokiego namysłu.

- Cieszę się, Ianie, że uważasz mnie za przyjaciela - powiedział w końcu. - Czy wiesz, że twoja ofiara budzi we mnie tym większy szacunek i podziw?

Szacunek? Podziw? Z piersi Iana wyrwał się bolesny śmiech.

- Nie była to wielka ofiara i dobrze o tym wiesz, panie. Dunningray to ruina. Ledwo mogłem wykarmić tych kilku ludzi,

którzy przy mnie trwali. Sprzedaż Dunniegray była jedynym rozsądnym wyjściem, jakie mi pozostało.

- Nie myślę o Dunniegray, Ianie. Gotów byłeś do większych wyrzeczeń, by zapewnić utrzymanie mojej kuzynce. Sądzę, że musisz ją bardzo kochać - powiedział łagodnie Alan i przeniósł wzrok na Julianę.

- Wiem, dziewczyno, że sprzedawałaś broszę i suknie - wszystkie swoje pamiątki po matce - by zapłacić za wiano, które umożliwiłoby ci poślubienie tego oto człowieka. Czy może zrobiłaś to, bo nie mogłaś znieść myśli, że twoje dziecko będzie bękartem?

- Prawdę mówiąc, panie, ucieszyłam się, gdy odkryłam, że jestem w ciąży. Już nie musiałam dłużej udawać, że nie chcę wyjść za mąż - przyznała Juliana z uśmiechem. - Ponieważ szczerze Kocham Iana.

Alan roześmiał się i poklepał Iana po ramieniu.

- Wobec tego sama go wynajmij, kuzynko.

- Jakże mam go wynająć, panie? Ja go chcę poślubić, nie potrzebuję jego miecza.

- To prawda, że musicie wziąć ślub. I ciesz się, że twój mąż jest wspaniałym wojownikiem. Będziesz potrzebowała rycerza do obrony twojego kasztelu.

Iana ogarnął gniew.

- To ty! - krzyknął. - To ty kupiłaś Dunniegray! Ten twój kawałek ziemi na południe od Byelough. - Zaciśnął pięści i zaklął pod nosem. - Powinienem był się domyślić.

Alan skinął głową.

- Tak, to ja kupiłem Dunninggray. Wydawało mi się, że jest ci obojętne, kto zostanie nowym właścicielem, a potrzebowałem kawałka ziemi dla Juliany.

- Oczywiście - przyznał Ian, czując, że jego złość topnieje jak wosk w obliczu hojności, jaką okazał im Strobe.

- To stanowczo zbyt szczodry dar, Alanie. - Juliana gwałtownie pokręciła głową. - Nie mogę pozwolić...

- Owszem, możesz - przerwał jej Ian. - Alan jest twoim opiekunem i ma prawo dać ci takie wiano. Podziękuj mu i przestań się już certować.

Ian pojął, że Alan po prostu droczył się z nim bez złych intencji. Od dawna już toczyli między sobą tę grę dobroduszných żartów i kpin. Któż jednak poza Alanem zadałby sobie tyle trudu i poniósł takie koszty, by pomóc przyjacielowi w potrzebie? Kto zrobiłby tak wiele, by dać Julianie szansę szczęśliwego życia?

Spojrzał na Honor. Uśmiechnęła się, ale nie był to szyderczy uśmiech, jak mu się zdawało jeszcze przed chwilą. Prawdę mówiąc, ogarnął go wstyd, że mógł przypisywać złośliwość kobiecie, która poprosiła go, by został ojcem chrzestnym jej dzieci.

Wiedział, że powinni przyjąć prezent, jaki ofiarowali im przyjaciele, nie tylko ze względu na własny interes, lecz także ze względu na samych ofiarodawców. Alan i Honor obraziliby się, gdyby Ian odrzucił ich pomoc. Któregoś dnia odwdzięczy się im za wszystko, co zrobili dla niego i Juliany, choć wiedział, że nie po to im

pomogli. Nieraz słyszał, jak powtarzali swym dzieciom, że kto daje, zyskuje nie mniej niż obdarowany.

- Jesteś dobrym człowiekiem, Alanie. Chcę podziękować ci za wszystko, co dla nas zrobiłeś. Jeśli zostaniemy małżeństwem...

- Zostaniecie, zostanieie, już ja tego dopilnuję - wtrącił groźnym głosem Alan.

- No tak... Dunningray nie jest na razie siedzibą godną damy takiej jak Juliana. Ale kiedy zwrócę ci...

Alan prychnął z niesmakiem.

- Nie mogę ci sprzedać Dunningray, jeśli o to ci chodzi. Kupiłem twój kasztel w dobrej wierze, z przeznaczeniem na wiano dla mojej kuzynki i teraz stanowi on jej własność. Kiedy zostaniecie małżeństwem, będzie należał do was obojga. Co zaś do innych spraw, użyj dobrze złota, zachowaj zbroję na wypadek, gdyby przyszło nam ruszyć na wojnę, i skrzyżuj swego ogiera z klaczą Juliany. Co ty na to?

- Posłucham twojej rady - powiedział Ian i wyciągnął dłoń do Alana.

Strode uścisnął prawicę przyjaciela. Potem ujął za rękę Julianę i połączył jej lewą dłoń z prawicą Iana, jego zaś lewą dłoń z prawą ręką dziewczyny.

- Tak splecione ręce są symbolem nieskończoności - wyjaśnił. - Nim staniecie przed ołtarzem, łączę was oto wedle dawnej tradycji na zawsze i jeszcze dłużej.

Alan pocałował Julianę w policzek i klepnął Iana w ramię.

- No cóż, wiemy już, że w łóżku sobie poradziliście. Wszystko, co mi pozostało, to pobłogosławić waszemu szczęściu.

Ian roześmiał się, ściskając dłonie Juliany, i pocałował ją szybko w usta, by przypieczętować ich związek.

- Witam w rodzinie, Ianie! - zaśmiał się zadowolony Alan.

- Już dawno sprawiłeś, że czułem się tak, jakbym do niej należał - odpowiedział Ian, puszcżając dłonie Juliany i obejmując ją w talii. - Zdaje mi się, że nie doceniałem w pełni swego szczęśliwego losu.

Widząc, że Alan krzywi się, słuchając tych patetycznych słów, dorzucił innym tonem:

- Czy zapomniałeś już o swej sztuczce sprzed pięciu lat? Pomyśl dwa razy, nim uznasz, że znów zdołałeś mnie nabrać. Czy nie przyszło ci do głowy, że tym razem to ja mogłem cię nabrać, kuzynie?

- Chcesz powiedzieć, że wszystko to zaplanowałeś? - Alan wyrzucił ramiona w geście udawanego oburzenia. - Nie może być! Nie mógłbyś...

- Wszystko aż do samego końca, stary przyjacielu - oznajmił Ian, puszcżając oko do Juliany. - Czy będziemy teraz pić wino, czy mamy udać się do sypialni, jak przystało nowożeńcom?

- Ianie - ostrzegła go Juliana, dając mu przy tym żartobliwego kuksańca. - Cicho, sza!

Podeszła do stojącego w rogu komnaty łóżka.

- Możesz już wyjść, Christiano - powiedziała.

Spod łóżka wyłoniła się roześmiana mała Kit.

- Czy wujek Ian należy teraz do ciebie, ciociu Jules?

- Tak, kochanie - zapewniła dziewczynkę Juliana i mocno ją uściskała. - Jesteśmy związani na zawsze i jeszcze dłużej.

- To wszystko sprawiła moja prośba, jaką zaniósłam do Matki Boskiej! - oznajmiła dumnie Kit.

Dorośli wymienili rozbawione spojrzenia.

- Zaiste to twoja zasługa. Ujmując swoją prośbę do Matki Boskiej tak, jak to zrobiłaś, nie dałaś nam żadnych szans na inne rozwiązanie - przyznała Juliana.

Wieczorem ojciec Dennis odprawił ceremonię ślubną w zamkowej kaplicy. Tej nocy w Byelough tańczono i bawiono się do późna. Weselnicy wznosili toasty za zdrowie młodej pary i powodzenie ich związku, a jednocześnie robili wszystko, by jak najdłużej utrzymać ich z dala od siebie.

Dopiero grubo po północy Ian zdołał pochwycić żonę za rękę i wyciągnąć z komnaty. Gdy biegli schodami do izdebki Juliany w południowej wieży, goniły ich rubaszne rady i sprośne żarty, jakich nie szczędzili nowożeńcom biesiadnicy.

Ian zamknął drzwi na zasuwkę, by żaden dowcipniś nie zakłócił ich spokoju, a potem, nie zwlekając dłużej, porwał żonę w ramiona i pocałował w usta. Odpowiedziała na jego pocałunki z nie mniejszą żarliwością. Przez cały wieczór marzyła o chwili, gdy znów poczuje na swych ustach wargi Iana.

Teraz wreszcie jej ukochany należał do niej, a ona do niego. To, że związała się z nim na całe życie, bynajmniej jej nie martwiło, bo ufała mu bez reszty. Jakże głupio robiła, sądząc wszystkich mężczyzn

wedle tych niewielu, jakich miała okazję poznać. Ian nie narzucał jej swojej woli ani nie uważał jej pomysłów za niewarte uwagi.

Będę z nim szczęśliwa, pomyślała, całując go żarliwie. I on nie pożałuje, że mnie poślubił, obiecała sobie. Ktoś troskliwy napalił w kominku, więc w izbie było cudownie ciepło. Ian pociągnął Julianę przed ogień i szybko ściągnął z niej jej prosty przyodziewek.

- Zaprawdę wierzę, że moje marzenia stają się rzeczywistością - szepnął, wpatrując się w nią łakomym spojrzeniem. Potem przesunął ręką po jej ciele, zatrzymując dłoń na zaokrąglonym łonie, w którym rozwijało się ich dziecko. - Zawsze będziesz moim największym skarbem, Juliano.

Uśmiechnęła się do niego i zarzuciła mu ramiona na szyję. Przytuliła głowę do jego piersi. Usłyszała gwałtowne bicie serca i domyśliła się, czego potrzeba jej mężowi. Nie ociągając się, zaczęła rozsznurowywać jego koszulę.

Westchnienie Iana utwierdziło Julianę w przekonaniu, że trafnie odgadła. Leżał bez ruchu, pozwalając jej robić, co chciała, i tylko od czasu do czasu wydawał cichy pomruk niecierpliwości.

- I pomyśleć, że uwierzyłem w to, że tylko udajesz rozpustnicę - jęknął, gdy przesunęła grzbietem dłoni po jego nagim brzuchu.

Zaśmiała się miękko i ujęła go oburącz za rękę.

- Bądź dobrym chłopcem i chodź do łóżka.

Porwał ją w ramiona i pocałował namiętnie w usta.

- Sama się zaraz przekonasz, ile we mnie dobroci.

Dotknięcie jego nagiego ciała - twardych mięśni, unoszących ją w powietrzu ramion i ciepło silnej piersi - wywołało w jej ciele dreszcz podniecenia. Kiedy położył ją na łóżku, przyciągnęła go do siebie, nagle do pośpiechu.

- Chodź do mnie, Ianie - szepnęła. - Teraz.

Leniwie wyciągnął się obok niej.

- Nigdzie się nam nie spieszy, kochanie. Wreszcie mamy czas, by poznać nawzajem swoje ciała i nacieszyć się nimi - mruknął jej do ucha łagodnym, zmysłowym głosem.

Usta Iana rozpoczęły powolną wędrówkę po ciele żony. Jego pocałunki rozpały w niej namiętność. Całował ją wszędzie, nawet w miejscach, gdzie najmniej się tego spodziewała.

- Och, Ianie! Czy tak się to robi? - zaprotestowała słabo, gdy usta męża dotarły do jej najczulszego miejsca.

- Jest mnóstwo rzeczy, które robią kochankowie, najdroższa.

Resztkami przytomności dziękując opatrności za szczęście, poczuła nagle, że ciałem Iana wstrząsa śmiech. W jakiś czas potem, gdy jej ciało opanowały spazmy rozkoszy, Ian wszedł w nią powoli, by odebrać własną nagrodę.

Juliana bała się oddychać, by nie spłoszyć cudownego nastroju tej chwili. Nasycone miłością ciała wciąż jeszcze przywierały do siebie, ich ręce i nogi splatały się ze sobą. Czuła, że są tak blisko nieba, jak tylko jest to możliwe.

Musnął ucho żony lekkim pocałunkiem.

- Dziękuję, kochanie. Jesteś taka cudowna... - Jego słowa były ledwo słyszalne.

- Ty dziękujesz mnie? - spytała z niedowierzaniem.

- Tak - powiedział z uczuciem. - Uczę się dzisiaj przyjmować z wdzięcznością dary, jakie dostaję od ludzi, którzy mnie kochają.

Nie zrozumiała go.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Oparł się na łokciu.

- Dotąd nie chciałem nikomu niczego zawdzięczać. Nie lubiłem, gdy ktoś mnie czymkolwiek obdarowywał. To, co przydarzyło się dzisiaj, dary, jakie otrzymaliśmy od Alana i Honor, uświadomiły mi, że kiedy ktoś daje, należy przyjąć jego prezent w takim samym duchu, w jakim został ofiarowany. Dobra wola - za dobrą wolę, szczerłość - za szczerłość. - Uśmiechnął się. - Dotąd tego nie rozumiałem.

Juliana zrobiła smutną minę.

- Przykro mi, że cię rozczaruję, Ianie, ale choć moja miłość jest darem dla ciebie, to jednak mam pewne oczekiwania.

- Aha, to znaczy, że oczekujesz czegoś w zamian, czy tak? - spytał, przytulając ją.

- To pora dawania - przypomniała mu, wtulając się w niego. - Z wolnej woli, ze szczerego serca.

- I pora miłości - dokończył z wymownym uśmiechem. - Szczęśliwego Bożego Narodzenia, moja słodka Jules.